

ADAM BAHDAJ

WAKACJE Z DUCHAMI

WYDAWNICTWO SIĘDMIORÓG

WROCLAW, 1994

ADAM BAHD AJ

WAKACJE Z DUCHAMI

WYDAWNICTWO SIEDMIORÓG

WROCLAW, 1994

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Maniuś zatrzymał się na brzegu jeziora. Pod nogami czuł miękkiej, nagrzaną piasek, a w oczach migotały mu srebrzyste cętki. To woda odbijała blask stojącego nad lasem słońca i zamieniała jezioro w tafnię łamliwego szkła.

Było cicho. Chłopiec słyszał wyraźnie szelest szuwarów i słaby świst własnego oddechu. Z wolna ogarniała go radość. Zdumionymi oczami wodził po cienistym brzegu, po obłokach sunących nad grzbietem dalekiego wzgórza, a gdy znów spojrzął na jezioro, wydało mu się, że ciemna głębia ciągnie go ku sobie.

Uśmiechnął się — niby do siebie, niby do obłoków — a potem jego łobuzerska twarz stężała w wyrazie spokojnej zadumy.

Pierwszy raz wyjechał z Warszawy w daleką podróż, a teraz od trzech dni nie mógł się nadziwić, że świat jest tak szeroki, tak różnorodny i takie sprawia niespodzianki. Od trzech dni chodził oszołomiony i nie mógł wprost uwierzyć, że znalazł się pięćset kilometrów poza rodzinnym miastem.

A wszystko było przecież takie proste.

Pewnego razu, na wiosnę, mały Perełka, jego najlepszy przyjaciel z kamienicy, otrzymał od swej ciotki list.

Maniuś widzi teraz wyraźnie, jak Perełka wpadł do niego z radosnym okrzykiem: „Hurra! Jedziemy wszyscy nad jezioro!” — a potem jak obaj zeszli na drugie piętro do Felka, którego nazywali Mandżaro, i wszyscy razem czytali z wypiekami na twarzach.

Na początku listu było oczywiście: *Dlaczego tak długo do nas nie piszecie?*, potem: *Co u ciebie słychać i jak zdrowie tatusia?*, ale najciekawsze okazało się zakończenie. Maniuś pamięta dokładnie ładne, okrągłe pismo pani Lichoniowej i mógłby recytować na pamięć jego treść.

Pani Lichoniowa pisała:

Wspominałeś nam o swych serdecznych kolegach, o Paragonie i Mandżaro. Skąd te dziwaczne przyzwiska? Ale mniejsza o to. Jeżeli mają ochotę, niech przyjeżdżają razem z tobą. U nas w leśniczówce jest dość miejsca, no i powodzi się nam, dzięki Bogu, nie najgorzej. Myślę, że weselej i raźniej będzie ci z kolegami...

Oczywiście małemu Perełce zawsze raźniej było z Maniusiem i Felkiem, których dziwaczne przyzwiska nikogo prócz cioci Marii nie raziły.

Na Woli nie mieć przyzwiska to tak, jakby nie mieć charakteru. A wiadomo przecież, że najmilszi i najmorowisi chłopcy w Warszawie to ci z Woli.

Perełkę bolały wtedy zęby, więc polecił Paragonowi, żeby w jego imieniu odpisał cioci. Odpowiedź rola się od byków i byczków, ale list to przecież nie zadanie szkolne!

Kochana Pani Ciociu! — pisał Maniuś. — *To ja, Paragon, odpowiadam w imieniu całej trójki. Pyta pani, dlaczego mam takie dziwne przyzwisko. Raz nasza pani zapytała mnie w klasie: „Tkaczyk, dostałeś od matki pięć złotych, idziesz do sklepu, kupujesz cztery bułki po osiemdziesiąt groszy. Ile ci wyda kasjerka?” A ja na to: „Proszę pani, kasjerka wyda mi paragon...” Chłopcy się śmiali, a ja od tej pory zostałem Paragonem. Proste, prawda? Z Mandżarem była gorsza sprawa. Jemu zdaje się, że jest najmądrzejszy z nas wszystkich. Raz pan od geografii pyta go, jaki jest najwyższy szczyt w Afryce, a on, proszę pani, nie wiedział. To ja mu podpowiedziałem:*

Kilimandżaro. To on, proszę pani, nie usłyszał dobrze i mówi: „Mandżaro”. No i od tego czasu wszyscy na niego mówią — Mandżaro. Ładnie, prawda? A Perełka, to znaczy Boguś, to już od urodzenia jest Perełką. A my z nim to najlepsi koledzy. Perełkę boli ząb czonowy, to ja za niego piszę. Dziękujemy serdecznie za zaproszenie. Miło nam będzie natykać się świeżego powiecza i postraszyć w jeziorze ryпки. Mam nadzieję, że Szanowna Pani nie będzie miała z nami wielkiego kłopotu. Ja pierwszy raz wyjeżdżam na wieś. Bardzo się cieszę i Mandżaro także. Nie będziemy robić ceregieli, zjemy byle co, bo apetyty mamy fenomenalne. Przyjeżdżamy w czerfcu. Jeszcze raz dziękujemy za zaproszenie!

Paragon

I oto od trzech dni są już u cioci Marii nad jeziorem. I oto Maniuś, zwany na Górczewskiej Paragonem, stoi na brzegu radośnie oszołomiony pięknem letniego popołudnia.

Ławica drobnych rybek przemknęła niemal pod jego stopami, sponad sosen nadleciała siwa rybitwa. Łagodnym łukiem spięła błękit nieba z zielenią lasu. Naraz runęła jak strzała, aż zakotłowało się w trzcinach. Potem wzbija się lekko, unosząc trzepotliwą rybkę...

W tym momencie na ścieżce biegnącej do lasu rozległo się głośnie wołanie:

— Paragon! Paragon!

Maniuś odwrócił się. Na tle pni zobaczył biegnącego Perełkę. Był to drobny, filigranowy chłopiec o ruchach szybkich i nerwowych. Twarz miał okrągłuchną jak spodek i gęsto upstrzoną dużymi piegami. Oczy szare, zuchowate. Nosek mały, nieco zadarty i łuszczący się na końcu jak młody kartofelek. Włosy króciutko ostrzyżone i zaczesane na jeża. Jednym słowem — Perełka.

— My na ciebie czekamy — zawołał zdyszany — a ty, bracie... — utknął w tym miejscu, nie mogąc wydusić ani słowa.

— Co się stało? — zapytał wesoło Paragon.

— Jak to: co? Mamy przecież naradę w sprawie szałasu.

— Zupełnie o tym zapomniałem.

— No chodźże, bo Mandżaro się wścieka.

Paragon uśmiechnął się wyrozumiale, wbił dłonie w kieszenie i, nie spiesząc się, ruszył za Perełką. Szli przez stary las sosnowy. Wąska ścieżka wiła się wśród pni, poprzecinana długimi cieniami. Pachniało rozgrzaną żywicą, a w gałęziach wesoło grały trzmielce.

Wkrótce ukazała się leśna polana, pełna słońca, kwiatów i trzepotu motyli. Na polanie, pod lasem, stał świeżo zbudowany szałas, a przed szałasem nerwowymi krokami przechadzał się wysoki, zgrabny chłopiec. Miał ładną, nieco zasepioną twarz, mądre, myślące oczy, jasne włosy opadające kędziorami na czoło, a z całej jego postaci biła wyjątkowa stateczność i powaga. Był to właśnie Mandżaro.

Na widok chłopców uniósł ręce gestem zniecierpliwienia.

— Jak długo mam czekać?

Paragon skwitował to przyjaznym uśmiechem.

— Ciao! Nie denerwuj się, bośmy przecież na bezpłatnych wczasach.

W milczeniu usiedli pod szałasem.

2

Był to solidny szałas, wykonany według planu Paragona; ściany miał wplecione wikliną, wsparte na grubych palikach sosnowych, dach ułożony z świeżej, świerkowej cetyny. Trzej chłopcy patrzyli na ten szałas, nie wiedząc, w jakim właściwie celu go wybudowali. Początkowo miał być wigwamem indiańskich wojowników, potem — domem poszukiwaczy złota, wreszcie — namiotem króla Władysława Jagiełły wyruszającego na grunwaldzkie pola.

Chłopcy z fantazją rzucali pomysły, ale od wczoraj nie mogli uzgodnić, do czego ma służyć ich wspaniałe dzieło. Szalas stał więc gotowy, świeży, pachnący żywicznym igliwem, a trzech budowniczo wiec aż jeszcze zastanawiali się nad sposobem jego wykorzystania.

Mandżaro spojrział wyzywająco.

— Mam świetny pomysł...

Paragon poruszył się. W jego głosie zabrzmiała nutka zniecierpliwienia:

— Ty zawsze masz fenomenalne pomysły.

Perełka wygodnie ułożył się na trawie. Upstrzoną piegami twarz zwrócił ku chłopcom.

— No, mów — trącił Mandżara łokciem.

Ten zastanawiał się chwilę, jak gdyby chciał rozstrzygnąć, czy warto wyłożyć swój plan. Nagle zapytał tajemniczym szeptem:

— Czytaliście „Przygody Sherlocka Holmesa”?

— Legalnie — ulubione słówko Paragona zabrzmiało jak wyzwanie. — Myślisz może, że nie czytałem? Sam mi pożyczałeś tę książkę. Można powiedzieć, obleci! Ciekawe kawałki z dziedziny kryminologii — cmoknął głośno i łypnął zaczepnie oczami.

Perełka milczał. Utkwił wzrok w brudnych palcach, wyłażących z podartych tenisówek. Udawał, że nic go ta rozmowa nie obchodzi. Może nie chciał się przyznać, że nie czytał „Przygód Sherlocka Holmesa”...

Zapadła przedłużająca się cisza.

Paragon urwał soczyste źdźbło trawy. Ssał jego seledynową nasadkę.

— No i co z twoim pomysłem?

Mandżaro ocknął się.

— To naprawdę świetny pomysł... Tylko nie wiem, czy się wam spodoba...

— Wal, bracie. Nad czym tak dumasz?

Mandżaro uniósł się na łokciach, skupionej twarzy nadał wyraz niezwyklej tajemniczości. Patrzył na kolegów przymrużonymi oczami. Wreszcie rzekł przeciągle:

— Chodzi o to... że... może byśmy założyli klub detektywów...

Tego się nie spodziewali! Chłopcom z nagłego wrażenia opadły brody. Zaniemówili. Perełka mrugał rudawymi rzęsami. Paragon marszczył śmiesznie czoło.

— Fenomenalny pomysł — wyszeptał pierwszy Perełka.

Mandżaro odetchnął z ulgą. Spojrział pytająco na Paragona. Ten uśmiechnął się po swojemu — szczerze, łobuzersko.

— No, dobra... pomysł obleci... ale skąd weźmiemy przestępców?

Mandżaro zachnął się:

— Ty zawsze masz jakieś zastrzeżenia. Nie słyszałeś, jak wujek Perełki opowiadał o kłusownikach?

— A ty myślisz, że Sherlock Holmes zawracałby sobie głowę kłusownikami?

Perełka jęknął:

— Znowu się kłóćcie! Jeżeli będą detektywi, to na pewno znajdą się przestępcy.

— Oczywiście — podjął Mandżaro. — Czy to tak trudno o przestępców? Grunt to zastosować metodę dedukcji...

Tak ich zaskoczył tym obcym słowem, że znowu rozdziawili usta. Paragon zsunął kolarzkę na czoło. Długo drapał się za uchem.

— O czym ty mówisz, Mandżaro?

— Czytałeś „Sherlocka”, a nie wiesz, co to metoda dedukcji.

— A ty wiesz?

— Pewnie, że wiem.

Perełka westchnął żałośnie:

— Znowu się kłóćcie!

Paragon zaperzył się:

— Jak wiesz, to powiedz! Czy to takie ważne?

Mandżaro posłał mu surowe spojrzenie.

— To bardzo ważne.

— No to mów.

Mandżaro zaczął niezwykle poważnie:

— Dedukcja to metoda... to metoda — utknął w połowie zdania, ze złości zacisnął usta, aż mu wargi zbieleły.

Paragon pokiwał z politowaniem głową.

— Metoda, której używał Sherlock Holmes do rozwiązywania zagadek kryminalnych. Tyle to ja też wiem.

Perełka złapał się za głowę.

— Wy zawsze musicie się kłócić. Dedukcja dedukcją, a my mamy założyć klub detektywów.

— O, właśnie — podchwycił skwapliwie Mandżaro. — Proponuję nazwę: Klub Młodych Detektywów. — Spojrzał pytająco na chłopców.

Paragon skinął głową.

— Obleci!

— Proponuję — ciągnął Mandżaro — żeby nasz Klub mieścił się w tym szałasie.

— Obleci! — przytaknął Paragon.

— I żebyśmy tymczasem stworzyli jedną brygadę śledczą. Ja będę nadinspektorem...

Paragon chlasnął dłonią w kolano.

— Jak ciocię kocham, ty zawsze musisz być „nad”, a może raz będziesz „pod”.

Mandżaro zmierzył go karcącym spojrzeniem.

— Jak uważasz, ale zdawało mi się, że...

— Nie kłóćcie się — przerwał mu Perełka. — Nie znamy jeszcze przestępców ani zagadek do rozwiązywania, a wy już... Z wami to tak zawsze — machnął z rezygnacją ręką i położył się na plecach.

Paragon uśmiechnął się pojednawczo.

— Niech już tak będzie, panie nadinspektorze. Ale ja wam mówię, najpierw musimy mieć przestępców.

— Najpierw musimy się dobrze zorganizować — powiedział Mandżaro.

Perełka wstał, przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały.

— Organizacja organizacją, a ja czuję przeraźliwą pustkę w żołądku. Chodźmy, wiara, bo ciocia znowu będzie gderać, żeśmy się spóźnili.

— Złota myśl — uśmiechnął się Paragon. — Śniły mi się pierogi z wiśniami. Pycha! — oblizał się i przejechał dłonią po zapadniętym brzuchu. — Mówię wam, grunt to witaminy.

Mandżaro stał zamyślony.

— Trzeba przecież wszystko obgadać.

— Będziemy gadać po drodze — uspokoił go Perełka.

Ruszyli ku leśniczówce. Polana tonęła w głębokim cieniu. Słońce zapadało już za wierzchołki drzew. Przesiane przez zbity mur gałęzi, kładło się ciepłymi cętkami na rozkołysane trawy. Pachniało

żywicą i sianem. Nad polaną wisiało wysokie, czyste niebo. Kudłaty, różowy obłok zaplątał się w najwyższe konary drzew, jak kłębek waty w kolce głogu, a ponad lasem, na wyniosłym wzgórzu, w łunie zachodzącego słońca, stała wysoka, posępna baszta zamku.

Na skraju polany chłopcy przystanęli. Jeszcze raz spojrzeli na siebie, na szafas.

Stał ukryty w cieniu, solidny, przysadzisty jak chłopska chata.

— Pierwszorzędny szafas — rzucił z dumą Paragon. — Niech wiedzą, że warszawiacy umieją budować.

— Pierwszorzędny — powtórzył Perełka i pierwszy zagłębił się w leśną drogę, która przecinała lekki skłon wzgórza jak wykuty z żywej zieleni tunel.

3

— Paragon, skąd wiedziałeś, że na kolację będą pierogi z wiśniami? — Mandżaro trącił łokciem kolegę. Rozpromienionymi oczyma wskazał na wielki półmisek dymiący na środku stołu.

Paragon uśmiechnął się chytrze.

— Przecież od wieczora jestem inspektorem Scotland Yardu. Wy-de-ku-ko-wa-łem — przymrużył oko i skwitował odpowiedź jeszcze jednym uśmiechem ze swego bogatego repertuaru.

— Mówi się: wydedukowałem — poprawił go zawsze akuratywny Mandżaro.

— Niech będzie „wydedukowałem”, grunt, że pierogi są jak senne marzenie.

Siedzieli przy niewielkim stoliku na werandzie leśniczówki. Wśród dzikiego wina, oplatającego ściany, bzykały zapóźnione osy, a pod sufitem, wokół żarówki, wibrowała mgiełka drobnych muszek i ciem. W głębi stał ciemny, tajemniczy las.

Pani Lichoniowa, ciotka Perełki, nakładała na talerze wielkie, dymiące pierogi. Pachniało świeżo gotowanym ciastem i śmietaną. Pani Lichoniowa mówiła swym śpiewnym kresowym akcentem:

— Żeby mi chłopcy wszystko zjedli, a jak zabraknie, to doniosę. Tylko proszę jeść grzecznie i nie mlaskać, bo to nie gospoda Samopomocy Chłopskiej.

Paragon cmoknął z zachwytem.

— Niech się szanowna pani nie martwi, my to wszystko skonsumujemy. Manka nie będzie. Takich wdechowych pierogów jeszcze w życiu nie jadłem.

Pani Lichoniowa podziękowała mu uśmiechem. Nałożyła suto na talerz.

— Maniś to grzeczny chłopiec, jeszcze nie spróbował, a już chwali.

— W Warszawie znamy się na sawuar wiwrze, a zresztą nie trzeba jeść, wystarczy popatrzeć i już się wie, że najlepszy gatunek. Wiśnie prosto z drzewa, a śmietanka prosto od krowy. Takiej śmietanki jeszcze nie jadłem. Widać, że tutaj wody się nie dolewa.

Mandżaro kopnął go pod stołem.

— Nie czaruj — syknął, ale na Paragonie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Odwzajemnił się celnym kopnięciem w kostkę i z najuprzejmiejszym uśmiechem, na jaki go było stać, dorzucił:

— Z takimi pierożkami to na eksport można liczyć.

Pani Lichoniowa roześmiała się głośno i serdecznie.

— Czy Maniś wszystkim prawi takie komplementy?

— Ciocia go jeszcze nie zna — wtrącił Perełka i z uwielbieniem spojrzął na swego najlepszego przyjaciela. — To najmorowszy chłopak na Górczewskiej, nawet na całej Woli.

— Wiem, wiem, pisałeś mi o nim — pani Lichoniowa jeszcze raz uraczyła Manusia wdzięcznym uśmiechem. Naraz spojrzała w stronę lasu, ponad niewyraźną linię wierzchołków drzew. Przeżegnała się szybko: — W imię Ojca i Syna, błyska się!

— To na pogodę — uspokoił ją Paragon.

— Na pogodę błyska się od wschodu, od jeziora, a to nad zamkiem. O, tam! — pokazała

wyciągniętą ręką.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. Było ciemno i tylko ponad czarną ścianą lasu migotały w rozsypce gwiazdy. Naraz niebieskawe światło rozjaśniło kawał martwego nieba, a na jego tle ukazały się niewyraźne zarysy starej baszty.

W drzwiach prowadzących z pokoju na werandę zjawił się wuj Perełki, leśniczy Lichoń. W półcieniu mignęła jego biała koszula. Pod stopami zatrzeszczały zeschnięte deski podłogi. Zrobiło się nagle cicho. Leśniczy stanął na schodkach, patrzył w stronę baszty.

— To wcale się nie błyska... — zabrzmiał w ciszy jego niski, przyjemny głos. — Co to może być?

— Może sztuczne ognie? — wtrącił Paragon.

— Skąd by teraz sztuczne ognie — powiedział jakby do siebie leśniczy. — Może to robotnicy. Słyszałem, że mają rozbierać lewe skrzydło zamku.

Pani Lichoniowa odetchnęła.

— Chwała Bogu, że burzy nie będzie. — Głos jej nabrał nagle ciepłego tonu: — No, chłopcy, jedzcie, bo pierogi wystygną.

Leśniczy usiadł do stołu. Był chudy, kościsty i nieco przygarbiony. Twarz miał pogodną, spaloną słońcem, i małe, jasne, bardzo niebieskie oczy. Powiódł tymi niebieskimi oczami po chłopcach, uśmiechnął się.

— Jak wam smakują pierogi?

— Pierwsza klasa! — wyrwał się Paragon. — Cud gastronomiczny!

Mandżaro chrząknął cicho, jakby chciał dać do zrozumienia, że taka przesada nie jest zbyt taktowna. Po chwili chrząknął powtórnie i zapytał tonem sprawozdawcy radiowego:

— Przepraszam, czy w tej okolicy jest dużo przestępców?

Leśniczy uniósł głowę znad talerza.

— Przestępców? A do czego ci przestępcy?

— Ostatnio zacząłem interesować się kryminologią.

— Czym? — zapytał z niedowierzaniem.

— Kryminologią, proszę pana.

— On czytał o Sherlocku Holmesie — wyjaśnił Perełka.

Leśniczy roześmiał się głośno; Mandżaro zrobił jeszcze mądrzejszą twarz.

— Właśnie... chodzi mi o to, czy tu w okolicy są przestępcy i w jakiej liczbie?

Leśniczy wzruszył ramionami.

— Wybacz, mój drogi, ja się tym nie zajmuję.

— Legalnie — podjął Paragon. — Jak chcesz mieć informacje z pierwszej ręki, to wal, bracie, na milicję. I w ogóle... — parsknął śmiechem, gdyż nie mógł wytrzymać widoku niezwykle poważnej twarzy Mandżara.

Mandżaro zmarszczył brwi.

— Co w tym śmiesznego?

— I w ogóle — dokończył Maniś — źle się, bracie, do tego zabierasz. Czy widziałeś prawdziwego detektywa, który pyta się, ilu jest w okolicy przestępców? Przecież to nie pęczki rzodkiewek.

Mandżaro zbladł.

— Przywołuję cię do porządku!

Perełka wydobył z gardła najżałośniejsze westchnienie:

— Znowu się kłóca.

Leśniczy popatrzył na nich oczami pełnymi zdumienia.

— O co wam chodzi?

— A o nic, wujku — wtrącił Perełka, starając się załagodzić sytuację. — To takie nasze sprawy.

Wujek i tak tego nie zrozumie.

— Macie jakieś tajemnice?

W momencie gdy padło to kłopotliwe pytanie, na ścieżce wiodącej do leśniczówki odezwało się głośnie wołanie:

— Pani Lichoniowa! Pani Lichoniowa!

Wszyscy zamilkli. Za chwilę w drzwiach kuchni ukazał się biały fartuch gospodyni, a potem na schodkach zjawiała się stara Trociowa, która pomagała w leśniczówce. Trociowa stanęła na najniższym stopniu kamiennych schodków. Dysząc ciężko, starała się wydobyć z gardła głos. Była bardzo wzburzona i przerażona. Sękatymi rękami wymachiwała w powietrzu, jakby prowadziła walkę z niewidzialnym przeciwnikiem.

— Chryste Panie, co się stało? — zawołała pani Lichoniowa.

Kobiecina zdobyła się na wysiłek i wykrztusiła z zaciśniętego gardła:

— Pani Lichoniowa, na zamku straszy!

Wiadomość ta wywarła piorunujące wrażenie. Wszyscy zerwali się od stołu, wianuszkciem otoczyli Trociową, która długo jeszcze drobnymi haustami łykała powietrze.

Pierwszy odezwał się leśniczy:

— Uspokójcie się, Trociowa. Gdzie straszy?

— Dyc mówię, że na zamku.

— Coś wam się przywidziało.

— Na własne oczy widziałam!

— No to mówcie, na litość boską! — niecierpliwiła się pani Lichoniowa. — Co Trociowa widziała?

Starowina nie mogła otrząsnąć się ze strachu. Z trudem rzucała chaotyczne słowa...

— Matko Najświętsza... idę ja od jeziora pod zamek, a tu coś nagle jęknęło... Tak jęknęło, jakby się ziemia rozwarła... Myślę sobie, że to może robotnicy wysadzają skały... A tu nagle, jak się nie błysnie! W imię Ojca, Syna, Ducha... Mówię wam, jakby niebo się rozwarło... I na baszcie ukazało się... — Urwała, bo tchu jej brakło. Powiodła po otaczających ją twarzach nieprzytomnymi ze strachu oczyma.

Leśniczy potrząsnął ją za ramię.

— Co się ukazało?

— Ano, ukazała się jakaś postać jasna na baszcie.

— Pewnie wam się zwidziało.

— Na własne oczy widziałam.

— Myśmy też stąd spostrzegli — odezwała się pani Lichoniowa. — Baszta cała jasna była, jakby się błyskało.

— O, to, to... jakby się błyskało — powtórzyła bełkocząc Trociowa.

— Na tym zamku nigdy jeszcze nie straszyło — powiedział z rozwągą leśniczy. — Zresztą ja w strachy nie wierzę.

Pani Lichoniowa spojrzała na męża nieufnie.

— Jak tu, Bolciu, nie wierzyć, kiedy Trociowa na własne oczy widziała.

— Trociowej mogło się przywidzieć.

Kobieta uniosła ręce do góry.

— Święci anieli, przecie mówię, że się ukazało. Na baszcie coś się ukazało w świetle ogromnym.

Leśniczy pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Coś w tym musi być.

Paragon z płonącymi policzkami przysłuchiwał się rozmowie. Jako chłopiec trzeźwy, nie był skory do zbytniego przejmowania się podobnymi zdarzeniami, lecz nie spotykane do tej pory otoczenie — ciemny las, jezioro, tajemniczy zamek, stara leśniczówka — i wystraszona kobieta wywarły na nim olbrzymie wrażenie. Teraz, gdy usłyszał ostatnie słowa Lichonia, powtórzył za nim w myśli: „Coś w tym musi być”. Odciągnął więc na bok półprzytomnego Perełkę.

— Boguś, może byśmy tam poszli?

Perełka wytrzeszczył nań oczy.

— Gdzie?

— Na zamek...

— Zwariowałaś!

— Nie zwariowałem, tylko jestem legalnie ciekawy.

— No to idź sam. Ja nie pójdę.

— Boisz się?

— Nie.

— No to walimy!

Perełka tak spojrział na przyjaciela, jakby to on przed chwilą ukazał się na baszcie i wystraszył biedną Trociową.

— Ty chyba masz gorączkę.

— To ty masz pietra.

— Przecież tam straszy.

— Ja w strachy nie wierzę.

— Ja też nie — jęknął Perełka — ale się boję.

— To pójdę sam!

— Nie pójdiesz, bo ciotka zaraz zagoni nas do spania.

Maniuś po swojemu przymrużył oko.

— Tam straszy, a ja pójdę spać! Nie znasz Paragona. Będę japońskim mikadem, jeśli się położę.

Z ciemności wyłonił się Mandżaro. Zbliżył się do chłopców i głosem wielce tajemniczym wyszeptał:

— Klub będzie miał ważne zadanie.

Paragon aż podskoczył z radości.

— Pan nadinspektor obudził się. Nareszcie zacznie się prawdziwa robota, a nie gadanie.

Mandżaro zlekceważył tę uwagę.

— Musimy wszystko zbadać — wyszeptał jeszcze ciszej i rozejrzał się, czy ktoś ich nie podsłuchuje. — Musimy zbadać, czy Trociowa mówi prawdę.

Paragon zatarł dłonie.

— Widzisz, Boguś, szef ma rację. Chodźmy, na co czekamy?

— Dokąd chcesz iść?

— Legalnie, na zamek.

Mandżaro odsunął się na pół kroku jak od człowieka niebezpiecznego.

— Ty chyba masz gorączkę. Ja myślałem, że śledztwo należy rozpocząć od Trociowej.

— Jakie śledztwo?

- W sprawie duchów.
- Najpierw trzeba wiedzieć, czy te duchy są.
- Trzeba wydedukować — powiedział z naciskiem Mandżaro.

Paragon skrzywił się.

- Dobra, będziemy dedukowali na zamku, a nie u Trociowej.
- Mówi się: dedukowali.

Paragon splunął z obrzydzeniem.

- Jak jeszcze raz wypowiesz to słowo, to cię kopnę w kostkę. — Potem machnął ręką. —

Róbcie, co chcecie. Ja idę na zamek.

Pod jego trampkami cienko zaskrzypiał żwir. Potem wszystko ucichło. Tylko pod dachem leśniczówki odezwał się przejmujący głos puszczyka. W Perełce zamarło serce. Spoglądał w milczeniu w ledwo dostrzegalny zarys ścieżki i ze wstydem myślał, że w takiej sytuacji nie należało opuszczać przyjaciela. We dwóch byłoby im na pewno różniej.

Z zamyślenia wyrwał go głos Mandżara:

- Zobaczysz, że on wróci najpóźniej za pół godziny.

Perełka ogarnął go pogardliwym spojrzeniem.

- To nie znasz Paragona.

Chciał pobiec za przyjacielem, ale gdy spojrzął na czarną, nieprzebytą ścianę lasu i przypomniało mu się opowiadanie Trociowej, coś go zatrzymało w miejscu.

Wolnym, niezdecydowanym krokiem powlókł się za Mandżarem. Długo jednak nie mógł zasnąć. Myślał o swym najlepszym przyjacielem — Paragonie.

4

Paragon był już głęboko w lesie. Zanim jego oczy przywykły do mroku, letnia noc otuliła go szczerze, zagarnęła miękko, jak nurt wody zagarnia pływaka. Szedł niemal instynktownie, stopami wyszukując twardszy grunt ścieżki. Nad nim szeleściło tajemniczo niskie sklepienie lasu. Ledwo dostrzegalne półszmery, półodgłosy wypełniały ciszę niepohamowanym lękiem.

Po przyjeździe był już z Perełką na zamku. Wiedział, że gdy ścieżka się skończy, trzeba przejść przez park obok kościoła, potem jeszcze kawałek nad jeziorem, a potem w lewo wspiąć się do góry. Przypomniał sobie doskonale całą drogę, jednak nie był pewny, czy dobrze idzie. To przecież nie Wola, gdzie znał niemal każdy kamień i z pamięci mógł wyliczyć po kolei wszystkie domy na Górczewskiej. Tutaj panował inny krajobraz i inna topografia rządziła tym tajemniczym światem.

Powoli ogarniał go dojmujący lęk. Zdawało mu się, że las — zbity, ciemny las — napętnia się jeszcze bardziej mrocznymi cieniami. Przystanął. Pomyślał, że lepiej będzie zawrócić. Ale gdy przypomniał sobie pełne niedowierzania spojrzenie Mandżara i kpiący ton jego głosu, ruszył jeszcze szybciej.

„Niech się dzieje, co chce!” — pomyślał i dla dodania sobie odwagi zagwizdał piosenkę, która ostatnio przyplątała się i panowała niepodzielnie w jego pamięci. „Ri-fi-fi” brzmiało zawadiacko i dodawało otuchy. Przy akompaniamencie „Ri-fi-fi” przebrnął przez najmroczniejszy odcinek świerkowego młodnika i wydostał się na jaśniejszy obszar rozciągającego się za kościołem parku.

W oknach plebanii jarzyły się światła. Przeciekały przez gęste krzewy i rozpraszały mrok. Można było dostrzec jaśniejsze pasma ścieżek i zarysy pięknych, rozłożystych drzew.

„Nie jest tak źle, jakby mogło być” — pomyślał wesoło i jeszcze przyspieszył kroku. Wkrótce znalazł się nad jeziorem, obok przystani. Woda leżała jak ołowiana tafla — ciężko i nieruchomo. Ani jednej zmarszczki na powierzchni. Przycumowane do pomostu kajaki wyglądały z brzegu jak wielkie egzotyczne ryby, wynurzające pyski z zakrzepłej głębiny.

Maniuś jeszcze raz zaświstał swe ulubione „Ri-fi-fi”. Z drugiego brzegu odpowiedziało mu echo stłumionym „ru-fu-fu” i naraz zrobiło się jasno. Po zakrzepłej wodzie prześliznęły się błękitnawe refleksy, jak gdyby ktoś od dna puścił światła reflektorów. A potem daleko, w ciemnej otchłani nocy, coś jęknęło przeciągle i strasznie.

Paragon przystanął. Wolno zwrócił głowę ku zamkowej baszcie. Naraz doznał takiego wrażenia, jak gdyby wrastał w ziemię i stawał się słupem lodu. Włosy zjeżyły mu się na głowie, a na czoło wystąpił kroplisty pot.

Przy akompaniamencie piekielnych jęków na flance baszty ukazała się jasna i zwiewna postać. Jej białe, luźne szaty, przepojone niebieskawym, nieziemskim światłem, powiewały na wietrze. Nie szła ani nie kroczyła, lecz płynęła, jak gdyby wiatr lub inne nieokreślone siły przesuwały ją wzdłuż ciemnych murów.

Trwało to moment, nie dłużej niż kilka głębokich oddechów wystraszonego chłopca. Naraz mrok zatopił basztę, a postać zniknęła jak zdmuchnięty płomień świecy.

Paragon zerwał się do ucieczki. Biegł na oślep. Nawet nie spostrzegł, że przybliża się do zamku. Za chwilę znalazł się bowiem niedaleko wysokiej, gotyckiej bramy, wiodącej na zamkowy dziedziniec. Tutaj zatrzymał się, odetchnął z ulgą; zobaczył jasno oświetlony barak, a przed barakiem zebranych ludzi. Stali w świetle zawieszzonej na słupie żarówki. Wykrzykiwali coś żywo.

Paragon przetarł oczy. Nie mylił się. Byli to żywi, normalni ludzie, a nie nocne zjawy. Ucieszył się niezmiernie i zapragnął zbliżyć się do nich. Podeszedł więc do baraku, przystanął za węglem, z uczuciem wzrastającej ulgi przysłuchiwał się ich głośniejszej, wzburzonej rozmowie.

Młody człowiek o wyglądzie sportowca stanął przed zwartą gromadą mężczyzn w granatowych kombinezonach. Żywo gestykulując mówił napiętym głosem:

— Opanujcie się, ludzie. Jutro musimy zacząć robotę. Ja tu od pięciu lat przyjeżdżam, ale nigdy nie słyszałem o żadnych duchach ani upiorach. Przyrzekam wam, że jutro zbadamy całą sprawę...

— Panie Makulski — zawołał ktoś z gromady — co tu badać, kiedy my sami widzieli!

Jakiś drugi głos, twardy i stanowczy, przyłączył się do tego pierwszego:

— My tu robić nie będziemy!

Ktoś z boku zawołał:

— Straszy, nie straszy, ale dzieją się dziwne rzeczy!

— Pewno, że straszy! — zawołał stary, przygarbiony człowiek, stojący najbliżej Paragona. — Dawno mówili, że straszy. Jak kto chce, to niech robi, ja tu nie zostanę.

— Chodźmy, wiara! Na co czekacie? — powiedział ktoś od drzwi. — Z duchami nie można zadzierać.

Młody człowiek rozłożył ręce, chcąc ich powstrzymać.

— Jesteście zabobonni! Wierzycie w takie bzdury! — uniósł ręce do góry i zamarł w tym teatralnym geście, gdyż w tej samej chwili w lewym skrzydle zamku odezwał się piekielny rumor, jakby ziemia rozstała się pod murami i pochłonęła walący się gruz. Jednocześnie na baszcie znowu jasno błysnęło...

Paragon nie śmiał spojrzeć w tamtą stronę. Przywarł do ściany baraku, zamknął oczy. Zdawało mu się, że ziemia pod nim zadrzała. Słyszał na drodze kroki uciekających z baraku ludzi. Żwir sypał się spod ich nóg i z łoskotem opadał na wybrukowany dziedziniec. Chłopiec nie śmiał otworzyć oczu, nie miał siły poruszyć się z miejsca. Tkwił pod ścianą jak sparaliżowany.

Naraz wszystko ucichło, a cisza, która teraz nastąpiła, była groźniejsza od krzyku i ruchu. Noc zakrzepła w swej głębi, świat zdrętwiał i ostygł. Maniuś miał wrażenie, że tkwi w samym jądrze tej drętwoty.

Po chwili otworzył jednak oczy. Nieśmiało spojrzął na wznoszące się przed nim mury. Stały milczące, posępne i groźne. Na dole, nad jeziorem, słychać było głośnie przekleństwa uciekających. Barak opustoszał. Z otwartych drzwi i okien zionęła pustka. Zawieszona na słupie żarówka kołysała się wolno, ożywiając cienie przed zamkową bramą.

Maniś czuł, że drży i szczęka zębami. Starał się opanować to drzenie, ale coraz większy ziąb przenikał jego ciało.

„Czy ja żyję? — zapytał w myśli. W tej samej chwili zrobiło mu się weselej: — Przecież jeżeli drzę i szczękam zębami, to z pewnością żyję. Nie jest tak źle!”

Chciał zagwizdać ulubioną piosenkę „Ri-fi-fi”, ale zdrętwiałe szczęki i skołczący język odmawiały posłuszeństwa. Były jak z drewna.

Naraz opanował go gniew. Był wściekły, że dał się owładnąć strachowi.

„Żeby mnie pchły zjadły, jeśli nie jestem największym tchórzem! — złorzeczył sobie w duchu. — Żeby mnie dzięcioły zadziobały! Żeby mi włosy między zębami wyrosły!”

Ten zdrowy, bo ze strachu wypływający gniew pchnął go do działania. Wyprostował się, nacisnął na oczy starą kolarkę i biegiem puścił się ku jezioru. Nie trzymał się drogi. Biegł prosto w dół, po porośłym suchą trawą i usianym kamieniami zboczu.

Naraz zahaczył o coś nogą. To coś, naprężone jak cięciwa łuku, stawiało chwilę opór, a potem pękło z cichym trzaskiem. Chłopiec upadł na twarz, przekoziółkował i znalazł się na kupie żwiru. Zanim zdążył zastanowić się nad czymkolwiek, ujrzał nad sobą ogromny cień i usłyszał gniewny głos:

— Co ty tu robisz, smarkaczu?

Jeszcze mocniej przywarł do żwiru. Czuł, że ktoś pochyla się nad nim. Potem jedno mocne szarpnięcie postawiło go na nogi.

Przed nim stał wysoki, barczysty młodzieniec. W mroku nie mógł ujrzyć jego twarzy. Widział tylko sylwetkę i czuł gorący oddech.

— Czego tu szukasz o tej porze? — Nieznajomy potrząsnął mocno chłopcem. Ten milczał. Nie mógł zebrać myśli ani wydobyć z gardła głosu.

— No, mów! — usłyszał gniewem wezbrany głos. — Może jesteś niemowa?

— Ja... — wybąkał z największym trudem Maniś. — Ja nie wiem...

— Jak to nie wiesz? Może cię tu ktoś posłał? No, mów, bo ci ucho wykręcę.

— Nikt mnie nie posłał — jęknął Maniś. — Ja sam...

— Co: sam? Wiedziałeś o czymś?

Maniś dopiero teraz pozbierał myśli i zmiarkował, że nie ma żartów. Człowiek, który mocno trzymał jego ramię w garści, był rosły jak atleta. Bary miał rozłożyste, a na dobitkę nosił brodę, jak to w Warszawie zwykli nosić młodzi artyści. Z takimi brodacami nie warto zadzierać. Zdobył się więc na nikły uśmiech i wybełkotał:

— O niczym, pro... pana, nie wiedziałem. Przyszedłem na inspekcję...

Młodzieniec ścisnął go jeszcze mocniej i przyciągnął go do siebie.

— Ty mi tu nie zwracaj głowy! Na jaką inspekcję?

— Czy te strachy to lipa...

— Wiesz coś o tym?

Maniś wzruszył ramionami.

— Nic nie wiem. Zdaje mi się, że uwierzyłem w duchy — powiedział wymijająco, a w duchu dodał: „Ty, bratku, masz coś wspólnego z tymi duchami, bo za bardzo się wypytyjesz”.

— Słuchaj, chłopcze — głos brodacza zabrzmiał już łagodniej. — Jeżeli jeszcze raz zobaczę cię tu w nocy, to cięlb ukręcę. A o tym, coś tu widział, ani mru-mru, bo... — w tym miejscu wolną

dłonią przejechał po gardle.

— Ja nic nie widziałem — jęknął chłopiec.

— To dobrze.

— A jeżeli pan chce, to w ogóle nic.

— Co: nic?

— W ogóle mnie tu nie było.

— Tak będzie najlepiej.

— I pana też nie było.

Brodacz roześmiał się.

— Mądry z ciebie chłopiec.

— Wiadomo: z Woli, z Warszawy...

— Ja też z Warszawy, a więc sztama! Ani pary z ust! Zwłaszcza o tym drucie.

— To się wie, pro... pana. Ani mru-mru.

— A teraz wyrywaj i nie płacz mi się tutaj, bo już późno!

Paragon nie czekał, aż brodacz powtórzy drugi raz tę propozycję. Zakręcił się na pięcie, znikł jak duch w mroku. Biegł, ile mu sił stawało, choć czuł piekący ból w kolanie i w łokciach, w rekordowym czasie znalazł się nad jeziorem. Przy przystani zatrzymał się, spojrzął za siebie, ale mrok, gęsty jak czarna ściana, zakrywał wszystko. Słyszać było tylko plusk wody o burty kajaków i cichy, sypki szept sitowia.

„Ciekawe — pomyślał Paragon. — Ten brodacz musi mieć jakiś kontakt z duchami!”

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Pani Lichoniowa postawiła na stole fajansowy dzbanek z gorącą kawą. Podejrliwym spojrzeniem ogarnęła chłopców.

— Ale moi chłopcy dzisiaj późno wstali! Taki ładny dzień, a wy czas tracicie!

Chłopcy jednocześnie popatrzyli na Paragona, jakby w ten sposób chcieli dać do zrozumienia, że to przez niego spóźnili się na śniadanie. Maniś utkwił wzrok w stercie nakrojonego chleba. Był skupiony, milczący i jakby nieobecny. Przedstawiał widok opłakany. Miał zdartą skórę na czole i brodzie, a nos spuchnięty jak pomidor. Niczym nie przypominał zawsze roześmianego i skorego do żartów urwisa z Górczewskiej.

Baczny wzrok gospodyni spoczął na chłopcu.

— Anieli święci! — załamała rękę. — Maniś, coś ty z sobą zrobił?

— A nic — wyszeptał niechętnie. — To taka mała kontuzja. Do wesela się zagoi.

— Gdzieś ty się tak urządził?

— Przypadek, pro... pani. Spadłem z drabiny.

Pani Lichoniowa spojrzała nieufnie.

— Przyznaj się. Możesz coś spsoić?

— Nie, ciociu — stanął w jego obronie Perełka — on naprawdę spadł z drabiny.

— Może trzeba jechać po doktora?

Maniś zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

— Proszę się nie przejmować. Takie rzeczy u mnie to mięta z trawą.

Pani Lichoniowa pokiwała z politowaniem głową.

— Tak, tak... z wami zawsze kłopoty. Nigdy nie wiadomo, co z czego wylezie. — Wracając do kuchni, zerknęła w stronę baszty i powiedziała od niechcienia: — Mówią, że robotnicy uciekli z baraku i nie będą rozbierać lewego skrzydła. — Potem westchnęła głęboko, przeżegnała się ukradkiem i dodała: — Kto by to przypuszczał, że na zamku straszy.

Gdy znikła w kuchni, Mandżaro nachylił się do Paragona i zapytał tajemniczym szeptem:

— Kiedy złożysz sprawozdanie?

Maniś wzruszył ramionami.

— Nie widzisz, jak on wygląda? — wtrącił Perełka.

Mandżaro przybrał urzędową minę.

— Jeżeli jest w naszej brygadzie, to powinien złożyć sprawozdanie.

— Na piśmie? — zapytał Maniś.

— Niekoniecznie na piśmie, ale w każdym razie chcemy wiedzieć, gdzie byłeś w nocy i co robiłeś.

— Słuchałem słowików i świetlicowego zespołu żab.

— Ty zawsze tylko żartujesz.

Mały Perełka uderzył pięścią w stół.

— Jak się będziecie kłócić, to ja występuję z Klubu.

Ostrzeżenie to podziało łągodząco na rozdrażnionych chłopców.

Umówili się, że po śniadaniu pójdą do szałasów i tam omówią najważniejsze sprawy dnia.

W szafasie było mroczno, chłodno i zacisznie. Lekki wiaterek przelatował poprzez plecione ściany i szeleścił w cetynowym dachu, a światło kładło się jasnymi pręgami na twarzach chłopców. Wszyscy mieli niezwykle poważne miny, w oczach tliły się ogniki podniecenia.

— Jak ciocię kocham — powtórzył jeszcze raz Paragon. — Mówię wam legalnie, że nie mogę powiedzieć.

Mandżaro patrzył nań z niedowierzaniem.

— Wydaje mi się bardzo podejrzane, że nie chcesz złożyć sprawozdania.

— Jeżeli nie chce, to nie może — zachnął się mały Perełka.

Paragon walnął się pięścią w piersi, aż zadudniło.

— Daję wam słowo detektywa, że nie mogę. — Po chwili dorzucił ciszej: — Tu chodzi o moje życie.

Chłopcy zamilkli, pobledli z wrażenia.

— O życie? — wyszeptał Perełka i z bojaźnią spojrział na bohatera ubiegłej nocy.

Mandżaro zaczął grzebać patykiem w trawie.

— Jeżeli nam nie ufasz, to trudno... My cię nie będziemy zmuszali... Ale zrozum, że jednak jesteśmy Klubem i jeżeli jesteś w niebezpieczeństwie, to możemy ci pomóc.

Maniuś zamyślił się. Długo tarł policzek i przesunął kolarkę z jednego ucha na drugie, zanim wykrztusił:

— No, dobra, powiem wam, ale musicie przysiąc, że to między nami zostanie, bo inaczej... bo inaczej... — spojrział na kolegów i w jego oczach zapaliły się żywe ogniki — bo inaczej smutna moja i wasza dola!

Znowu zapanowała długa, przewlekająca się cisza. Chłopcy patrzyli na Paragona z wzrastającym podziwem. Jeżeli Maniuś żądał przysięgi, to widocznie musiało się stać coś niezwykłego. Maniuś bowiem nie był skory do przesady.

— Na co mamy przysięgać? — zapytał Mandżaro głosem, w którym skondensowana była powaga obecnej chwili.

— Na przyjaźń i wierność naszemu Klubowi — zaproponował Perełka.

— Dobrze — zgodził się Paragon.

Spletli mocno dłonie i, patrząc sobie w oczy, powtarzali za Maniusiem:

— Przysięgamy na naszą przyjaźń i na wierność naszemu Klubowi Młodych Detektywów, że nikomu nie powiemy tego, o czym się teraz dowiemy.

Potrząsnęli mocno splecionymi dłońmi, a gdy nastąpiło milczenie, zwrócili oczy na Paragona.

— Więc mów! — przynaglił go Mandżaro.

Maniuś ułożył się wygodnie, wsparł się na łokciu i zaczął po swojemu, z werwą i temperamentem, opowiadać zdarzenia ubiegłej nocy. Opowiadanie zakończył tymi słowami:

— Mówię wam, ten brodacz ma chyba dwa metry i taką siłę w łapach, że jak mnie chwycił, to myślałem, że mi kości połamie. Z takimi nie warto zaczynać. Jeżeli się dowie, że pisałem choć jedno słówko, to zrobi ze mnie żalosną marmoladę.

Chłopcy patrzyli teraz na Paragona jak na bohatera, który powrócił z samego dna piekła.

— Kto to może być? — zapytał w zamyśleniu Perełka.

— Zaręczam ci, że nie duch, bo powiedział, że jest z Warszawy — odpowiedział Paragon.

— A ten drut — wtrącił Mandżaro — jaki to był drut i do czego służył?

Paragon uśmiechnął się kpiąco.

— Zdaje mi się, Mandżaro, że ciebie kwiczołami karmili. Gdybyś, bracie, wyrznął ciemieniem w

kupę żwiru, to byś się zastanawiał, jaki to był drut? Okrągły i metalowy, jak ciocię Kocham!

Mandżaro z przejęciem tarł czoło. Zdawało się, że w ten sposób chce pobudzić szare komórki mózgowe do intensywniejszej pracy. Wreszcie powiedział z namaszczeniem:

— Zdaje mi się, że jesteśmy na śladach niezwykle przestępców, którzy posługują się nowoczesnymi środkami technicznymi. Czekają nas cholernie trudne zadanie. Po pierwsze, musimy dowiedzieć się, kto to jest ten dwumetrowy brodacza...

— Nie radzę ci, Mandżaro — wtrącił nieśmiało Perełka. — On może zrobić z nas żalną marmoladę.

— Nie przerywaj! — skarcił go Mandżaro. Trąc coraz mocniej czoło, ciągnął: — Po drugie, musimy sprawdzić, co to za drut i do czego służy. A po trzecie, musimy się dowiedzieć, co to za duchy straszą na zamku.

— Bez pudła — zawyrokował Paragon i po raz pierwszy od przyjazdu spojrzał na Mandżara łaskawym okiem.

Perełka, chłopiec zawsze skłonny do uniesień i podziwu, chlasnął dłonią w kolano.

— Panowie, mamy pierwszorzędną robótkę! Ta detektywistyczna zagadka bardzo mi się podoba. Tylko co będzie, jeśli brodacza dowie się, że go śledzimy?

— O to chodzi, żeby się nie dowiedział — przerwał mu Mandżaro. — Dobry detektyw potrafi tak działać, że nikt go o to nie podejrzewa.

— Legalnie — potwierdził Paragon.

Mandżaro zadowolony z uznania kolegów chrząknął dwa razy, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie zależy mu na tym.

— Panowie, przystępujemy do działania. Jest nas trzech i mamy trzy zadania. Proponuję, żeby Paragon zajął się duchami i zbadał zamek.

— Zrobi się — Maniś skinął przytakująco głową. — Od wczoraj to moja specjalność.

— Ty, Boguś — zwrócił się Mandżaro do Perełki — będziesz miał za zadanie wysledzić brodacza...

— Ojej! — skrzywił się Perełka. — Czy ja zawsze muszę dostać najtrudniejszą robotę?

— Nie martw się — pocieszył go Paragon. — On wcale nie taki straszny.

— Przecież powiedział, że zrobi z ciebie marmoladę.

— To ze mnie, a nie z ciebie. Zresztą on ciebie przecież nie zna.

— W takich sprawach nie powinno być dyskusji — przerwał im Mandżaro. — Inspektor Albinowski otrzymał zadanie, i kropka.

Powiedział to tak stanowczo, że Perełka zatrzepotał tylko rudawymi rękami i zamilkł. Mandżaro zaś dokończył: — Ja natomiast zajmę się drutem i obejmę dozór nad całą sprawą. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

— Tak — westchnął Paragon — zobaczymy, co z tego wyniknie.

W tej chwili zrozumiał, że Klub Młodych Detektywów to już nie czcza gadanina, lecz najrzeczywistsza prawda.

2

Rozeszli się przy przystani. Mandżaro jeszcze raz zapytał Paragona:

— Gdzie jest ten drut?

— Mówiłem ci już, że niedaleko drogi, przy wielkiej kupie żwiru. — Pstryknął w połamany daszek kolarki i rzucił na pożegnanie: — Czołem, szefie! Ciao!

Gwiżdżąc zawadiacko swoje ulubione „Ri-fi-fi”, zaczął wspinać się pod strome, porośnięte jałowcem, głógiem i tarniną zbocze. Ledwie widoczna wśród gęstej trawy ścieżka prowadziła

ostrymi zakosami aż pod samą basztę. A baszta wisiała nad skłonem szarą, ponurą, kamienną ścianą. Na jej widok Manusia przeszły ciarki. Przypomniał sobie ubiegłą noc i naraz zadanie, którego się podjął, wydało mu się ponad siły.

Zatrzymał się wśród gęstej tarniny. Z ulgą spojrzął za siebie. Pod nim, w zielonym pierścieniu lasu, leżało spokojne jezioro. Jego tafla odbijała wyraźnie posępną, kamienną basztę. Przez środek ciemnej wody płynął kajak. Ciągnął za sobą ślad podobny do narastających na siebie trójkątów. W ukośnych promieniach słońca migotały dwa wiosła jak muskające przezrocze skrzydła ważki. A dalej, u drugiego brzegu, dryfowała wolno żaglówka. Jej biały żagiel, ledwie wzdęty słabym podmuchem wiatru, sunął jak wycięty z papieru trójkąt. Na przystani kilku pływaków rozbijało wodę w pienne bryzgi. Było cicho i pogodnie.

Cicho i pogodnie było nad jeziorem, lecz w myślach chłopca rozgrywała się walka. Jak miło i przyjemnie byłoby kąpać się teraz w jeziorze. Skakać z pomostu do wody, z dna wyławiać muszle i kamienie, a potem leżeć na wygrzonym piasku.

Paragon przeżywał chwilę słabości. Lecz wnet ciekawość, która kazała mu wczoraj iść na nocną wyprawę, pchnęła go w dalszą drogę. „Każdy detektyw przeżywa coś podobnego — pomyślał. — Człowiek nie jest z żelaza. Trzymaj się, Paragon. Nie wiadomo, co cię czeka”. Jeszcze raz zagwizdał „Ri-fi-fi” i wnet pozbył się wszelkich wątpliwości. Należał do chłopców, którzy nie lubią się wahać, a życie traktują z pobłażliwą życzliwością.

W kilka minut był już pod basztą.

Spojrzął w górę. Chropowaty mur z wybrzuszeniami strzelnic i flank piął się ku niebu. Zdawało się, że wspiera krawędź o płynące obłoki. Okrążył basztę. Wnet znalazł się u gotyckiej bramy prowadzącej na zamkowy dziedziniec. Rozejrzał się. Było zupełnie cicho i pusto. Tak cicho i tak pusto, że aż w uszach dzwoniło i zapierało dech. Niżej, przy wybrukowanej kocimi łbami drodze, stał opustoszały barak. Przez otwarte okna widać było rozbebeszone prycze i słomę rozrzuconą między nimi.

Po murze przebiegła zielona jaszczurka. Zastygła na gładkim piaskowcu jak miniaturowa broszka wykuta z malachitu. Potem zielonym wężykiem mignęła wśród liści dzikiego wina i zapadła w cienistą szczelinę.

Wszedł wolno na dziedziniec. Tutaj jeszcze głębsza cisza zalegała chłodną, cienistą przestrzeń. Chłopiec zatrzymał się na środku dziedzińca. Wolno wodził oczyma po starych, do połowy winem porośniętych murach. Naraz drgnął. Usłyszał ciche brzęknięcie, a potem w podziemiach prowadzących do lewego skrzydła zamku zobaczył starego mężczyznę z wiadrami podzwaniającymi na nosidłach.

Pierwszą myślą było — uciekać. Lecz gdy starzec wynurzył się z cienia i wszedł na dziedziniec, chłopiec zbliżył się do niego. Uniósł wolno rękę do daszka i warszawskim zwyczajem przywitał go wesoło:

— Szanowanie panu! Może pomóc, bo ciężko z dwoma wiadrami?

Staruszek, ujęty uprzejmością chłopca, przystanął. Przyjrzał mu się uważniej. Rzekł starczym, zdartym głosem:

— Ty pewno z wycieczką? Dzisiaj baszta zamknięta.

Paragon momentalnie podchwycił tę myśl i powiedział niby od niechcenia:

— Szkoda. Z baszty pewno szlagierowy widok... Najładniejszy z całej okolicy. Zagranicznym gościom w ramach wymiany kulturalnej można pokazywać.

Na takie zagajenie staruszek postawił wiadra z nosidłami na ziemi, zamrugał żółtymi jak wosk powiekami.

— A skąd ty jesteś?

— Ja z Warszawy, z Woli. Okolice szanownego pana mogłaby nam kochane dewizy dawać. Tylko czy u nas znajdują się na handlu?

Nawet nie spostrzegł, jak z początkującego detektywa przeistoczył się w Manusia — czarodzieja z Górczewskiej. Tak zaciekawił staruszkę, że ten uśmiechnął się przyjaźnie.

— Miły z ciebie chłopiec.

— Co robić? U nas na Górczewskiej sami mili. Mówię panu, co jeden to miłszy. Staruszek roześmiał się szczerze, aż mu grdyka zadrgała, a jasne oczy zaszyły łzami.

— Chętnie bym cię wpuścił, ale nie pozwolili. Kazali zamknąć aż do odwołania.

— To pan szanowny dyrektorem tego przedsiębiorstwa?

Staruszek machnął ręką, jakby muchy od siebie odganiał.

— Jaki ja tam dyrektor. Ja tu stróżuję i bilety na basztę sprzedaję.

— To szanowny pan kasjerem, że tak powiem.

— Ani kasjer, ani szanowny pan. Mnie tu po prostu dziadkiem nazywają.

Paragon doszedł do wniosku, że już zjednął sobie miłego dziadka, przeszedł więc do tematu.

— Słyszałem, że u szanownego dziadka duchy ostatnio grasują.

Uśmiechnięta twarz dziadka stężała, jakby ją ściała chłodny powiew.

Rozejrzał się dokoła, chrząknął kilka razy i nie powiedziawszy słowa schylił się po wiadra.

„Źle zacząłem” — pomyślał Paragon. Nie zrażony pierwszym niepowodzeniem, uśmiechnął się tajemniczo, przymrużył łobuzersko oko.

— To pewno dlatego szanownemu dziadkowi kazali zamknąć basztę?

Dziadek postawił wiadra.

— A ty skąd wiesz?

— Wiem coś niecoś... — powiedział z namysłem i naraz, jak natchnienie, przysłała mu do głowy znakomita myśl. Palnął więc odważnie:

— Mówił mi taki duży pan z ryżą brodą.

Dziadek jeszcze szerzej rozdziawił usta.

— Ten asystent?

— Ten sam — odrzekł bez zastanowienia.

Dziadek pokiwał głową.

— Tak, tak... Duchy, nie duchy, a ja ci radzę, ty się lepiej do tego nie wtrącaj. — Podniósł wiadra i nie patrząc na chłopca, skierował się ku stojącej na środku dziedzińca studni.

— Może dziadkowi pomóc? — zawołał chłopiec. Lecz dziadek nawet się nie obejrzał.

Maniś chciał iść za nim. Pomyślał jednak, że w tej sytuacji natręctwo może tylko zaszkodzić. Stał chwilę pogrążony w myślach. Przypuszczenia jego częściowo się sprawdziły. Nieznajomy brodacz jest prawdopodobnie tym człowiekiem, o którym wspomniał w rozmowie dziadek. Należy jedynie to sprawdzić. A jeśli tak jest, to sprawa przedstawia się korzystnie. Zerwany wczoraj drut powinien odsłonić rąbek tajemnicy. Zastanowiły go jednak słowa dziadka: „Duchy, nie duchy”. Chyba nie duchy, skoro posługują się drutami. A więc kto? Zapewne ktoś groźny, jeśli dziadek ostrzegł go tak wyraźnie. Może groźni przestępcy, którzy nie chcieli dopuścić do rozbiórki lewego skrzydła zamku?

Naraz w umyśle zamaconym nawalem dociekań rozjaśniło się. Paragon palnął dłonią w czoło, roześmiał się głośno.

„Ciemna maso! — powiedział sobie. — Trzeba tylko trochę pokombinować. Jeżeli „duchy” nie chciały dopuścić do rozbiórki lewego skrzydła, to w tym skrzydle muszą mieć coś ukrytego. A co może być ukryte w starym zamczysku, jak nie zrabowane skarby?”

Skarby! To jedno czarodziejskie słowo wprowadziło go w stan całkowitego oszołomienia. Postanowił jak najszybciej podzielić się swymi genialnymi spostrzeżeniami z pozostałymi członkami Klubu. Ruszył więc pędem ku bramie.

Staruszek, który właśnie wyciągał wiadro ze studni, zawołał za nim:

— Hej, mały! Przyjdź jutro, to cię zaprowadzę na basztę!

Ale Paragon nie słyszał jego słów. Przebiegł przez bramę. Puścił się prosto w dół pędem, na złamanie karku.

3

Mandżaro i Perełka po rozstaniu z Paragonem postanowili wspólnie szukać miejsca, w którym Maniś natrafił wczoraj na drut. Nie należało to do wyczynów największej miary. Wkrótce, niedaleko drogi prowadzącej na zamek, zobaczyli dużą kupę żwiru. Obeszli ją kilka razy dokoła, czyniąc coraz większe kręgi, aż wreszcie Perełka zahaczył nogą o leżący w trawie drut. Był to dość gruby przewód elektryczny w przezroczystej izolacji ze sztucznego tworzywa. Wnet odnaleźli również miejsce przerwania. Teraz było już złączone węzłem i owinięte starannie izolacją.

Perełka, klęcząc nad węzłem, powiedział do Mandżara z przekąsem:

— Widzisz, nie chciałeś wierzyć Paragonowi. Wszystko się zgadza.

— Paragon lubi bujać — bronił się Mandżaro.

— On czasem lubi sobie bujać, ale nie w takich sprawach. — Potem dodał poważnie: — Ktoś tu był rano i połączył zerwany drut. Widzisz świeże ślady?

Istotnie, w miejscach odsłoniętych i nie zarosłych widniały wyraźnie ślady trampek z charakterystycznymi nacięciami podeszwy.

— To pewno ten brodacz — wyszeptał Mandżaro.

— Ciekawe, do czego ten drut służy?

— Ba, gdybym ja wiedział. Na tym właśnie polega moje zadanie, żeby wydedukować...

— No to dedukuj — uśmiechnął się Perełka. — Ja muszę poszukać brodacza.

Na samą myśl o olbrzymie Perełce nogi zadrżały w kolanach. „Łatwo powiedzieć: poszukam brodacza. Gdzie go mam szukać? Co mam zrobić, jeżeli go znajdę? Czy w ogóle brodacz istnieje? A jeżeli istnieje, czy nie zechce mu się zrobić ze mnie marmolady?” Tego rodzaju wątpliwości i obawy nasunęły się Perełce, gdy patrzył na tajemniczy przewód elektryczny, ginący w gęstych zasiękach tarniny.

— Mam plan działania — powiedział pełen rozsądku Mandżaro. — Ja pójdę wzdłuż tego drutu w stronę zamku, do góry, a ty w dół.

— A jeśli drut się skończy?

— Taki drut ma zawsze dwa końce — filozofował Mandżaro. — A na dwóch końcach są dwa rozwiązania zagadki. No, cześć! — skinął mu ręką. — Spotkamy się na obiedzie.

Skulona postać Mandżara zniknęła w krzakach. Mały Perełka został sam. Nie mógł uwolnić się od przykrego uczucia, że ktoś go śledzi z oddali. „Jeśli to jest ten brodaty olbrzym, to smutny mój los” — pomyślał i naraz poczuł, że włosy jeżą mu się ze strachu. Ukrył się więc w tarninie i z niezbyt tęgą miną spojrzął na przewód. „Dokąd on mnie zaprowadzi?” — medytował, ale właściwie nie było czasu na jałowe rozmyślenia. Otrzymał od Mandżara ważne zadanie, które należało wykonać. Perełka był chłopcem zdyscyplinowanym. Zaczął więc schodzić wzdłuż ukrytego w krzewach przewodu.

Zadanie okazało się dość skomplikowane i trudne. Biała nitka przewodu co chwila ginęła w najgęstszych zaroślach. Perełka musiał przedzierać się przez zasięki kolczastych gałęzi, przebijać się przez gęstwiny, czołgać wśród kamieni i rumowiska. Po kilku minutach uciążliwego marszu był cały zlany potem, miał podrapaną twarz, ręce i nogi, i dyszał ciężko strudzony.

Na szczęście odcinek nie był długi. Nasz detektyw po jakimś czasie ze zdumieniem zobaczył przed sobą małą polankę, a na polance dwa duże namioty. Przewód prowadził do jednego z nich, stojącego bliżej zarośli. Z radością pomyślał, że znalazł jeden koniec tajemniczego drutu.

I położył się za kępą karłowatych jałowców, przylgnął mocno do ziemi, z bijącym sercem obserwował namioty. Były dość duże, prawdopodobnie sześćosobowe. Wejścia do nich znajdowały się po przeciwnej stronie. Na linkach suszyła się bielizna: skarpetki, koszule, ręczniki. Wiatr poruszał nimi jak banderami na żagłowie. Panowała cisza. Zdawało się, że wewnątrz nikogo nie ma.

Naraz odezwało się ciche stukanie maszyny do pisania. W niezmaconej ciszy letniego przedpołudnia zabrzmiało ono tajemniczo i groźnie, lecz wnet urwało się, by za chwilę posypać się suchymi uderzeniami jak odgłos gradu na napiętym płótnie namiotu. Po chwili odezwał się czyjś głos. Z tej odległości Perełka nie mógł wyłowić ani jednego słowa. Postanowił więc podczołgać się bliżej. Nie odrywając głowy od trawy, sunął po ziemi jak skradający się kot. Osłaniały go gęste chwasty i wielkie parasole łopuchowych liści. Gdy był już blisko kołków podtrzymujących linki, zatrzymał się. Uniósł lekko głowę. Maszyna stuknęła wyraźnie, jakby znajdowała się blisko ucha, a gdy ustała, dał się słyszeć męski wesoły głos:

— No, na dziś chyba dosyć.

Perełka jeszcze mocniej przylgnął do ziemi. Gdyby mógł, rozplaszczyłby się jak placek, zostałby płamą albo wsiąkłby w kamienie. Tymczasem usłyszał miły głos kobiecy:

— Jeżeli duchy będą łaskawe, to pozwolą nam skończyć jeszcze w tym tygodniu.

Perełka poczuł, że skóra mu cierpnie. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad swoim położeniem, gdyż znowu zabrzmiał głos męski, tubalny i ciepły:

— Duchy są na naszym utrzymaniu. A zresztą mam nadzieję, że profesor załatwi w Warszawie.

Kobieta roześmiała się głośnie.

— A gdzie są teraz nasze duchy?

— Jedne poszły na zamek, a drugie kąpać się do jeziora — odpowiedział głos męski.

— To wiesz co? Chodźmy i my nad jezioro. Trzeba się trochę ochłodzić. W południe będzie upał.

Coś zaszeleściło w środku namiotu. Perełka nie wytrzymał tej wyczerpującej próby nerwów. Zerwał się. Kilkoma susami znalazł się znowu za jałowcem. Był przekonany, że za chwilę z namiotu wyjdą co najmniej upiory. „Co za dziwna historia? — plątało mu się w głowie. — Jedne duchy straszą na zamku, drugie kąpią się w jeziorze, a trzecie piszą na maszynie”.

Naraz zastygł. Spoza namiotu wychyliła się kędzierzawa głowa. Ujrzał najpierw ogorzałą na brąz twarz, duże, błyszczące oczy, a potem... rudawą brodę.

„Olbrzym z brodą!”

Chciał uciekać, ale widok brodacza odebrał mu zupełnie zdolność poruszania się. Młody detektyw zamknął oczy. Usłyszał wesoły, niemal dobroduszny śmiech. Przemógł strach, spojrzął w kierunku namiotu. Olbrzym stał, przeciągając się leniwie i błyskając zdrowymi zębami. Teraz już nie wydawał się taki straszny ani tak bardzo wielki. Był słusznego wzrostu, szeroki w ramionach, dobrze zbudowany. Robił wrażenie normalnego, nawet sympatycznego człowieka. Perełkę olśniła nieoczekiwanie myśl: „Te duchy to pewno koledzy brodacza i tej miłej, młodej pani, która wyszła za nim z namiotu”.

Była bardzo ładna i bardzo wesoła. Oboje śmiali się bez przerwy i żartowali z czegoś, czego wystraszony Perełka niestety nie mógł zrozumieć.

Brodacz zdjął z linki ręcznik, slipy i koszulę, jego towarzyszka zabrała kostium kąpielowy, wzięli

się za ręce i pobiegli w stronę lasu. W niczym nie przypominali ani duchów, ani upiórów. Byli pełni młodości, radości i szczęścia.

Perełka uniósł się wolno z ziemi. Świat był pogodny, słoneczny, pachnący trawami, jałowcem i żywicą. Ciemne, ponure myśli pierzchły bezpowrotnie. Perełka doznał niewysłowionej ulgi. Podskoczył kilka razy jak konik polny. Ruszył za brodaczem i jego towarzyszką.

Zadanie należało wypełnić do końca.

4

Droga wiodąca w górę wzdłuż tajemniczego przewodu okazała się dużo cięższa. Mandżaro musiał dobrze się namozolić, by przedrzeć się przez dżunglę tarninowych zasieków. Wnet jednak znalazł się przy drodze wiodącej do głównej bramy. Tutaj przewód ginął w betonowym przepuście. Skrupulatny szef brygady nie zastanawiał się długo. Wpełznął do betonowej rury, przeczołgał się na drugą stronę, oczyszczając przepust z naniesionego błota i mułu. Po tym wyczynie podobniejszy był do kreta niż do normalnego chłopca. We włosach, uszach, w dziurkach nosa miał pełno mułu. Między zębami zgrzytały mu ziarenka piasku.

W pewnym miejscu, niedaleko murów zamku, przewód ginął w rumowisku skalnym. Jego biała nitka więzła w wielkich, zwietrzałych kamieniach. Mandżaro otarł rękawem pot z czoła. Zastanawiał się, czy warto odwalać kamień po kamieniu. Gdy jednak zabrał się do pierwszego, starając się bez skutku go poruszyć, zrezygnował. Okrążył więc rumowisko, rozgarniając każdy krzaczek, każdą kępę trawy. Po godzinie poszukiwań z radością odnalazł wątlą nić przewodu.

Poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Wyciągnął się na suchej trawie, odetchnął, pobiegł wzrokiem za pulchnym, różowym obłokiem i na chwilę zapomniał o niepokojącej zagadce. W tarninie pełno było ptaków. Smykały wśród ciemnej gęstwiny jak ryby w akwarium. Spostrzegł małego, barwnego szczygła; ptak usiadł na suchym oście; kołysząc się wydziobywał zeschnięte nasiona.

Naraz w sielankową niemal ciszę wdarł się brutalnie głos ludzki. Ktoś zakryty krzewami mówił z rozważą:

— Jak sądzisz, czy ten fragment murów pochodzi z czternastego, czy z piętnastego wieku?

— Wydaje mi się — odpowiedział głos drugi — że tę część dobudowano później.

Mandżaro, wyrwany z miłego leniuchowania, zerwał się, wychylił głowę zza krzaków. Pod murami, które w tym miejscu pięły się wysoko ponad otaczające je drzewa, zobaczył dwóch młodzieńców. Siedzieli na wielkim głazie. Jeden z nich, ubrany w szorty i kraciastą koszulę, szkicował coś w rozłożonym na kolanach bloku. Drugi, w dżinsach i szerokim, słomkowym kapeluszu, zwijał wolno mierniczą taśmę.

„Co oni tu robią? — myślał Mandżaro. — Kto to może być? Chyba nie przestępcy...”

Młodzieniec w wielkim, słomkowym kapeluszu zeskoczył nagle ze skały.

— Dokąd idziesz? — zapytał jego towarzysz.

Człowiek w słomkowym kapeluszu nie zatrzymując się odkrzyknął:

— Muszę sprawdzić, czy przewód nie zerwany!

Człowiek w kapeluszu zbliżył się do miejsca, gdzie przewód opuszczał rumowisko skalne. Po chwili dał się słyszeć jego głos:

— W porządku. Wczoraj Antoniusz mówił, że jakiś chłopiec zerwał mu przewód przy drodze.

— To o Paragonie — wyszeptał Mandżaro i przyłgął płasko do ziemi.

Młodzieniec w szortach zapytał:

— Czy dzisiaj znowu straszymy?

— Tak, ale tylko raz, po zmroku, żeby nie pomyśleli, że duchy się i wyniosły.

— Ciekaw jestem, kiedy oni się skapują.

— Nie mam pojęcia, ale tamci robotnicy już chyba nie wrócą.

Na tym rozmowa się urwała. Mandżaro usłyszał oddalające się kroki i wesoły, beztroski śmiech odchodzących. Gdy wynurzył się z krzaków, daleko za zakrętem drogi ujrzał biały kapelusz i nagie plecy młodzieńca w dzinsach. Zatarł z radością dłonie. Jako chłopiec nadzwyczaj skrupulatny, wyjął z kieszeni notes i długopis. Starał się w notesie odtworzyć usłyszaną rozmowę.

„Dobra jest! — myślał, zapisując każde słowo. — Ci przebiegli przestępcy udają, że mierzą mury. Ale my, detektywi, jesteśmy sprytniejsi. Nie damy się nabrać. — Roześmiał się ze złośliwą satysfakcją. — »Jak sądzisz, czy ten fragment murów pochodzi z czternastego wieku?« Dobrze się maskują, a tymczasem prowadzą przewód elektryczny do zamku, żeby wywoływać efekty świetlne i straszyć robotników. Znamy się na tym... A więc mamy do czynienia z niezwykle przebiegłymi przestępcami, którzy posługują się najnowszą techniką i duchami. Poczekajcie! My się do was dobierzemy! Herszt bandy, który wczoraj przyłapał Paragona, nazywa się Antoniusz. To pewno jego kryptonim. Poczekaj, ptaszku, jeszcze inaczej zaśpiewasz!”

Skończywszy zwięzłe sprawozdanie, postanowił iść dalej za nitką przewodu. Był już pewny, że doprowadzi go ona do nowego, wielkiego odkrycia. Przewód, sprytnie i dokładnie ukryty wśród zarośli, zawiódł go aż pod wysoki mur lewego skrzydła. Tutaj poprowadzono go po pniu gęstego świerka. Mandżaro nie namyślał się długo. Wspiął się na drzewo. Gdy był na wysokości małego prześwitu w murze, spostrzegł, że drut przywiązano do gałęzi i przerzucono na drugą stronę muru. Trzeba było cofnąć się, a potem wewnątrz murów lewego skrzydła szukać dalej przewodu.

Ześliznął się szybko z drzewa. Dłonie miał lepkie od żywicy, a kolana zdarte do krwi, lecz nie przejmował się tym wcale. Myśl, że wnet rozwiąże tajemniczą zagadkę, pchała go wciąż naprzód. Znalazł w murze szeroką wyrwę, przecisnął się przez nią bez trudu i był już po drugiej stronie. Tu niepodzielnie panowały chwasty. Sięgały chłopcu do pasa. Były to niestety chwasty złośliwe, rosnące prawdopodobnie jedynie w tym celu, by utrudnić pracę młodemu detektywowi. Przed nim bowiem rozciągała się wzdłuż fosy prawdziwa dżungla pokrzyw, tak gęsta, że trudno było przedrzeć się przez nią.

Mandżaro spojrzął załóżnie na swe pokiereszowane nagie kolana, zacisnął mocno zęby. „Raz kozie śmierć!” — pomyślał i rzucił się w tę dżunglę jak w zielony, piekący nurt. Brodził w nim, sycząc z bólu. Podrapane kolana i łydki paliły, smagane żywym ogniem. Lecz cóż znaczy ból wobec myśli, że za chwilę odkryje wielką tajemnicę.

Gdy dobrnął do prześwitu, z radością ujrzał białe pasemko przewodu ukryte w załamaniach muru. Spływało ono aż na dno fosy, w samo piekło pokrzyw, a potem przez otwór okienny przechodziło już do budynku. W tym miejscu mury były najbardziej zniszczone. Strop leżał w gruzach, a w załamaniach i rozpadlinach rosły drobne krzewy i drzewka, jak gdyby natura chciała przystroić ruiny i zatrzeć ślady ich ran.

Zarośla były tu tak gęste, że Mandżaro musiał przebijać się na oślep. Wyciągniętą dłonią przesuwiał wzdłuż drutu. Wolno, krok za krokiem, parł do przodu.

Naraz jego dłoń napotkała coś chłodnego, metalowego. Otworzył oczy, rozchylił gałęzie i syknął ze zdumienia. Tuż nad nim, w szczelinie muru, tkwił wielki głośnik.

Mandżaro przyjrzał mu się uważnie. Obmacał go z wszystkich stron, opukał.

„A więc to tak — pomyślał uszczęśliwiony. — Oto tuba, przez którą przemawiają duchy starego zamczyska”.

Był dumny ze swego odkrycia. Zagadka jednego końca drutu została rozwiązana. Wyobrażał sobie miny dwóch inspektorów — Paragona i Perelki — kiedy stanie przed nimi i powie: „Mam dla

was ciekawe wiadomości”. A może oni mają jeszcze ciekawsze?

Zaczął się niecierpliwić. Wylaź z zarośli. Wyjął notatnik, naszkicował pospiesznie plan sytuacyjny, zaznaczył krzyżykiem miejsce głośnika. Zadowolony z solidnie wykonanej roboty, wracał do leśniczówki.

5

Zzajany, zmęczony, oszołomiony nadzwyczajnym odkryciem, wbiegł na werandę. Z głębi kuchni wyłoniła się zawsze uśmiechnięta pani Lichoniowa.

— Czy jest Boguś albo Paragon? — zapytał z przejęciem.

Pani Lichoniowa na jego widok załamała ręce.

— Matko najświętsza, gdzieś ty był? Co się z tobą stało? Wyglądasz jak straszdyło!

Chłopiec stał przed nią cały umazany błotem. Włosy miał zjeżone, oczy płonące, a twarz, ręce i kolana tak straszliwie pokiereszowane, jakby wrócił z bijatyki albo z dalekiej wyprawy w głąb dżungli. Jedynie zuchowata, zadziorna mina przeczyła jego żalosnemu wyglądowi.

Pani Lichoniowa powtórzyła pytanie:

— Gdzieś ty był, Mandżaro?

Chłopiec uśmiechnął się tajemniczo.

— Ja... proszę pani... spełniałem tylko swój obowiązek.

— Obowiązek? — zdumiała się kobieta. — Jaki obowiązek?

— To tajemnica.

— Może ty masz gorączkę?

— Nie, proszę pani. Jestem zupełnie zdrow.

— W takim razie co się z tobą stało?

— Wypełniłem jedynie zadanie.

Pani Lichoniowa jeszcze raz uniosła ręce do góry ruchem wyrażającym rozpacz i zdumienie.

— Ty pleciesz, mój chłopcze. Może dać ci jakieś proszki?

— Dziękuję.

— W każdym razie umyj się, bo jak na ciebie patrzę, to mi się chce płakać.

Z kłopotliwej sytuacji wybawił Mandżara warkot motoru na drodze prowadzącej do leśniczówki.

— Któż to może jechać? — zapytała gospodyni, przenosząc wzrok z chłopca na skraj lasu.

Przymrużyła oczy, uniosła dłoń do czoła i na chwilę zastygła w tym geście wyczekiwania.

Warkot motoru zbliżał się szybko. Były to dziwne odgłosy, mieszanina skrzypienia starej siewczkarni z grzmotami środków wybuchowych. Mandżaro, zaciekawiony tymi niezwykłymi zjawiskami akustycznymi, stanął obok gospodyni. Był przekonany, że za chwilę z lasu wyłoni się maszyna piekielna lub rakietka międzyplanetarna. Długą chwilę czekali z rosnącym niepokojem, aż wreszcie na polanę wjechał przedziwny pojazd.

Miał cztery koła — to fakt, miał karoserię — to fakt, miał maskę i przednią szybę — to też nie ulegało wątpliwości, lecz w gruncie rzeczy przypominał raczej przedpotopowy wehikuł aniżeli współczesny samochód. Prychał przy tym, jakby jego wnętrzości trawiła piekielna siarka, a z rury wydechowej wyrzucał potężne kłęby ciemnego dymu.

Pseudosamochód zatoczył krąg, zachwiał się na rachitycznych kołach, prychnął z wściekłością i zatrzymał się przed werandą.

Z jego wnętrza wygramolił się z trudem przedziwny osobnik. Był niezwykle wysoki i niezwykle chudy, a przy tym tak przygarbiony, że kształtem przypominał olbrzymi znak zapytania. Nosił szerokie, sięgające kolan szorty z kraciastego drelichu, trykotową koszulę w poprzeczne białoniebieskie pasy, a na czubku jego łysej jak kolano głowy tkwiła mała, płócienna furażerka. Ten

młodszy strój uzupełniały olbrzymie buty na wibradowej podeszwie i mapnik zwisający z boku. Twarz miał suchą, pomarszczoną i spaloną słońcem. Na wielkim, łuszczącym się nosie tkwiły okulary w rogowej oprawie, spoza których patrzyły małe, zamglone oczy krótkowidza.

Dziwaczny przybysz wyprostował się, przetaił okulary i spojrzał na osłupiałą gospodynię.

— Podobno wynajmuje pani pokoje? — powiedział po chwili.

Pani Lichoniowa cofnęła się o krok.

— Jest jeden mały pokój, ale jestem pewna, że nie będzie się panu podobał.

Kto inny po takiej odpowiedzi odjechałby czym prędzej, ale oryginalny automobilista przetaił jeszcze raz okulary i rzekł niezwykle przewlekłe:

— Zooobaczmy.

— A pan na długo?

— Zobaczymy — powtórzył i nie obejrzawszy się nawet na gospodynię, wszedł na werandę.

Mandżaro z niedowierzaniem patrzył na jego chude, długie nogi obrośnięte gęsto czarnymi włosami. Dziwił się, jak można poruszać się na takich szrudłach. Pani Lichoniowa zauważyła z przekąsem:

— Pokój jest ciemny, na pewno nie będzie się dla pana nadawał.

Nieznajomy nie odwróciwszy się bąknął:

— Lubię ciemne pokoje.

— I wynajmujemy najmniej na dwa tygodnie.

— Zapłacę pani za miesiąc.

— I... jest brzydki! — krzyknęła niemal.

Nieznajomy nie dał się wyprowadzić z równowagi. Robił wrażenie człowieka nie reagującego na żadne ziemskie zjawiska. Pani Lichoniowa uczyniła w stronę Mandżara rozpaczliwy gest, jakby chciała powiedzieć: „Co ja mam zrobić z tym typem?” Potem wzruszywszy ramionami zaprowadziła nieproszonego gościa w głąb mieszkania.

„Kto to może być? — zastanawiał się Mandżaro. Niezwykła postać przybysza wydała mu się ogromnie tajemnicza. — Może to jeszcze jeden przestępca? — Szef Klubu Detektywów przystąpił momentalnie do fachowej oceny osobnika. Sama postawa tego dziwaka wzbudzała podejrzenie. — Jeżeli to przestępca, to nie jest tak źle — rozumował. — Będziemy go mieli pod ręką. A może ten człowiek ma coś wspólnego z tajemniczymi zjawiskami na zamku?”

Wiedziony tą myślą zbliżył się do wehikułu, który tylko z litości można było nazwać samochodem. Dziwaczny ten pojazd nie miał przednich błotników, a blachy maski odstawały od karoserii jak nie zwinięte skrzydła wielkiego, oskubanego ptaka. Wewnątrz znajdowało się tylko przednie siedzenie obite popękana skórą, spod której wyłaziły kłaczki morskiej trawy. Jednym słowem, przedziwny, przedpotopowy gruchot marki austro-daimler.

Mandżaro odnosił wrażenie, że gdy głębiej odetchnie, to samochód rozleci się na części. Zbliżył się więc ostrożnie, zajrzał do wnętrza. Wśród starych, połatanych dętek i najrozmaitszych przyrządów samochodowych tkwiła jedna duża, czarna walizka z solidnymi, mosiężnymi zamkami. Chłopiec dużo dałby za to, żeby móc poznać jej zawartość. Wzbudzała bowiem w nim podobne zainteresowanie, co jej właściciel i jego samochód.

Szef Klubu Młodych Detektywów zamyślił się głęboko.

— W tym coś musi być! — wyszeptał w skupieniu. Z głębokiego zamyślenia wyrwał go głos Paragona:

— Szanowanie, panie nadinspektorze!

Obejrzał się gwałtownie. Od strony lasu zbliżali się dwaj inspektorowie — Paragon i Perełka.

Szli różnym krokiem, a ich zuchowate gęby świadczyły, że są w znakomitych humorach i wracają z rannej wyprawy z niezwykle ciekawymi wiadomościami. Na widok przedpotopowego samochodu przyspieszyli kroku.

— Co to? — zapytał zdumiony Paragon.

Mandżaro uniósł palec do ust.

— Ciszej! Mnie się zdaje, że będziemy mieli nowe zadanie.

6

Za gospodarskimi zabudowaniami leśniczówki ciągnął się sad, dalej były pasieki, a dalej gęsty, pachnący żywicą świerkowy młodnik. W południe słychać było w sadzie senne bzykanie pszczół. Jabłonie uginały się pod ciężarem dojrzewających owoców. Przesiane przez gałęzie słońce mżyło delikatnie na zeschniętą trawę.

Tutaj właśnie udali się młodzi detektywi na naradę. Nie mieli jednak zamiaru podziwiać piękna tego zacisznego zakątka. Pełni wrażeń, zajęci własnymi sprawami, oszołomieni nowymi odkryciami — przystąpili do składania raportów.

Pierwszy przemówił Perełka. Jąkając się z przejęcia, opowiedział dokładnie przebieg swej przedpołudniowej służby. Gdy doszedł do momentu odkrycia namiotów i powtórzył usłyszaną rozmowę, Mandżaro przerwał mu gwałtownie:

— Wszystko się sprawdza. Mówiłem, że drut rozwiąże nam zagadkę. W namiocie jest prawdopodobnie urządzenie nadawcze, za pomocą którego brodacze i cała ferajna straszą na zamku. Potwierdza to odnaleziony przeze mnie głośnik.

— To fantastyczne — wyszeptał z przejęciem Perełka.

— Fantastyczne — powtórzył Paragon — ale skąd się wzięła na baszcie zjawia? Przecież nie wyskoczyła z głośnika.

— To inna sprawa — zauważył Mandżaro. — Będiesz miał wieczorem nowe zadanie. Słyszałem, że oni dzisiaj znowu straszą.

— Baszta zamknięta na cztery spusty — zakomunikował Paragon.

— Phi! — Perełka wyduł wargi. — Co to dla takich radiofonizowanych duchów. — Odezwał się nie w porę, gdyż w ten sposób zwrócił na siebie uwagę szefa.

— Słuchaj, Perełka, czyś ty śledził tego brodacza? — zapytał Mandżaro.

— No, jasne!

— I co?

— I nic. Poszedłem za nimi na przystań, a potem klops z powidłami. Odplynęli kajakami na wyspę.

— A ty co?

— Ja? Co miałem robić? Przecież nie jestem rybą.

— Trzeba było popłynąć za nimi.

— Nie ma cudów, za daleko.

— Dobry detektyw zawsze coś wykombinuje.

Paragon obruszył się.

— Ty, Mandżaro, nie gadaj tak, bo jak na ciebie patrzę, to mnie zęby bołą.

Mandżaro utkwiał w nim badawcze spojrzenie.

— A ty?

— Co ja?

— Coś ty wykrył?

Paragon uśmiechnął się tajemniczo.

— Jednego sympatycznego dziadka, który mi na wszystko oczy otworzył. — Wstał nagle, oparł się o drzewo i powiódł kocimi oczami po kolegach. — Trzeba mieć w szanownej czaszce mózdzek elektronowy i umieć trochę kombinować. Jeżeli szanowne duchy nie chcą dopuścić do rozbiórki lewego skrzydła, to co można z tego wydedukować, he? — uśmiechnął się triumfalnie.

Sławni detektywi zbaranieli. Po chwili Mandżaro odparł niepewnie:

— Można wydedukować, że im na tym zależy.

— A dlaczego im na tym zależy?

— No, bo... — Mandżaro utknął. Zaczął nerwowym ruchem trzeć czoło, jakby chciał przyspieszyć oporne myśli.

Perełka skrzywił się.

— No, wał, Paragon! Co ty się tak z nami droczysz?

— Można wydedukować — podjął Paragon — że w tym skrzydle muszą mieć coś zamelinowanego.

Mandżaro przestał trzeć czoło. Popatrzył na swego inspektora z respektem.

— Wiesz, że o tym nie pomyślałem.

Maniuś uderzył się w czoło.

— Elektronowy mózdzek inspektora Paragona pracuje bez awarii. A co może być ukryte w historycznych ruinach?

Perełka zamrugał powiekami.

— Żebym to ja wiedział.

— Skarby! — wyszeptał Paragon.

Oświadczenie to wywołało olbrzymie wrażenie. Przez chwilę stali w milczeniu.

— Skąd wiesz? — zapytał wreszcie Mandżaro.

— Mózdzek elektronowy wydedukował z rozmowy z sympatycznym dziadkiem.

Mandżaro nie dał się jednak zwieść zaskakującej teorii swego inspektora. W jego dociekliwym i skrupulatnym umyśle zrodziły się wątpliwości.

— Bardzo pięknie to wydedukowałeś, ale najpierw trzeba udowodnić.

— Bardzo pięknie to powiedziałaś, ale to proste jak parasol. Sami musimy odnaleźć ukryty skarb.

Perełka wyszeptał drżącymi wargami:

— My... skarby... To fantastyczne!

Szefowi Klubu pomysł ze skarbami wydał się rzeczywiście fantastyczny. Zamyślił się tak głęboko, jak Sherlock Holmes, gdy miał podjąć ważną decyzję.

— Skarby skarbami — rzekł wreszcie — ale my do tej pory nie wiemy, kto to są ci ludzie brodacza.

— Wiadomo! — palnął bez namysłu Paragon. — Sprytna szajka.

— A dlaczego oni mierzą mury, robią rysunki i piszą na maszynie?

— Dla zamydlenia oczu.

— To wszystko jeszcze nie sprawdzone.

— Sprawdzi się, panie nadinspektorze.

— Sprawdzi się — potwierdził Perełka.

— Dobrze — rzekł poważnie Mandżaro. — Dzisiaj wieczorem rozpracujemy całą szajkę.

Nowe określenie szefa spodobało się obu inspektorom. „Rozpracujemy całą szajkę...” Paragon chciał nawet coś powiedzieć na ten temat, ale w tej samej chwili dało się słyszeć wołanie pani Lichoniowej:

— Chłopcy, na obiad! Na obiad!

Młodocianym Sherlockom Holmesom przypomniało się, że od rana nic nie jedli. Paragonowi głośno zaburczało w brzuchu. Mandżaro schował bezcenny notatnik do kieszeni, Perełka pierwszy ruszył ku leśniczówce. Sławni detektywi nie mogą żyć jedynie tropieniem przestępców, zwłaszcza jeżeli na stole czeka smakowity obiad.

ROZDZIAŁ TRZECI

1

O siódmej Paragon był już na dziedzińcu zamkowym. Pamiętał doskonale instrukcje Mandżara: „Bądź ostrożny i za wszelką cenę dowiedz się, jak oni to robią z tą zjawą na baszcie. To dla nas bardzo ważne”.

„Oczywiście, że ważne — pomyślał z przekąsem. — On też ważny. Sam zgodził się wspaniałomyślnie na czekanie w krzakach i przerwanie przewodu. W ten sposób chce jeszcze raz sprawdzić, czy głośnik ma połączenie z namiotem. Strasznie niebezpieczna robota! Małego Perełkę posyła na polanę. Cwaniak! A jak go tam złapią, to powie, że dobry detektyw nigdy nie da się zaskoczyć. A niech mu tam! Wolę tropić ducha na baszcie niż siedzieć w krzakach. Czekaj, panie szefie, będę zasmarkanym krasnalem, jeśli nie złapię za piętę tego ducha z baszty!”

Tak mędrkował pan inspektor Paragon, stojąc na środku dziedzińca i rozglądając się dokoła. Było cicho, tak cicho, że słyszał skapującą w studni wodę i szelest jaszczurek w dzikim winie. Słońce zapadło już za mury. Jeszcze tylko korona baszty lśniła jak odlana z miedzi. Nad basztą jaskółki szyły czysty błękit szybkimi ściegami. Samotna wrona odezwała się w załomie muru, potem spłynęła jak strzęp czarnego płótna. Wśród murów panował przyjemny chłód.

Paragon postanowił przed przystąpieniem do akcji przeprowadzić krótki wywiad z sympatycznym dziadkiem. W tym celu skierował się ku podcieniom. Wśród gęstych chwastów wiła się wydeptana ścieżka. Prowadziła na drugi, mniejszy i jeszcze bardziej zarośnięty dziedziniec. Tutaj właśnie było przejście do lewego skrzydła.

Gdy stanął u wylotu podcieni, ujrzał dziadka szamocącego się z wielką, białą kożą.

— Hej, Zazula! Hej! — wołał dziadek ze złością, starając się skrócić powróż, na którym była uwiązana brodata niewdzięcznica. Zazula stawała dęba, wyrywała się, beczała wniebogłosy.

Maniuś podszedł bliżej.

— Szanowanie dziadkowi — powiedział z wrodzoną galanterią. — Może pomóc poskromić to uparte bydło?

Dziadek wypuścił z rąk sznur.

— Ty znowu tutaj?

— Przyszedłem odwiedzić dziadka — uśmiechnął się przyjaźnie. — Może trzeba wody przynieść?

Dziadek z niedowierzaniem pokręcił siwiutką głową.

— Coś za często tu przychodzisz.

— Okropnie mi się podobają te prehistoryczne ruiny — palnął bez zmrużenia powiek. — A szczególnie piastowska baszta.

Staruszek zmarszczył brwi.

— Już ci mówiłem, że baszta zamknięta. Przyjdź jutro, to cię wpuszczę! Dzisiaj nie mogę.

Maniuś zbliżył się jeszcze bardziej, wspiął się na palce i zapytał szeptem:

— Dziadku, a czy dzisiaj będzie straszyc?

Dziadek ofuknął go:

— A idź ty, smyku! Za dużo chcesz wiedzieć.

Paragon uśmiechnął się szelmowsko.

— To ja dziadkowi powiem: będą, ale krótko...

Dziadek poruszył bladymi wargami. Chciał coś powiedzieć, ale go замуrowało. Paragon wykorzystał tę krótką chwilę.

— Jak się mają szanowne duchy? — zapytał z przekąsem.

Dziadek prychnął jak stary kot.

— A idziesz ty, złe nasienie! Czego tu szukasz? Uważaj, żebyś stąd cały wyszedł. Już późno. Czas wracać do domu.

— Zaraz idę — uspokoił go młody detektyw. — Chciałem się tylko dowiedzieć, co to za ludzie mieszkają pod zamkiem w namiotach.

Dziadek nasrożył rzadkie, pożółkłe od tytoniu wąsy.

— Co ty mnie tak wypytujesz, jakbyś był milicjantem? Wracaj lepiej do domu, bo zaraz się ściemni...

Paragon zrezygnował z dalszych pytań. Zrozumiał, że od dziadka nie wydębi żadnych informacji. Cmoknął więc znacząco, rozejrzał się i rzekł tak beztrosko, jakby przyszedł tutaj jedynie w celu podziwiania widoków.

— Jaki piękny wieczór, aż szkoda odchodzić.

Dziadek uśmiechnął się pojednawczo.

— No, idź już, idź. A jutro rano wpuszczę cię na basztę. Stamtąd dopiero widok! Ho, ho, ho!

Maniuś uniósł dłoń do daszka.

— W takim razie najmiłszych snów! Szanowanie!

— Dobranoc, chłopcze! — pożegnał go z ulgą dziadek.

2

Paragon zniknął w podcieniach. Nie wrócił jednak na wielki dziedziniec. W murze spostrzegł bowiem wyłom prowadzący zapewne do lewego skrzydła zamku. Wyłom był cały zarośnięty dziką kaliną. Na linii, gdzie mury stykały się z ciemniejszym niebem, widać było wielką szczyrbę. Nasz dzielny detektyw ukrył się w gęstwinie. Nasłuchiwał. Było cicho. Widocznie dziadek zdołał już poskromić kozę, gdyż od strony bocznego dziedzińca nie dochodził najmniejszy szmer.

Chłopiec szybko przedarł się przez zarośla, wspiał się po wystęпах w poszczerbionym murze i wnet znalazł się w małej, zacisznej wieżycze. Jej kamienna, na poły chwastami zarośnięta wnęka była osłonięta z trzech stron murami. Gdy wyjrzał przez otwór strzelnicy, z radością stwierdził, że wieżyczka stanowi znakomity punkt obserwacyjny: z jednej strony widać z niej było cały wielki dziedziniec, z drugiej — mały dziedziniec z pasącą się kozą, a dalej ruiny lewego skrzydła zamku.

Ten rejon starego zamku zainteresował chłopca najbardziej. Słyszał już o nim od wujka Perełki. Lewe skrzydło stało się przecież przyczyną nocnych harców zgranej szajki przestępców. Cóż kryło się we wnętrzu tych ruin, że mieszkańcy żółtych namiotów bronili do nich dostępu?

Inspektor Paragon, ukryty w zacisznej wieżycze strzelniczej, bacznie obserwował ruiny lewego skrzydła. Otoczone zmurszałym, wałącym się murem obronnym, zagarnięte niemal całkowicie przez falę chwastów i krzewów, oplecione kaliną i dzikim winem, szczyrzyły jeszcze ku niebu pokruszone zręby ścian i węglów. Na wprost wieżyczki znajdowała się smukła kolumna podpierająca wałący się strop. Pod nią biała kilka marmurowych stopni prowadzących do zacienionego wnętrza jak do tajemniczej jaskini...

Właśnie teraz, gdy obserwował to wejście, spostrzegł ze zdziwieniem wysuwającą się z jego głębi postać. Był to szczupły mężczyzna w jasnych, płóciennych spodniach i granatowej, sportowej koszuli. Z tej odległości trudno było rozpoznać jego rysy twarzy. Paragona uderzyła jedynie bujna czupryna opadająca na kark nieznanego.

Chłopiec cofnął się, wyteżył wzrok... Mężczyzna, który stanął na stopniach, rozejrzał się uważnie, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi... Potem zszedł wolno ze stopni i znikł w cieniu.

„Czego on tam szuka?” — myślał Paragon.

Tajemnicza postać tak bardzo go zainteresowała, że postanowił stwierdzić, kim był nieznajomy. Szybko i zręcznie zsunął się z wieżyczki i wnet znalazł się pod podziemiami. Teraz bardzo ostrożnie skradał się w stronę lewego skrzydła. Wąska ścieżka prowadziła jak nitka wśród bujnych zarośli. Z daleka widać było kamienną kolumnę oświetloną jaskrawo ostatnimi promieniami słońca... Paragon zbliżył się do kolumny. Naraz z lewej strony, w cieniu, ujrzał tego samego człowieka...

Obrócony do chłopca plecami, stał przed rozpiętym na sztalugach kartonem i szybkimi ruchami nakładał farby.

„Malarz” — pomyślał zawiedziony detektyw i westchnął żałośnie.

Malarz odwrócił się gwałtownie, pokazując bladą, nie ogoloną twarz.

— Przepraszam — powiedział rezolutnie chłopiec. — Widzę, że pan tu historyczne mury uwiecznia.

Malarz był zaskoczony.

— Czego tu szukasz? — zapytał opryskliwie.

— Przepraszam — powtórzył chłopiec. Przymrużywszy oko dodał: — Czy można spojrzeć z podziwem na to arcydzieło?

— Nie przeszkadzaj, nie widzisz, że pracuję? — rzekł już malarz łagodniej.

Paragon bez zaproszenia zbliżył się do obrazu. Była to nie dokończona akwarela. Z mokrych jeszcze plam wyłaniały się wyraźne zarysy kolumny i marmurowych schodów. Chłopiec pokręcił z uznaniem głową..

— Pierwszorzędne! Jak ciocię kocham, ja bym czegoś takiego nie namalował!

Tym powiedzeniem rozbroił malarza. Mężczyzna o bladej, zarośniętej twarzy parsknął śmiechem.

— Interesujesz się malarstwem?

— Trochę... Na wiosnę wymalowałem cioci drzwi na olejno. Cud nie robota! — cmoknął z podziwem. — I w ogóle lubię artystów.

— To ładnie — uśmiechnął się malarz.

— Ciekaw jestem, ile pan za taki jeden obraz załapie?

— Niewiele... niewiele.

— To nie warto się męczyć.

Malarz zatrzęsł się cały ze śmiechu.

— Masz rację. Nie warto się męczyć.

Paragon patrzył na akwarelę z miną wielkiego znawcy.

— Ładne to — zauważył — ale ja bym co innego namalował.

— Na przykład?

— Na przykład duchy straszące na baszcie.

Twarcz malarza spochmurniała.

— Duchy? A co ty wiesz o duchach?

— Ja? — Paragon drasnął go uważnym spojrzeniem. — Wiem tylko tyle, że podobno tu straszą.

Malarz chwycił go mocno za ramię.

— Słuchaj — wyszeptał — jeżeli wiesz, kto to straszy, to powiedz. Nie będziesz żałował.

Chłopiec wzruszył ramionami. „Ty, braciszku — pomyślał — jesteś za bardzo ciekawy”. Potem powiedział spokojnie:

— Gdybym wiedział, to bym panu jak na spowiedzi... Ale co ja mogę wiedzieć o duchach? Mnie

duchy nie interesują.

Malarz uspokoił się. Poklepał chłopca po ramieniu.

— Oczywiście... oczywiście, nie powinieneś zajmować się takimi sprawami. — Pchnął go lekko.

— Ale zmykaj już, bo chcę jeszcze trochę popracować. Teraz najciekawsze oświetlenie.

Przymrużonymi oczami powiódł po samotnej kolumnie. Chłopiec odszedł kilka kroków.

— Szanowanie — rzucił uprzejmie. — Życzę, żeby pan szybko opylił to arcydzieło.

Pstryknął w daszek i skierował się w stronę wyłomu w murze. Po chwili przystanął, ukrył się w zaroślach.

Coś mi się ten gość nie podoba — myślał. — Dlaczego tak bardzo wypytywał o duchy? Dlaczego przestał się śmiać, gdy tylko wspomniałem o baszcie? Może on też ma coś wspólnego z tymi strachami? A może...”

Malarz wydał mu się niezwykle podejrzany osobnikiem. Postanowił włączyć go do rejestru przestępców. Zawrócił więc z myślą, że będzie go śledził. Gdy zbliżył się do marmurowych stopni, ze zdumieniem spostrzegł, że po malarzu nie zostało ani śladu.

— Co u licha — szepnęła — przecież zapowiadała, że chce jeszcze malować. „Teraz najciekawsze oświetlenie” — przedrzeźnił go w myśli. Rozejrzał się. Naraz zdało mu się, że ktoś przemknął wzdłuż ruin za kolumną. Rzucił się w tamtym kierunku. Przesadził kilka stopni, wpadł do chłodnej, zionącej mrokiem sali.

Było tu cicho. Kilka smukłych kolumn podpierało walący się strop. W mroku coś zaszeleściło. Paragon cofnął się pospiesznie.

„Niech mnie wieloryb wypluje — pomyślał — jeżeli to nie był ten malarz. Ale czego on tu szuka?”

Całe zdarzenie wydało mu się zastanawiające. Wycofał się na mały dziedziniec. Tutaj było już zupełnie ciemno. Pod murami leżał nieprzenikniony mrok. Nasz młody detektyw przypomniał sobie, że nadinspektor Mandżaro wyznaczył mu ważne zadanie. Postanowił więc wrócić na swój punkt obserwacyjny na wieżyczce. Gdy wspinał się przez wyłom, pomyślał:

„Trzeba mieć oko na tego malarza”.

3

Tymczasem inspektor Perełka leżał w jałowcach za namiotami. Serce kołatało mu w piersi, skóra cierpła na grzbiecie, a na czoło wysypywał się zimny pot. Znajdował się przecież o kilka kroków od niezwykle groźnych przestępców.

Niedawno ukończyli kolację. Mały Perełka tak się przejął swą funkcją, że mimo strachu zanotował w pamięci całe menu. Kolacja składała się z cielecego gulaszu z puszek, herbaty i chleba z dżemem. Jak na groźną szajkę, to niezbyt wykwintny jadłospis. Musiał jednak przyznać, że młodzi ludzie mieli wspaniałe apetyty. Z brzękiem wyskrobywali resztki jedzenia z menażek, a wielkie pajdy chleba znikwały szybko.

Było ich może dziesięciu. Wszyscy młodzi, opaleni, weseli. A jednak napawali go wzrastającym lękiem. Najbardziej bał się brodatego Antoniusza, herszta gangu. Nic więc dziwnego, że na moment nie spuszczał go z oczu. Śledził każdy jego ruch, starał się usłyszeć każde jego słowo. Niestety, do jego uszu dochodziły tylko strzępy rozmów.

Właśnie teraz brodacz zbliżył się do namiotu i zaczął rozmowę z wysokim młodzieńcem w dżinsach i wielkim, słomkowym kapeluszu.

— Jak myślisz, Marek — zapytał — kiedy skończycie swoją robotę?

Młodzieniec wycierał menażkę.

— Nie mam pojęcia, bo znaleźliśmy nowe przejście w podziemiach.

Perełka zamienił się w słuch.

— To ciekawe — rzekł Antoniusz. — Nie wiesz, dokąd ono prowadzi?

— Chyba pod basztę.

— W takim razie będziecie mieli ciekawą robotę.

— Tak... poślemy grotolazów, bo przejście jest cholernie wąskie.

— Myślisz, że coś znajdziecie?

— Nie wiem, trzeba będzie dobrze poszperać. Niebezpieczna robota...

Na tym rozmowa urwała się. Brodacz znikł w namiocie, a człowiek w wielkim kapeluszu odszedł w stronę lasu.

Perełka był już pewien, że ci tajemniczy ludzie poszukują w podziemiach skarbu, o którym wspominał Paragon. Dlatego straszą i nie chcą dopuścić do rozbiórki lewego skrzydła.

Z drugiego namiotu wyłonił się młody człowiek w kraciastej koszuli. Zawołał w stronę grupy stojących na polanie:

— Ewa, zbieraj się, bo już idziemy.

Młoda kobieta, którą Perełka widział rano z brodaczem, odwróciła się ku wołającemu.

— Poczekaj chwilę, muszę jeszcze sprawdzić nowe efekty.

To powiedziawszy, weszła do namiotu.

Po jakimś czasie z namiotu wysunęła się przedziwna postać, cała w bieli. Głowę miała obandażowaną. Na ramionach miała narzucone muślinowe szaty. Gdy stanęła, wiatr porwał miękkie, powiewne poły i rozwiął je jak skrzydła.

Perełka struchlał. Wiedział, że w przebraniu tym wyszła z namiotu młoda kobieta, która przed chwilą rozmawiała o nowych efektach, a mimo to owładnął nim strach. Biała, zwiewna zjawa na tle ciemnego lasu robiła wstrząsające wrażenie.

Postać wykonała kilka tanecznych ruchów i naraz cała zaczęła świecić fosforyzującym blaskiem, a ze szczeliny między bandażami, w miejscu gdzie znajdowały się oczy, jak dwa rozżarzone węgliki błysnęły czerwone światełka.

— Znakomicie! — powiedział młodzieniec w kraciastej koszuli. — Uważaj tylko, żebyś nie zahaczyła suknią o krzaki, bo możesz spaść z murów.

Zjawa ponownie znikła w namiocie. Perełka odetchnął z ulgą. Otarł rękawem pot z czoła. Zmienił pozycję i pomyślał, że taki duch mógłby w nocy nastraszyć największego śmiałka.

Tymczasem młodzieniec w kraciastej koszuli zbliżył się do namiotu brodacza.

— Antoniusz — zawołał — jak tam dzisiaj z efektami akustycznymi?

Z namiotu dał się słyszeć przyjemny, niski głos brodacza:

— Nagraliśmy nową taśmę. Będzie dzisiaj chór cierpiętników i głosy łamanych kołem. Do tego „Błękitna rapsodia” nagrana od końca. Mówię ci, klasa! Najinteligentniejsze duchy nie wymyśliłyby bardziej potępięczych dźwięków.

— A efekty naturalne?

— Nie martw się. Broniek ze swoją grupą zejda dzisiaj do podziemi. Będą jęczeć na nutę „Ciao, ciao bambina”.

Antoniusz wyłonił się z namiotu. W zapadającym zmierzchu jego ruda broda nabrała żywszych barw i wyglądała groźniej niż w świetle dziennym. Brodacz zawołał gromko:

— Czy wszyscy gotowi?

— Tak, tak — odezwały się poszczególne głosy.

— Musimy dzisiaj wystawić ubezpieczenie, żeby nas nie nakryli. Słyszałem, że w nocy milicja ma urządzić obławę.

— Obławę na duchy — zaśmiał się ktoś w namiocie.

— Trzeba uważać, żeby nam ktoś nie przerwał przewodu.

W tym momencie Perełka, mimo przejmującego go lęku, zachichotał cichutko.

„Uważajcie — pomyślał. — Przewód jest w naszych rękach, a Mandżaro, kiedy zapragnie, będzie mógł go przerwać”.

Przestępcy oczywiście nie domyślali się grożących im ze strony detektywów niespodzianek. Na rozkaz Antoniusza wyruszali małymi grupkami po dwóch, po trzech w stronę zamku. Polana opustoszała. Tylko w pierwszym namiocie, do którego prowadził przewód, paliło się światło, a na cienkich ścianach z namiotowego płótna widać było wyolbrzymiony, zniekształcony przez załamania cień człowieka.

4

Pokruszone mury starego zamczyska napełniał z wolna gęstniejący mrok. Narastała przejmująca wieczorna cisza, a z nią, z głębi ciemnych, zarosłych zielskiem zakamarków, pełzało coś, czego nie można określić słowami. Coś, co pulsuje podskórnie i liczy mijające chwile niesłyszalnym oddechem wieczoru.

Maniś dał się opanować temu tajemniczemu nastrojowi. Skulił się w ciasnej wieżyczce, z narastającym lękiem oczekiwał nadchodzących wydarzeń. Długo, bardzo długo nic się nie działo. Od stygnących murów szedł ziąb. Przenikał chłopca do głębi. Dopiero gdy na dole odezwało się bicie kościelnego zegara, zamczysko jakby ożyło. Z baszty podniósł się przejmujący głos puszczyka. Potem w zaroślach pod wieżyczką coś zaszeleściło.

Inspektor Paragon wyteżył słuch. Zdawało mu się, że ktoś się zbliża. Naraz usłyszał ciężkie kroki i trzask łamanych gałęzi. Po chwili wyłoniła się dziwna postać — coś niezwykle długiego, cienkiego, na szczudłowatych nogach. Po białej furażerze, sterczącej na czubku głowy, Maniś poznał lokatora z leśniczówki. Widział go już po obiedzie, gdy z miną hinduskiego maga naprawiał coś w swoim staroświeckim samochodzie. Teraz przypomniał sobie ostrzeżenie Mandżara: „Trzeba uważać na tego typu, bo wydaje mi się bardzo podejrzany”. Słowa te Maniś zbył wtedy jakimś żartem. Czy każdy, kto się nawinie, jest od razu podejrzany? Ale teraz, gdy jegomość zjawił się wśród ruin, wydało mu się, że Mandżaro miał dobrego nosa.

— Czego on tu szuka o tej porze?

Długonogi jegomość przedzierał się przez zarośla zalegające dno ruin lewego skrzydła. Kilka razy błysnęła jego elektryczna latarka, wydzierając z mroku niewyraźne zarysy murów i gęstwinę pokrzyw. Jegomość brodził w niej jak bocian w makach. Jeszcze raz błysnął jasny język światła, a potem zapadła cisza. Jegomość znikł tak nagle, jak nagle się ukazał.

Paragon początkowo chciał opuścić swe stanowisko i podążyć za białą furażerką, ale wnet doszedł do przekonania, że ma inne, ważniejsze zadanie. W każdym razie nieoczekiwane zjawienie się właściciela przedpotopowego wehikułu zastanowiło głęboko wnikliwego detektywa.

„Trzeba się nim zająć” — pomyślał.

Zaledwie zdążył zanotować w pamięci ten nowy fakt, gdy nagle usłyszał czyjeś kroki na małym dziedzińcu, gdzie do niedawna pasła się koza. Na tle murów przemknął cień. Maniusiowi wydało się, że to brodacz.

Tymczasem cień zatrzymał się przed podziemiami i zagwizdał cicho, jakby kogoś wywoływał.

Maniś przylgnął rozpalonym policzkiem do kamiennej flanki. Czujnym uchem łowił każdy szmer. Byстрыmi oczami wpatrywał się w ciemności, jak gdyby chciał je przebić na wskroś.

Wnet z czarnej czeluści podcieni wyłoniła się znajoma postać dziadka. Przybysz szeptał coś cicho. Ale starczy głos dziadka zabrzmiał już wyraźnie:

— Panie asystencie, mówię, że nie mogę otworzyć. Zakazali.

Paragon był już pewny, że to brodacz. Poznał go, gdy usłyszał jego głos:

— Nie bójcie się, dziadku.

Dziadek prychnął swoim zwyczajem.

— Pan asystent nie będzie odpowiadał, ino ja. Był tu komendant milicji i wypytywał się... Ja ta nie chcę mieć do czynienia z milicją. Róbcie se, co chcecie, a mnie ostawcie w spokoju.

Brodacz zastanawiał się chwilę. Potem rzekł:

— Dobrze... ale niech dziadek nikomu nie mówi, że tu byłem.

— A komu ja bym ta mówił? — Głos staruszka zabrzmiał zupełnie wyraźnie.

Na tym rozmowa się urwała. Dwa cienie znikły wśród murów, roztopiły się w mroku.

„To dziadek też z nimi? — zdumiał się Paragon. — Już wiem, dlaczego mnie tak przepędzał”.

Myśl ta wydawała mu się niedorzeczna. Jak to — stróż tego zamczyska w zмовie z groźną bandą? Coś tu nie klapuje.

Z przyjemnością rozprostował zastałe kości, przeciągnął się jak kot złączący z przypiecka. Postanowił jak najszybciej zawiadomić Mandzara o zaskakujących i nieoczekiwanych odkryciach. Przedarł się ostrożnie przez wyłom zarośnięty kaliną i wnet znalazł się z powrotem na małym dziedzińcu. Było tu tak ciemno, że z trudem odnalazł ukrytą wśród chwastów ścieżkę. Wysokie mury osłaniały dziedziniec ze wszystkich stron. Chłopcu zdawało się, że znajduje się na dnie mrocznej studni. Spojrzał w górę. Wysoko, ponad ledwie rysującymi się murami, migotały gwiazdy.

Nagle zatęsknił za otwartą przestrzenią. Ruszył ostrożnie ku podcieniom. Tutaj drogę przecinała jasna smuga światła. Leżała jak żółta sieć zarzucona na płataninę gruzu i zarośli. W jej bladym drzeniu krążyły wielkie ćmy. Paragon zdumiał się — skąd tutaj światło? Dopiero gdy podszedł bliżej, zrozumiał, że w ruinach znajduje się mieszkanie nocnego stróża. Było ukryte za załomem murów, w niszy. Część niszy przegrodzono ścianą z cegieł i w ten sposób zrobiono izbę dla dziadka.

Wiedziony niepohamowaną ciekawością, zbliżył się do okienka. Wspiął się lekko na palcach. Zajrzał do środka. Najpierw zobaczył szerokie plecy człowieka w milicyjnym mundurze. Cofnął się gwałtownie.

„Jeszcze tego brakowało, żeby mnie władza tu przykarauliła” — pomyślał, lecz ciekawość kazała mu zostać na miejscu. Po chwili podszedł na palcach pod drzwi. Starał się złowić przenikające ze środka głosy. Wśród ciszy usłyszał starczy głos dziadka:

— Mówię panu, panie komendancie, że ja tu jestem od pilnowania murów, a nie od pilnowania duchów. Z duchami nie chcę mieć nic wspólnego.

Przedstawiciel władzy roześmiał się głośno.

— Wy, dziadku, dobrze wiecie, co to za duchy, tylko nie chcecie powiedzieć.

Dziadek powtórzył z uporem:

— Ja się ta na duchach nie znam.

— A kto tu włóczy się po nocach? — głos milicjanta zabrzmiał groźnie.

— Zamek duży, ja jeden nie upilnuję. Nie dam rady. Napiszcie do Zielonej Góry, żeby drugiego stróża dali.

— A ci studenci z dołu tu nie przychodzą?

— Dniem to przychodzą. Coś mierzą, coś piszą. Mówią, że prowadzą naukowe badania. Mają pozwolenie. Tego to ja im zabronić nie mogę.

W dociekliwym umyśle inspektora Paragona powstał zamęt. „Co to wszystko znaczy? Studenci — to chyba nie przestępcy? Dlaczego więc udają upiory i duchy? Dlaczego wystraszyli robotników z baraku? Zaraz, zaraz... Może dlatego straszą, żeby robotnicy nie prowadzili robót przy rozbiórce

lewego skrzydła? To przecież jasne! Jeżeli rozebrano by lewe skrzydło, to studenci nie mogliby prowadzić badań...”

Dopiero teraz pojął wszystko. „Niech moją głową największe pataluchy w szmaciankę grają! — złorzeczył sobie z przekorną radością. — To ja mam być inspektorem Scotland Yardu, a nie potrafiłem skapować tak prostej sprawy! To przecież dziecinna zabawka, a nie zagadka dla prawdziwego detektywa. Niech mi parszywy bocian uwije na głowie gniazdo!”

W istocie był niezwykle zadowolony, że to właśnie on odkrył tajemnicę starego zamczyska. Ale czy odkrył ją do końca, czy została całkowicie wyjaśniona? Przecież pozostał jeszcze do rozszyfrowania dziwny właściciel przedpotopowego pojazdu i... bladolicy malarz, który tak niespodzianie znikł ze swymi sztalugami. Nie, tajemnica zamku nie została jeszcze wyjaśniona...

Pogrążony w rozmyślaniach i dociekaniach nie spostrzegł, że milicjant skończył rozmowę z dziadkiem. Dopiero gdy stare drzwi zaskrzypiały głośno, uskokczył gwałtownie w bok i schował się za występ muru.

W drzwiach ukazała się zwalista postać komendanta posterunku, a za nią przygarbiona, wysuszona — dziadka. Milicjant stanął w progu, rozejrzał się uważnie.

— Zdaje mi się, że tu ktoś był — zwrócił się do dziadka.

— To się tylko panu komendantowi tak zdawało — odrzekł dziadek przekornie.

Paragon przykleił się do muru. Czuł jego kamienną chropowatość i wilgotny chłód. Przygotował się do ucieczki. Tymczasem milicjant westchnął ciężko.

— Tak, tak, dziadku — powiedział tubalnym głosem. — Widzicie, jak to z tymi strachami. Przyszliśmy tu dzisiaj i od razu duchy się przestraszyły.

Zanim jednak wypowiedział ostatnie słowo, w głębi murów, poza podcieniami, rozległ się piekielny jęk, jakby wszyscy potępieńcy odezwali się zgodnym chórem. Noc ożyła, zrobiło się jeszcze ciemniej i groźniej. A potem błękitnawy błysk przemknął nad ciemną linią murów lewego skrzydła.

Milicjant znieruchomiał na progu. W świetle bijącym z pokoiku dziadka wyglądał sam jak nieziemski zjawia.

Dziadek powiedział z chytrą przekorą:

— No, dyć duchy się nie przestraszyły.

Nowa fraza potępieńczej muzyki wstrząsnęła powietrzem. Zdawało się, że spod murów odzywa się cała armia niespokojnych duchów. Milicjant nacisnął na głowę czapkę.

— Ja tu zaraz zrobię porządek! — zawołał gromkim głosem. Poprawił pas na brzuchu i raźnym krokiem skierował się na dziedziniec. Po chwili na kamiennych płytach zadudniły jego kroki.

5

Dziadek stał nieruchomo w drzwiach i patrzył w ciemność.

Paragon przeczekał, aż odgłos energicznych kroków przedstawiciela władzy umilknie, i wrócił pod wieżyczkę. Postanowił uprzedzić niesforne strachy przed groźącym im niebezpieczeństwem. „Jeżeli one pracują dla dobra nauki — kalkulował — to niech sobie straszą”.

Wyszukał wyłom w murze prowadzący do lewego skrzydła zamku. Kocimi ruchami wspiął się na mur. Pod nim rozwarła się ciemna otchłań. Nie wiedział, czy to przepaść, czy tylko mrok daje złudzenie tej głębi. Zaczął zsuwać się ostrożnie. Mur w tym miejscu był wilgotny, porośnięty mchem i pnączami. Nasz detektyw na próżno szukał dogodnego stopnia. Naraz wysłużone trampki ześlizgnęły się z występu. Paragon zachwiał się i runął w dół...

Upadł na niezwykle gęste krzewy, usłyszał trzask łamiących się pod nim gałęzi, a potem zakołysał się jak na materacu. „Miałem szczęście” — pomyślał, gdy rozejrzał się wokół i ujrzał zwały gruzów.

W mroku wyglądały jak fragment ponurej pustyni.

Nagle z lewej strony zarośli odezwały się nieludzkie ryki. Gdyby kogoś odzierano żywcem ze skóry, nie potrafiłby wydobyć z siebie bardziej żalostnego krzyku. Paragon zrozumiał, że te superjęki nie pochodzą z głośnika. Według szkicu Mandżara głośnik umieszczony był bliżej zewnętrznych murów i dość wysoko. Te głosy natomiast dochodziły spod ziemi.

„Prawdopodobnie Mandżaro przeciął przewód — wnioskował Paragon — a studenci zaprosili do współpracy samego chyba diabła”.

Z wielkim trudem wyplątał się z gęstych gałęzi. W zastygłej w mroku ciszy co chwila odzywały się te same frazy koszmarnych jęków i zawodzeń. A potem znowu niebieskawy błysk rozdarł mrok i na zewnętrznym murze lewego skrzydła ukazała się zwiewna postać. Świeciła zielonkawym, fosforyzującym blaskiem jak kometa zabłąkana przypadkowo wśród ruin. A gdy zwróciła głowę w stronę, gdzie stał Paragon, błysnęły jej czerwone źrenice.

Efekt był piorunujący. Paragon aż jęknął z trwożnego zachwytu. Chciał bliżej podejść ku murom. Ale gdy postąpił kilka kroków, natrafił na próżnię. Zdawało mu się, że znowu leci w przepaść. Wnet jednak uderzył o twardy grunt, potoczył się po kamiennych stopniach na dno jakiejś czarnej wilgotnej zapadliny, w sam środek tych ogłuszających jęków. Nie zdążył nawet podnieść głowy, gdy kilka par rąk przygniotło go do ziemi. Jeszcze chwilę słyszał tuż nad sobą to nieludzkie zawodzenie. Potem nagle wszystko umilkło.

— Co się stało? — powiedział ktoś napiętym głosem.

Ci, co go trzymali przygniecione do ziemi, zaszeptali między sobą:

— Wciągnij go głębiej.

— Kto to?

— Jakiś chłopiec.

— Skąd on tutaj?

— Nie zadawaj głupich pytań.

— Co z nim zrobisz?

— Zobaczymy.

Dwoje silnych ramion postawiło go na nogi. Nic nie widział, tylko na twarzy czuł gorący oddech prowadzącego go człowieka. Po kamiennych, częściowo zasypanych gruzem i żwirem stopniach schodzili coraz niżej i niżej, jakby opuszczali się na dno nie kończącej się groty. Wreszcie stopnie skończyły się. W rękę prowadzącego błysnęła elektryczna latarka. Ostre światło chlusnęło Paragonowi w oczy i oślepiło go zupełnie. Spoza kłującego słupa światła odezwał się głos:

— Co ty tu robisz?

Pytanie było tak oczywiste, a jednocześnie tak zaskakujące, że Paragon zupełnie zbaraniał. Nie silił się nawet na odpowiedź. Stał skulony i odwracał głowę, chroniąc ośleplone od blasku oczy. Spodziewał się, że za chwilę zaczną go grzmocić. Przedłużające się milczenie uwięzło w narastającej ciszy.

— No, mów — usłyszał ostry głos. Ten głos wyrwał go z odrętwienia.

— Tam na dziedzińcu milicja — wybąkał. — Chciałem was ostrzec.

Z boku błysnęła druga latarka i naraz zrobiło się jasno.

Światło odbite od ociekających wodą murów rozpląnęło się, wydobywając z mroku dwie postacie. Ich wydłużone cienie zachwiały się na ścianach.

Człowiek, trzymający go mocno za ramię, odsunął się o pół kroku, chcąc lepiej przyjrzeć się jego twarzy.

— Kto ty właściwie jesteś?

— Ja? — wybełkotał chłopiec. — Paragon!

To jedno słowo rozładowało napięcie. Człowiek z latarką puścił chłopca i roześmiał się nieoczekiwanie.

— Paragon? Jaki paragon?

— Tak mnie chłopcy nazywają — wyjaśnił Manius pospiesznie. Dopiero teraz odważył się podnieść głowę i spojrzeć na tajemniczych przeciwników. Z ulgą zobaczył dwie młode, ogorzałe twarze.

— Chciałeś nas ostrzec, powiadasz?

— Legalnie — odparł już spokojniej Paragon. — Komendant posterunku był u dziadka. Na własne oczy widziałem.

Na schodach prowadzących do niszy zadudniły kroki. Wkrótce o ściany obilo się światło latarek, a za chwilę z głębokiego mroku wyłoniła się postać brodacza. Antoniusz, ujrawszy Paragona, stanął jak wryty. Jego duże, niebieskie oczy napęłniło zdumienie.

— Znam skądś ptaszka — powiedział wpatrując się badawczo w chłopca.

Paragon skinął głową.

— Tak, mieliśmy przyjemność...

— To ty wczoraj zerwałeś mi przewód?

— Miałem przyjemność zerwać... ale to nie moja wina. Potknąłem się i...

— Dobra, dobra — Antoniusz pokiwał z powątpiewaniem głową — o tym później porozmawiamy. — Naraz zwrócił się do dwóch studentów. — Zjeżdżamy, bo milicja przyszła.

— Nakryli kogoś? — zapytał student z latarką.

— Nie. Ale trzeba likwidować interes.

— A co z nim? — wskazał ruchem głowy na Paragona.

— Zabieramy go z sobą.

Wiadomość tę dzielny detektyw przyjął ze spokojem. Był niezwykle ciekawy, dokąd go zaprowadzą i co z nim zrobią. Teraz już nie obawiał się studentów. A zresztą nowa przygoda była tak nęcąca, że nie należało zbytnio zastanawiać się nad chwilowym położeniem.

„Mogłoby być gorzej, niż jest — pomyślał. — Chyba nie zrobią ze mnie marmolady. Jestem chwilowo zakładnikiem, a zakładnikom nie dzieje się krzywda”.

Czarny młodzieniec, uczesany na jeża, poprowadził ich krętymi korytarzami. Jasny język latarki lizał lśniące od wilgoci mury, wskazywał im drogę. Dno korytarzy zasłane było kamieniami i zalane wodą. Co chwila ktoś potykał się w ciemności i przeklinał soczyście. Woda chlupotała pod trampkami. Zionęło wilgocią i piwnicznym chłodem. Wkrótce jednak wydostali się do wielkiej, podziemnej sali, podpartej kilkoma smukłymi kolumnami, zamkniętej kamiennym sklepieniem. Stąd po stopniach zaczęli piąć się w górę.

Naraz prowadzący ich student zatrzymał się. Zgasił latarkę. Z góry powiało cieplejszym powietrzem. Student wyszeptał:

— Jesteśmy na gorze!

6

Paragon rozejrzał się. Nie mógł zrozumieć, gdzie się znajdują. Ponad nimi czarną przewieszką wisiały wysokie mury. Pod nimi, jak groty wbite w ziemię, sterczały ostre czuby świerków. Od lasu szedł przyjemny powiew, niosący zapach igliwia i żywicy, a nad lasem, na czystym przepastnym niebie, migotała rozsyпка gwiazd.

Stromym zboczem zeszli w dół i zagłębili się w cichy i mroczny las. Dopiero gdy leśnymi ścieżkami zaczęli okrążyć zamkowe wzgórze, Paragon zorientował się, że wyszli z drugiej strony

murów.

Wkrótce stanęli na polanie przed namiotami. W ciemności snuły się cienie. Słysząc było ciche rozmowy, szepty i śmiechy. Nastrój był pełen radosnego podniecenia.

— Czy Ewa z chłopcami już wróciła? — zapytał brodac, zbliżając się do namiotów.

— Jestem, jestem — odpowiedział z mroku kobiecy głos. — Nie nakryli was?

— Nie, wszystko się udało — odparł wesoło brodac.

Paragon przypuszczał, że o nim zapomniano.

Mylił się jednak, bo Antoniusz w tym momencie uchylił płachty namiotu i zwrócił się do czarnego studenta:

— Dawaj tego małego.

W namiocie paliła się benzynowa lampa. W jej jasnym blasku widać było kilka składanych łóżek z pneumatycznymi materacami, zbity z desek stolik, na nim stos książek i papierów, maszyna do pisania, odłamki kamieni, a obok niższy stolik, na którym umieszczono jakąś nieznaną aparaturę radiową.

Manius wszedł do namiotu z hardą miną i podniesioną głową. Nie miał zamiaru kajać się ani prosić o przebaczenie. Podpora Klubu Młodych Detektywów godnie reprezentowała swych kolegów.

Brodacz usiadł na łóżku, uważnie przyjrzał się chłopcu. Napotkał nieustępliwe spojrzenie. Zanim zdążył zadać pierwsze pytanie, Paragon rzekł spokojnie:

— Nie bójcie się, ja nikomu nie powiem.

To nieoczekiwane oświadczenie zaskoczyło obecnych w namiocie. Antoniusz uniósł dłoń do rudawej brody. Miął w palcach szczeciniaste włosy.

— A co ty w ogóle wiesz? — zapytał, nie ukrywając zdumienia.

— Detalicznie wszystko.

Brodacz zmarszczył czoło.

— To ty dzisiaj znowu zerwałeś przewód?

— Nie.

— W takim razie, jeżeli wiesz wszystko, to powiedz nam, kto to zrobił.

— W celach doświadczalnych, panie szefie — palnął Manius, mrużąc porozumiewawczo oko.

— Ale kto?

— To tajemnica. W każdym razie możecie być spokojni. To się już nie powtórzy. Myśmy tylko chcieli wiedzieć, jak to jest z tym nowoczesnym elektrotechnicznym straszaniem.

Na pełnych, ładnie wykrojonych wargach brodacza pojawił się przelotny uśmiezek.

— Kto ty właściwie jesteś?

— Mówiłem, panie szefie... Paragon.

Brodacz pokiwał głową.

Czarny student, uczesany na jeża, roześmiał się głośno. Potem wyjaśnił:

— Tak go koledzy nazywają.

Brodacz pokiwał głową.

— Paragon... oryginalne. Ale czego ty właściwie od nas chcesz? Dlaczego stale tutaj się płaczesz?

— Myśmy myśleli, że wy...

Brodacz uśmiechnął się zachęcająco.

— Nie krępuj się. Coście myśleli?

— Że... że poszukujecie w podziemiach skarbu.

W namiocie zabrzmiał głośny śmiech. Brodacz położył chłopcu dłoń na ramieniu.

— Ty coś czarujesz, bracie.

— Jak ciocię Franię kocham, że nie.

— Więc dlatego nas śledziłeś?

— Legalnie.

— A co z tym skarbem?

Nasz detektyw zamyślił się.

— Czytałem, że w takich starych zamkach zdarzają się skarby. Zresztą, kto to może wiedzieć?

— To znaczy, że poszukujesz tu z kolegami skarbów?

Maniś z niesmakiem wydał wargi.

— My na takie drobiazgi nie mamy czasu.

Znowu wesoły śmiech napełnił ciasne pomieszczenie namiotu. U wejścia pojawiło się kilku ciekawych. Wśród nich Paragon zobaczył młodą studentkę, którą brodacz nazywał Ewą.

Ewa uśmiechnęła się do Maniusia przyjaźnie.

— Jaki miły chłopiec. Puść go Antoniuszu, nie zęcaj się nad nim.

Paragon wzruszył ramionami.

— Nikt się tu nade mną nie zęca. A pani — odwzajemnił się najmiłszym ze swych uśmiechów — bez pudła odegrała rolę atomowego ducha na murach. W teatrze by tak nie zegrali. Klasa!

— Z ciebie czarodziej, Paragon — powiedział poważnie Antoniusz. — Ty coś przed nami ukrywasz.

— Niech mnie garbata gęś kopnie, panie szefie! Ja chcę załatwić honorowo — oburzył się Maniś. — Powiedziałem, że nie powiem, to nie powiem. Niech ten pan poświadczy — wskazał gwałtownym ruchem głowy na czarnego studenta — że chciałem was ostrzec. Mnie się te wasze atomowe duchy podobają, a badania naukowe to duża rzecz!

Ewa klasnęła w dłonie.

— Brawo! Rozsądnie mówi.

Antoniusz przyciągnął go jeszcze bliżej i jeszcze uważniej spojrzał mu w oczy.

— Chcesz załatwić honorowo?

— Legalnie!

— Nie powiesz nikomu?

— Żebym miał zdechnąć.

— Dajesz słowo?

— Daję słowo.

— A jeśli słowa nie dotrzymasz?

— Niech mnie dzięcioły zadziobią.

— I twoi koledzy też nie powiedzą?

— Gwarantuję.

Brodacz nagłym ruchem wyciągnął wielką, kosmatą dłoń.

— Dobrze. Daj grabę.

Paragon gorliwie, po dorożkarsku plasnął swą dłonią w dłoń Antoniusza, a potem splótł ją w mocnym uścisku.

— Przybite — rzekł poważnie.

— Przybite — powtórzył Antoniusz. — A teraz wal, bracie, do domu, bo już późno. Pewnie na ciebie czekają.

Na myśl o powrocie do leśniczówki zrobiło mu się niewyraźnie. Nie uprzedzili bowiem pani Lichoniowej, że wrócą później. Chwilę stał bezradnie na środku namiotu otoczony roześmianymi,

życzliwie nań spoglądającymi studentami. Naraz wzrok jego zahaczył o aparaty stojące na niskim stoliku.

— Niezła rzecz — powiedział z podziwem. — Wywoływanie duchów za pomocą najnowocześniejszej techniki na krótkich falach. — Przeniósł spojrzenie z aparatury na Antoniusza i po swojemu przymrużył oko: — Panie szefie, jak ciocię Franię kocham, my byśmy też z wami chętnie postraszyli.

Brodacz rozłożył szeroko ręce.

— Mój drogi, straszenie to nie taka prosta sprawa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

„Śniadanie zapowiada się dzisiaj pogrzebowo” — myślał Paragon, zbliżając się do jeziora.

Dzień wstał pochmurny. Nad nieruchomą taflą wody wisiała szara, jednostajna płyta zasnutego niskimi chmurami nieba. O tej porze brzeg był jeszcze pusty. Panowała poranna cisza. I woda wydawała się zimna, ostygła przez noc.

Chmury zbierały się nad jeziorem, a nad Klubem Młodych Detektywów wisiała istna burza. Wczoraj, gdy chłopcy wrócili z wywiadowczej wyprawy, zamiast kolacji dostali takie paternoster, że im w pięty poszło. Leśniczy zapowiedział, że będą musieli opowiadać się przy każdym oddalaniu od domu, a jeżeli jeszcze raz wrócą tak późno, odeśle ich wszystkich do Warszawy.

Śniadanie zapowiadało się ponuro, gdyż leśniczy wprawdzie powiedział już swoje, ale czekało ich jeszcze kazanie od pani Lichoniowej. Najgorsze było to, że musieli zachować tajemnicę i nie potrafili przedstawić niczego na swoje usprawiedliwienie. Ha, trudno — dorośli i tak nie zrozumieliby młodych detektywów. Dla nich to zapewne zabawa! Spróbowaliby sami posiedzieć godzinę na zamku wśród ciemności i potępieńczych jęków!

Zagłębiając się w myślach Paragon zatrzymał się nad brzegiem. Pod trampkami zaszeleścił sypki piasek. Woda stała spokojnie jak zakrzepła. Tylko daleko, na środku jeziora, srebrzyła się drobnymi zmarszczkami. Przy brzegu była tak przejrzysta, że chłopiec widział dokładnie ławicę małych rybek podpływających pod sitowie. Spoza sitowia wypłynęła para perkozów. Jeden z ptaków, ujrawszy chłopca, poszedł jak kamień pod wodę. Wynurzył się daleko i, nie zważając już na nic, kołysał się spokojnie. Drugi zaszył się w sitowie.

Paragon zrzucił z siebie ubranie. Chwilę stał jeszcze wpatrzony w oddalającego się ptaka. Potem, bryzgając czarnymi od kurzu nogami, rzucił się w wodę.

Początkowo wydała mu się zimna, ale w miarę pływania rozgrzewał się. Kilkanaście metrów od brzegu zanurkował do dna. Otworzył oczy. Zielonkawa jak szkło woda falowała lekko wokół niego. Na dnie leżał czysty piasek, a na piasku porzucone muszle. Złapał jedną, wypłynął z nią na powierzchnię.

Zdawało mu się, że pozbył się wszelkich kłopotów. Naraz usłyszał głośnie wołanie:

— Paragon! Hej, Paragon!

Spojrzał w stronę brzegu. Od lasu biegł Perełka. Spoza wysokich trzciny widać było jego krótko ostrzyżoną głowę. Dobiegł do brzegu i zawołał jeszcze raz, zagarniając ręką powietrze. Maniś podpłynął do niego.

— Czego się tak wydierasz? Co się stało?

Perełka nie mógł złapać oddechu.

— Ty — wyrzucił z siebie dysząc — wielka sensacja! Znikł Marsjanin!

— Jaki Marsjanin?

— No, ten z poddasza.

Maniś wyszedł z wody. Otrząsnął się jak zmoczony pies.

— Jak to: znikł?

— Po prostu nie ma go.

— To się znajdzie.

Perełka spojrział na niego karcąco.

— Taka bomba, a ty, bracie, nic.

— Bo nie mogę tego wszystkiego zrozumieć. Znikł, rozplynał się, wyparował?

Perełka skrzywił się.

— Nie wyparował, tylko Trociowa poszła na górę ze śniadaniem, puka, a tu drzwi zamknięte.

— A co, miały być otwarte?

— Nie o to chodzi — zachnął się Boguś. — W środku nikogo nie było, ani Marsjanina, ani jego czarnej walizy. Mandżaro mówi, że to pewnie jakiś szpieg.

Maniś złapał koszulę. Wytarł nią twarz.

— Na szpiega, bracie, za chudy.

— W każdym razie jakiś przestępca.

Paragon rzucił mokre slipy. Wciągnął spodnie.

— Kiedy on zwiął?

— O, właśnie! — wykrzyknął Perełka. — Ulotnił się jak duch. Nikt go nie widział.

— A samochód?

— Samochód stoi, jak stał.

Maniś zarzucił na ramię koszulę.

— Ciekawe — powiedział z przejęciem. — Sam zwiął, a samochód zostawił? Coś w tym musi być...

— Coś w tym musi być — powtórzył najmniejszy z trzech detektywów. — Mówiłeś, że widziałeś go wczoraj na zamku.

— Legalnie.

— Był z walizką?

— Nie.

— W takim razie ulotnił się w nocy.

— W takim razie ulotnił się w nocy — powtórzył Paragon akcentując każde słowo. Potem strzelił palcami: — Niech mnie hipopotam połknie, jeśli w tej całej historii nie ma zagadki kryminalnej.

Pobiegli do leśniczówki. Kiedy wpadli na podwórze, stanęli z rozdziawionymi gębami. Na werandzie zobaczyli bowiem okazałą postać komendanta posterunku. Sierżant Antczak rozmawiał z panią Lichoniową. Paragon zbliżył się ostrożnie do werandy, zatrzymał się przy schodkach i udając, że wykręca mokre slipy, łowił uchem rozmowę.

— Jak on się nazywa? — pytał przedstawiciel władzy.

Pani Lichoniowa uniosła ku niebu swe łagodne oczy.

— Mój Boże, żeby to ja wiedziała.

— Przecież go pani zameldowała.

— Mój Boże — westchnęła pani Lichoniowa — nie zdążyłam go nawet zameldować.

— To niedobrze! To niedobrze! — mruknął sierżant. — To znaczy — pani nawet nie wie, kto zniknął z pani mieszkania?

Gospodyni westchnęła:

— Doprawdy nie wiem.

W tym momencie z kuchni wysunęła się jasna głowa szefa detektywów, Mandżara. Po niezwykle poważnej i skupionej twarzy chłopca można było poznać, że od samego początku przysłuchiwał się rozmowie.

— Mam pomysł — zwrócił się do sierżanta. — Trzeba tylko sprawdzić numer rejestracyjny samochodu i w ten sposób dowiemy się, jak się ten pan nazywa.

Na pełnej twarzy przedstawiciela władzy pojawił się grymas niezadowolenia. Sierżant nie lubił, gdy ktoś wtrącał się w jego służbowe sprawy. Surowym spojrzeniem zmierzył chłopca.

— Zmiataj mi stąd! — tupnął, aż deski zatrzeszczały. — To nie twoje sprawy. Idź się bawić albo... — wykonał nieokreślony ruch ręką, kwitując rozmowę. Potem zwrócił się do gospodyni: — Czy mógłbym zobaczyć ten pokój?

Po chwili oboje wchodzili po trzeszczących schodach na poddasze. Chłopcy zostali na dole. Gdy na górze trzasnęły drzwi, Mandżaro wyszeptał z przejęciem:

— Panowie, mamy nową robotę.

Na werandzie ukazała się czarna postać Trociowej. Kobięcina trzymała w ręku warząchew oblepioną kaszką manną. Oczy miała wystraszone, twarz pobladła.

— Mnie od razu nie podobał się ten pan — powiedziała głosem stłumionym. — Jak można było wynajmować mu mieszkanie? Teraz będą same kłopoty. — Uniosła w górę warząchew, jakby chciała nią komuś pogrozić. — Taki był tajemniczy. Słowa z nikim nie zamienił. Mówię wam, chłopcy, mnie się on nie podobał.

— Mnie także — wtrącił Mandżaro. — To typowy okaz przestępcy.

Trociowa z obrzydzeniem zerknęła w stronę schodów.

— Źle mu z oczu patrzyło. — Zniżyła głos do świszczącego szeptu: — Mówię wam, on na pewno miał coś wspólnego z tymi duchami na zamku — pogroziła warząchwią, jakby w ten sposób chciała potępić wszystkie ciemne siły, zamruczała jakieś przekleństwo i wycofała się do kuchni.

Chłopcy jak na komendę parsknęli śmiechem.

— Zradiofonizowane duchy z wyższym wykształceniem — rzekł Paragon, mrużąc porozumiewawczo oko.

Mandżaro tracił go łokciem.

— Te, jeżeli Marsjanin był wieczorem na zamku, to on... to on może ma coś wspólnego ze skarbami.

— Dobrześ to wykombinował. Mnie się zdaje, że on ukrył się w zamku.

— I poszukuje skarbów — wyrwał się Perełka.

Paragon uśmiechnął się do najmniejszego detektywa.

— Brawo! Inspektor Perełka robi wielkie postępy. Ja też tak myślę, że on poszukuje w podziemiach jakichś skarbów.

Mandżaro zamyślił się.

— To przecież nie wiadomo. Skąd wiesz, że ukrywa się w podziemiach zamku?

— Widziałem na własne oczy, jak zszedł do piwnic.

— To znaczy, że tam musi być jakieś zejście.

— Legalnie.

— A co zrobił z czarną walizą? Przecież jej nie miał przy sobie.

— Po walizę mógł wrócić w nocy.

— A co w niej było?

Paragon wzruszył ramionami.

— Ba, gdybym ja wiedział...

Mandżaro uniósł dłoń do czoła.

— Tak, to ciekawe... Słuchajcie, może on był w zмовie z tym malarzem?

— Możliwe — wyszeptał Paragon — ale to wszystko mgliste domysły. Trzeba koniecznie sprawdzić.

— O, właśnie — podjął gorliwie Mandżaro — mamy nową zagadkę.

Wyjął swój nierozłączny notes i szybko zapisał: Sprawa numer dwa — Marsjanin.

— Będą jednak pewne trudności — zauważył rozsądnie Paragon. — Dzisiaj nie wolno nam oddalać się od leśniczówki.

— Legalnie — stęknął Perełka.

Mandżaro pokiwał głową.

— Wy zawsze wyszukujecie trudności. Czy nie przypominacie sobie, że Sherlock Holmes, zanim przystąpił do akcji, zamykał się u siebie na górze, grał na skrzypcach, palił fajkę, pił herbatę za herbatą i myślał. Nic straconego, będziemy mieli czas do namysłu.

W tym momencie zatrzeszczały schody, a na górze ukazały się wysokie buty komendanta posterunku. Chłopcy rozstąpili się z respektem. Sierżant nie przypuszczał nawet, że przechodzi obok młodych detektywów, którzy w przyszłości jeszcze dobrze namącą mu wody.

Tymczasem, nie zwracając na nich uwagi, rzekł do pani Lichoniowej:

— Jeżeli jest samochód, to mam nadzieję, że właściciel też się znajdzie. To jakiś dziwak albo pomyłony.

Gospodyni westchnęła:

— Dałby Bóg, żeby to się dobrze skończyło.

— Zapłacił pani za cały miesiąc?

— Tak.

— To czego pani się martwi?

— Dziwna sprawa, panie komendancie, a ja lubię przede wszystkim ład i porządek.

— Niech pani będzie spokojna, a jakby ktoś pytał się o niego, to niech mnie pani zawiadomi.

Uniósł dłoń do daszka i oddalił się wolnym, kołyszącym się krokiem. Przechodząc obok przedpotopowego wehikułu, spojrzał nań z odrazą i pogardą.

Mandżaro zamienił z chłopcami porozumiewawcze spojrzenie.

— Dobra jest — szepnął — on nie ma ochoty zajmować się tą sprawą.

2

— Jakoś nam obleciało — szepnął Perełka, pałaszując z apetytem kaszę manną obficie okraszoną masłem.

— Dzięki szanownemu Marsjaninowi burza przeszła bokiem i zapowiada się miejscowe roz pogodzenie — dorzucił Paragon.

Mandżaro siedział zamyślony. Widać było, że przejął się rolą Sherlocka Holmesa. Myślał tak intensywnie, że gdy Paragon spojrzał na swego szefa, zdało mu się, że w jego głowie trzeszczą komórki mózgowie, a myśli promieniują jak ciało radioaktywne.

A jednak śniadanie nie przeszło tak gładko, jak się spodziewali.

Pani Lichoniowa postawiła na stole dzbanek z kawą, zatrzymała się i powiodła po chłopcach urażonym spojrzeniem.

— Macie dobre apetyty, łapserdaki. Właściwie nie powinnam wam dać śniadania. Żebyście wiedzieli, co ja przeżyłam.

Chłopcy opuścili głowy i utkwili wzrok w nylonowym obrusie. Paragon próbował ratować sytuację.

— Taka wdechowa ta kaszka, pro... pani, że grzechem byłoby jej nie zjeść. Takiej kaszki nawet w „Bristolu” się nie dostanie.

Tym razem gospodyni nie zwróciła uwagi na komplementy chłopca.

— Co ja się strachu przez was najadłam. Już chciałam iść na milicję. Jak można tak późno włączyć się po nocy?

— Nie mieliśmy, ciociu, zegarka — wtrącił niefortunnie Perełka.

To jeszcze bardziej rozsierdziło łagodną panią Lichoniową. Uderzyła pięścią w stół, aż kubki podskoczyły i zabrzęczały łyżeczki.

— Waszym psim obowiązkiem jest przyjść na kolację, a potem jazda spać! — W tym miejscu głos jej się załamał, przeszedł w łagodną skargę: — Pomyślcie, co by to było, gdybyście byli blisko zamku. Tam straszy, a wy... — Przeżegnała się szybko. — W imię Ojca i Syna, nie mogę nawet wyobrazić sobie!

Paragon kopnął pod stołem Perełkę. Ten zamrugał tylko rudawymi rzęsami i zrobił taką niewinną minę, jakby w tej chwili spadł z nieba. Paragonem wstrząsnął wewnętrzny śmiech. Zdławił go jednak szybko i odezwał się pokornym głosem:

— Niech mi włosy na podniebieniu wyrosną, jeśli to się jeszcze powtórzy.

Gospodyni zwróciła ku niemu pełne wzruszenia oczy.

— Ty, Paragon, jesteś z nich najrozsądniejszy. Powinieneś ich pilnować.

Paragon podniósł szelmowsko głowę.

— Zrobione, pro... pani. Teraz będą chodzić jak w przedszkolu, za rączkę — i posłał Perełce porozumiewawcze mrugnięcie.

Pani Lichoniowa ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Pamiętajcie, żeby mi to było ostatni raz, bo was odeślę do Warszawy.

— Jak w przedszkolu, pro... pani — powtórzył Paragon.

— No, chciałabym wiedzieć — zabrała pustą wazę po mannie, drobnymi kroczkami poszybowała w stronę kuchni. W drzwiach odwróciła się jeszcze. — Taki prezent dostałam od was na imieniny. Wstyd!

Gdy znikła w kuchni, chłopcy odetchnęli z ulgą.

— Niż baryczny ustępuje — powiedział Paragon. — Znosi się na rozpogodzenie. — Naraz zwrócił się do Perełki: — Te, Boguś, kiedy twojej cioci imieniny?

— Jutro.

— Oczywiście, piętnasty sierpnia, Marii. Czegoś nam nie przypomniał?

— A co chcesz zrobić? — spytał wyrwany z zamyślenia Mandżaro.

— Jak to: co? Trzeba po warszawsku, z honorem, jakiś prezent zorganizować.

— Nie mamy forsy.

— Jesteśmy, że tak powiem, na gościnnym garnuszku, to należy ruszyć elektronowym mózdzkiem. Nie bójcie się, Paragon coś wykombinuje.

— Może byśmy przynieśli kwiaty? — zaproponował Perełka.

— Gdzie masz, bracie, kwiaty? — skrzywił się Mandżaro.

— Na plebani!.

Paragon cmoknął zniecierpliwiony.

— Odpada. Detektywom nie wypada organizować wiązanek na plebani. Ja już forszę wykombinuję.

Mandżaro przeraził się.

— Tylko żeby nie było wsypy, Paragon.

— Jakiej wsypy?! — obruszył się Maniūs. — Wszystko będzie korekt. Wezmę wózek, pójdę na stację i odwiozę gościom walizki. Dobry pomysł?

— Fenomenalny! — zawołał z podziwem Perełka. — Ja ci pomogę.

— Pójdziemy z tobą — rzekł Mandżaro.

— Myślcie lepiej, jak rozwiązać sprawę Marsjanina. Z resztą sam sobie poradzę. W sprawach

finansowych to ze mnie specjalista. Dwa razy obróć i będzie kapitał na prezent.

— A co kupimy?

— Nie ma zmartwienia, ciocia Perełka będzie zachwycona. Może nam wreszcie przebaczy.

3

Po śniadaniu atmosfera nieco się oczyściła. Leśniczego nie było od rana. Poszedł na wyrąb dopilnować robotników leśnych. Pani Lichoniowa krzątała się wokół gospodarstwa. Z daleka słyhać było jej piękny, wysoki głos, jak śpiewała „Kukułeczkę”. Prawdopodobnie minął jej gniew, a codzienne zajęcia kazały zapomnieć o kłopotach z chłopcami. Stara Trociowa siedziała na werandzie. Obierała na obiad ziemniaki. Jej szara, pomarszczona twarz co chwila zwracała się ku murom sterczącej nad linią lasu baszty. Staruszka jeszcze raz przeżywała okropność dwóch ostatnich wieczorów i dociekała, co to takiego mogło się zdarzyć, że w zamku przebudziły się złe duchy.

W leśniczówce panował spokój.

Paragon poszedł do wozowni sprawdzić stan ręcznego wózka, za pomocą którego miał zamiar zbić kapitał na kupno prezentu. Do tej pory jednak nie wiedział, co to ma być za prezent. Gdyby miał dużo pieniędzy, kupiłby piękny, jedwabny szal, taki sam, jaki ciocia Frania przechowywała w kufrze na Górczewskiej. Był to karminowy szal z pięknymi, czarnymi różami. Ale takiego szala nie kupi, choćby codziennie odwoził gościom walizki.

Z zamyślenia wyrwał go Perełka. Zjawił się w drzwiach wozowni z niezwykle tajemniczą miną.

— Gdzie Mandżaro? — zapytał na wstępie.

— Szef w naszym namiocie myśli, jak rozwiązać sprawę Marsjanina. Jeżeli mu głowa pęknie, to, daję słowo, nie moja wina.

Perełka zbliżył się do Paragona.

— Te, słuchaj — wyszeptał — może by tak iść tam na górę, do Marsjanina?

— Gdzie, na zamek?

— Nie, do jego pokoju.

— Po jakiego jasnego gołąbka?

— Może on tam coś zostawił.

Paragon uniósł dłoń do czoła.

— Niezły pomysł. Że ja też o tym nie pomyślałem!

— No, widzisz, teraz Perełka musi za was dedukować — powiedział z dumą mały detektyw.

Rozejrzeli się, czy nikt ich nie widzi. Drzwiami od podwórza weszli do kuchni, przez ciemny korytarz prześliznęli się na schody. Skradali się cicho na palcach, by zeschnięte deski nie trzeszczały. Na końcu schodów natrafili na drzwi. Paragon nacisnął klamkę. Stary zamek zazgrzytał i puścił. Pchnięte drzwi odsłoniły mały, mansardowy pokój.

— Jak on tu się zmieścił? — wyszeptał Paragon.

Perełka uniósł palec do ust.

— Psss! Bo nas ktoś usłyszy.

Pokój był mały, ale, wbrew zapewnieniom gospodyni, jasny i przytulny. Drewniane ściany pachniały świeżym pokostem, a w uchylonym oknie aż pienieło się od czerwonych pelargonii. Z okna widać było czuby drzew, a nad nimi wyniosłą basztę zamczyska.

Chłopcy stanęli w progu. Długą chwilę wodzili po pokoju rozognionymi oczyma.

Po chwili, gdy ochłonęli z pierwszego wrażenia, zabrali się do poszukiwań. Na podłodze leżało kilka starych gazet i zmiętych papierków. Rozwijali je starannie, w nadziei, że odnajdą przynajmniej drobny ślad, który by im pozwolił zadzierzgnąć wątek śledztwa. Lecz za każdym razem doznawali rozczarowania. Wreszcie zatrzymali się przed łóżkiem. Było jeszcze zaścielone. Paragon zlustrował

je baczny spojrzeniem.

— Ciekawe — powiedział jakby do siebie. — Jeszcze w nocy leżał tutaj Marsjanin...

Naraz zwrócił się do Perełki:

— Te, a może... coś pod łóżkiem?

Perełka w mig zrozumiał myśl przyjaciela. Jak bramkarz w robinsonadzie rzucił się na podłogę i kocimi ruchami wczołgał pod łóżko. Przez chwilę wystawały mu tylko pięty. Potem spod łóżka wydobył się triumfalny okrzyk:

— Jest!

— Co jest?

— Notes i jakaś mapka.

— Dawaj piorunem!

Perełka wyskoczył spod łóżka zziębnięty, ze zmierzwionymi włosami i roziskrzonymi oczami. W dłoni trzymał notes w żółtej, plastikowej oprawie i małą mapkę, wyrysowaną na pergaminowym papierze.

Podeszli do okna. Paragon wydarł mu z ręki notes. Nerwowo zaczął wertować kartki. Najpierw odnaleźli kilka numerów telefonów z warszawskimi adresami, potem jakieś tajemnicze notatki. Pismo było niewyraźne, więc mozolili się wspólnie, by odczytać przynajmniej fragmenty zapisków. Tuż za numerami telefonów, na pierwszej stronie notatek, widniało serce przebite strzałą, a obok napis drukowanymi literami: ZIUTEK

— Ciekawe — wyszeptał Perełka. — Może to jakiś szyfr?

Paragon skrzywił się.

— Zalatuje mi jakąś romantyczną historią. I pismo wydaje mi się babskie.

— Może to dla zmylenia służby śledczej — szepnął Perełka.

— To się okaże — rzekł niezwykle poważnie Paragon. — Czytaj dalej. Szkoda, że w naszej brygadzie nie mamy specjalisty grafologa.

Nachylił się nad notesem i nosem orał kartkę zapisaną drobnym pismem. Sylabizował:

W poniedziałek sukienka z pralni... Środa, godz. 5, randka z Z. List do Lali... Mira, małpa, nie oddała 100 zł... 10 dkg mąki, 2 jaja, dwie łyżki śmietany, 5 dkg margaryny...

Paragon parsknął śmiechem.

— Jak ciocię Franię kocham, przepis na ciastka.

Ale Perełka uparł się.

— Mówię ci, że to szyfr. Sławni przestępcy, a zwłaszcza szpiegowie, posługują się zawsze szyfrem. Serce przebite strzałą może oznaczać na przykład...

— Na przykład co? — zapytał sceptycznie Paragon.

— Byle co. Może jednostkę wojskową albo miejsce ukrycia skarbu.

— Dobrze, a gdzie masz klucz do odczytania szyfru?

— Trzeba wydedukować.

— W jaki sposób?

— Na przykład: Mira, małpa, nie oddała 100 zł — to może być: 100 metrów na prawo znajduje się skład amunicji.

Paragon pokiwał głową.

— Z ciebie kosmiczny fantasta. Tyś powinien zamiast Łajki latać w międzyplanetarnych przestrzeniach. Mira jest na pewno małpą, bo nie oddała pieniędzy.

Perełka skrzywił się. Przykro mu było, że Paragon tak bezpardonowo zburzył jego koncepcję o szyfrze. Bronił się jeszcze:

— No, dobrze, ale skąd ten notes znalazł się pod łóżkiem Marsjanina?

— Czy tylko Marsjanin mieszkał w tym pokoju? Przed nim mogła mieszkać jakaś pani, która przebiła strzałą serce Ziutkowi. Kapujesz?

— Kapuję — ustąpił niechętnie Perełka — ale w każdym razie musimy schować ten notes. A nuż okaże się, że to szyfr?

Paragon nie odpowiedział. Jego spojrzenie przesunęło się na mapkę. Wziął ją z ręki Perełki i przyjrzał się uważnie.

— O! — zawołał. — Tu mamy prawdziwy dokument! Patrz, bracie! Plan całego zamku!

Chwilę wydzielali sobie z rąk szeleszczący arkusz pergaminowego papieru. Na szczęście papier okazał się mocny i przetrwał ten napad niecierpliwości. Chłopcy zgodnie pochylili głowy nad tajemniczym planem. Nie ulegało wątpliwości, że był to plan zamku, a raczej jego podziemi, gdyż nadziemne mury zaznaczone były jedynie przerywaną linią. Można było rozpoznać główną basztę, gotycką bramę, dziedziniec ze studnią i lewe skrzydło z pozostałymi jeszcze strzelnicami. Ale główny temat mapy stanowiły podziemia. Paragon wpadł na to pierwszy, rozpoznawszy zejście z lewego skrzydła do tajemniczego korytarza, którym ubiegłej nocy wydostał się wraz ze studentami na zewnątrz murów.

— Panie inspektorze Albinowski! — zawołał grzmocąc po ramieniu Perełkę. — Zrobiliśmy epokowe odkrycie kryminolo-lo-lo... — język utknął mu na środkowej sylabie i odmówił posłuszeństwa.

Perełka podskoczył z uciechy.

— To ja znalazłem tę mapę.

— Legalnie. Dostaniesz za to order albo Marsjanin upiecze cię na kosmicznych promieniach ultrafioletowych. Grunt, że mamy plan tajemnych przejść. Teraz możemy na własną rękę szukać skarbów.

Perełka spojrzał na przyjaciela z wyrazem ni to uznania, ni przerażenia.

— Paragon, czy ty naprawdę myślisz, że tam są ukryte skarby?

Maniuś wydał wargi.

— Mam nadzieję, że Marsjanin nie szuka pod basztą chrabąszczy majowych. Po co by tam taskał czarną walizkę? Rozumiesz: czarną! Nie brązową ani w kratkę, tylko czarną...

Perełka patrzył na Paragona jak urzeczony.

— Rzeczywiście, czarną... W tym coś musi być.

— A tu patrz, bracie! — Paragon trzepnął dłonią w mapkę. — Widzisz te tajemnicze znaki?

Perełka niżej pochylił głowę nad planem. Istotnie, cały plan upstrzony był dziwnymi znakami. Najczęściej powtarzały się krzyżyki, kółka i kwadraciki w najrozmaitszych barwach. Widniały również drukowane litery i cyfry. W dwóch miejscach znaki przybrały kształt nietoperzy. To najbardziej zastanowiło młodych detektywów.

— Kapujesz? — zapytał szeptem Paragon.

— Nic nie kapuję — Perełka zaprzeczył ruchem głowy i spojrzał błagalnie na przyjaciela.

— To jest właśnie tajemniczy szyfr Marsjanina i jego współników.

— Jakich współników?

— On musi mieć współników. Sam by się nie odważył zejść w podziemia. Te znaki zaprowadzą nas do skarbu.

Perełka patrzył z respektem.

— Paragon — wyszeptał — mózdzek rzeczywiście masz elektonowy. Ja bym na to nie wpadł.

— Głupstwo — uśmiechnął się Paragon. — Jestem teraz pewien, że trafiliśmy na ślady

poszukiwaczy skarbów.

Perełka zatarł dłonie i podskoczył kilka razy jak konik polny.

— To jest naprawdę poważne zadanie. Trzeba zawiadomić Felka.

Paragon przymrużył oko.

— Pan nadinspektor Mandżaro łamie sobie łepetynę, a myśmy wpadli na trop...

— Tylko, Paragon, nie bądź świca i powiedz mu, że to ja pierwszy znalazłem tę mapę.

— To się samo przez się rozumie. Zostaniesz przedstawiony do pochwały.

4

Kiedy chłopcy weszli do szałas, nadinspektor Mandżaro leżał na cetynie pogrążony w całkowitej zadumie. W dłoni trzymał nieodłączny notes. Dedukował.

Na jego widok Paragon uśmiechnął się cierpko, zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Perełką i zapytał z nutką kpiny:

— Czy pan nadinspektor rozpracował już sprawę Marsjanina?

— Nie przeszkadzać — rzekł z grobową powagą Mandżaro. — Mam już pewną koncepcję. Zdaje mi się, że ten Marsjanin zniknął z poddasza, żeby zmylić władze śledcze. W tym celu zostawił na podwórzu samochód, który nie przedstawia żadnej wartości. Sam zaś ulotnił się wraz z czarną walizką.

— Uhm — potwierdził Paragon, trącąc łokciem Perełkę. — Dlatego włóczył się wczoraj po zamku.

— Włóczył się po zamku, żeby go ktoś zobaczył. Na tym właśnie polega jego podstęp. Tymczasem mógł wyjechać nocnym pociągiem...

— Lipa z sosną równo rosną — przerwał mu nagle Perełka.

Mandżaro zgromił go spojrzeniem.

— Co chciałeś przez to powiedzieć?

— Że twoja metoda dedukcji jest, niestety, do chrzanu.

Mandżaro zerwał się. Stał naprzeciwko Bogusia.

— Inspektorze Albinowski, przywołuję cię do porządku!

W tym momencie Paragon wyjął z kieszeni plan, podsunął go szefowi pod sam koniec nosa.

— Panie nadinspektorze, tutaj mamy dowody, że nasz Marsjanin przebywa na zamku.

Mandżaro cofnął się o pół kroku.

— Co to? — zapytał niezwykle zaskoczony.

Wtedy chłopcy na przemian jęli mu tłumaczyć olbrzymie znaczenie swego odkrycia. Tak mu tłumaczyli, że w końcu nic z tego nie zrozumiał. Dopiero gdy rozłożyli przed nim plan i objaśnili jego znaczenie, pan nadinspektor zrobił niewyraźną, minę.

— Ja też tak przypuszczałem — powiedział nieco speszony.

Paragon parsknął śmiechem.

— Wiesz co, Feluś, ty nie rób z siebie ważnego. Jeżeli jesteś morowy chłop, to przyznaj się, że źle wykombinowałeś.

Mandżaro objął go chłodnym spojrzeniem.

— Nie powiedziałem wam, że miałem jeszcze drugą koncepcję.

Perełka stanął między nimi.

— Ja was błagam, nie kłóćcie się!

Paragon uśmiechnął się z politowaniem.

— Ja się nie kłóczę, ale nie lubię, jak ktoś chce być mądrzejszy od samego siebie.

Mandżaro nachmurzył się, głowę wysunął do przodu jak zaczepny kogut.

— Co ci się nie podoba, Paragon? — zapytał wyzywająco.

Maniuś machnął mu ręką przed nosem.

— Nie wygłupiaj się.

Mandżaro poczerwieniał. Zacisnął pięści i jeszcze bardziej pochylił głowę.

— Może nie chcecie, żebym był nadinspektorem?

— Nie o to chodzi — pisał pojednawczo Perełka.

Paragon zachnął się.

— Możesz być nawet szefem całego Scotland Yardu.

— Rozumiem. Może ty chcesz być nadinspektorem?

Paragon włożył lekceważąco ręce do kieszeni.

— Znasz mnie. Nie zależy mi na tym.

— Mnie też.

— Widocznie ci zależy, bo się szarpiesz.

Mandżaro opuścił wolno ręce gotowe do bójki. Cofnął się, uśmiechnął pogardliwie i rzekł załamującym się głosem:

— Mylisz się. Możecie teraz zostać sami. Ja rezygnuję.

To powiedziawszy, odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z szałasu.

— Mandżaro! — zawołał stłumionym głosem Perełka.

Lecz Mandżaro nie odwrócił się. Perełka ruszył za nim, chcąc go zatrzymać. Paragon chwycił go za rękaw.

— Daj mu spokój. Nie będziemy go prosić. Jak taki ważny, to niech idzie. Sami damy sobie radę.

Perełka stał u wejścia do szałasu i patrzył niespokojnie za odchodzącym Mandżarem. Ten szedł wolno, brodząc po kolana w bujnej trawie. Zwiesił głowę, lekko się pochylił. Widać było, że z żalem opuszcza szałas. Gdy był już przy pierwszych drzewach, obejrzał się przez ramię, lecz ujrawszy stojących przed szałasem chłopców, odwrócił szybko głowę i ruszył biegiem. Po chwili znikł między drzewami.

Perełka westchnął żałośnie.

— Szkoda. — Potem zwrócił się do Paragona: — Cóżżeś narobił?

Paragon stał zły, zasępiony. On też żałował, że tak fatalnie zakończyła się ta nieprzewidziana sprzeczka. Nie spojrzał na Perełkę, tylko powiedział głośno:

— Jak nie chce, to nie trzeba!

Perełka pokiwał z politowaniem głową.

— Było nas trzech, a teraz?

Paragon wciąż jeszcze patrzył na skraj lasu, gdzie przed chwilą zniknął ich przyjaciel.

— Teraz? — powiedział jakby do siebie. Chwilę zastanawiał się, po czym zaświstał przez zęby pierwsze takty „Ri-fi-fi”. — Teraz — rzekł z hamowaną złością — muszę iść na dworzec, żeby zarobić forszę na prezent.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Pociąg przyjeżdżał o jedenastej trzydzieści. Gdy Paragon zjawił się na stacji, peron był niemal pusty. Jakaś kobiecina z koszem pełnym grzybów tkwiła pod daszkiem stacyjnego budynku, a za oknem widać było czerwoną czapkę dyżurnego ruchu.

Paragon stanął przy wyjściu z peronu, obok zielonego ogrodzenia. Ze znudzoną miną spoglądał na połyskliwe tory kolejowe. Myśli miał zaprzątnięte niedawną sprzeczką z Mandżarem. Zły był na siebie, że wdał się w kłótnię i w ten sposób rozbił brygadę detektywów. Jednocześnie w przekorny sposób starał się usprawiedliwiać siebie. „Co on sobie myśli, że ja mu zawsze będę ustępował? Tak się szarpie, jakby zjadł wszystkie rozumy i popił ptasim mlekiem. Gdyby był morowym kolegą, to by się nie obrażał i nie odgrywał ważnego. On zawsze taki, nigdy nikomu nie chce ustąpić. A przy tym poważny jak karawaniarz. Szkoda go, ale dobrze mu tak. Może zrozumie, że z kolegami trzeba inaczej...”

Ten gorzki tok myśli przerwało mu zjawienie się nowej postaci. Tuż przy jego wózku zeskoczyła z roweru dziewczyna. Była pulchna, rumiana, uśmiechnięta i bardzo pewna siebie. Ubrana w spodnie rybaczkę i wiatrówkę, nosiła się jak zawadiacki chłopiec. Z rumorem postawiła rower obok wózka i pewnym krokiem podeszła do ogrodzenia.

— O której przyjeżdża ten pociąg? — zapytała nie patrząc na Paragona, jakby on był powietrzem lub szkłem.

— Według rozkładu jazdy — odrzekł z cwaniackim uśmieszkiem.

Dziewczyna dopiero teraz raczyła spojrzeć na inspektora z Klubu Młodych Detektywów. Oszacowała go szybkim, przelotnym draśnięciem oka, wyduła lekko wargi i rzuciła z przekąsem:

— O tym wie nawet niemowlę w żłobku.

— Szanowna księżniczka już dawno ze żłobka wyszła.

Zatrzepotała gęstymi rzęsami.

— Przeszłam do szóstej klasy, jeżeli na tym komuś zależy.

— Do szóstej? — powtórzył z szacunkiem. — A zachowanie jak w przedszkolu.

Dziewczyna szerzej otworzyła oczy. Dopiero teraz dokładniej przyjrzała się Paragonowi. Stał oparty plecami o ogrodzenie, mrużył zaczepnie kocie oczy i uśmiechał się wyzywająco. Dziewczyna odpowiedziała równie zaczepnym spojrzeniem.

— Kolega chyba z Warszawy?

— To się wie... z Woli.

— A ja z Mokotowa. Mieszkam na Madalińskiego.

— Zaraz skapowałem po szanownym zagajeniu.

Roześmiała się pojednawczo.

— Ale ty mówisz...

— Jak na Górczewskiej — podjął szarmancko Paragon. — Pewno czytałaś o mnie w prasie. W zeszłym roku zdobyliśmy puchar „Życia Warszawy” w turnieju dzikich drużyn. Ja zagrywam na lewym skrzydle...

Wzruszyła ramionami.

— Nie interesuję się sportem. Uwielbiam astronautykę.

— To z ciebie kosmiczna dziewczyna — obrzucił ją jeszcze raz badawczym spojrzeniem, ocenił jej tuszę i dodał bez cienia złośliwości: — Ale do sputnika to byś się nie zmieściła. Linie masz opływowe.

Dziewczyna udała oburzoną.

— Mama mówi, że jak wyrosnę, to zeszczupleję. A zresztą co ci do tego?

— A nic... ja nawet lubię takie, bo jak na nie patrzę, to mam lepszy apetyt.

Dziewczyna zmarszczyła ciemne brewki.

— Arogant!

Paragon wzruszył ramionami.

— Ja wcale nie arogant, tylko detektyw... — w tym miejscu ugryzł się w język. Zrozumiał, że bliski był zdradzenia wielkiej tajemnicy.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— Ty... detektyw?

Uraził go jej kpiący ton. Poczł się niezręcznie. Więc żeby wybrnąć z tej sytuacji, palnął:

— Możesz nie wierzyć, ale mamy tutaj Klub Młodych Detektywów. Jeżeli masz ochotę, to... — chciał powiedzieć: „to możesz do nas przystąpić”, ale znowu pojął, że kropi głupstwo za głupstwem, dokończył więc zdanie nic nie znaczącym gestem.

W oczach dziewczyny zapaliły się żywsze iskierki. Patrzyła na Paragona z rosnącym zainteresowaniem.

— Macie Klub Młodych Detektywów — wyszeptła — to wspaniale. Ja też bym chciała... — urwała, gdyż Paragon zrobił taką cierpką minę, jakby połknął plasterek cytryny.

— To nie takie proste — rzekł z niechęcią. — Najpierw musiałyś zdać egzamin.

Chwyła go za rękaw, jakby w obawie, że za chwilę zniknie. Jej ładne, zielonkawe oczy płonęły podnieceniem.

— Zdam, jaki chcecie. Mówię ci, mam wybitne zdolności detektywistyczne.

Paragon przybrał pozę doświadczonego agenta Scotland Yardu. „Poczekaj — pomyślał — teraz dam ci dobrą szkołę, żebyś tak nie zadzierała nosa”. Strzyknął śliną przez zęby i zapytał:

— A dedukować umiesz?

— Phi, czytałam całego Sherlocka Holmesa. To przestarzała metoda. Teraz stosuje się najnowsze metody naukowe: chemię, fizykę, psychologię, socjologię...

Paragonowi zrzęła mina. Tak go zaskoczyła tą litanią, że na chwilę zapomniał języka w gębie. Wnet jednak zebrał myśli i nie tracąc pewnej miny zapytał:

— A na duchach się znasz?

— Też! — zaśmiała się dziewczyna. — Moja ciotka jest znaną spirytystką. Byłam u niej na jednym takim seansie, podczas którego wywoływano ducha Napoleona.

Na ten argument Paragon nie znalazł już odpowiedzi. Rozdziawił tylko usta i wyszeptał z respektem:

— Na... po... le... ona?

— No! A potem Hitlera i Mussoliniego. Hitler nie chciał przyjść, a Mussolini powiedział, że nie umie po polsku...

— To fantastyczne!

— Najlepsze, że później okazało się, że Napoleonem był wujek Kazik, a Mussolinim pan Kantorowicz, kolega mamusi — uśmiechnęła się porozumiewawczo, a widząc zawiedzioną minę Paragona zapytała: — Ty wierzysz w duchy?

— Ja? Nie! — zaprzeczył gorliwie i na potwierdzenie splunął z obrzydzeniem.

— Ja też nie. A jednak podobno tu na zamku straszy. Nasza gospodyni mówiła, że na baszcie ukazują się codziennie Biała Pani.

„Mam cię! — pomyślał inspektor Paragon. — W sprawie tutejszych duchów to ty mnie nie zagniesz”.

Przybrał znowu postawę agenta Scotland Yardu i rzekł z nonszalancją:

— W sprawie duchów to nigdy nic nie wiadomo. Jeżeli straszą, to w tym coś musi być. Może to jakieś zjawiska spoza naszej planety?

— Słuchaj — szarpnęła go za rękaw — jeżeli mamy Klub Młodych Detektywów, to warto by tym się zająć. Nie masz pojęcia, jak ja bym chciała zobaczyć takiego ducha...

W tym momencie Paragon znieruchomiał i zrobił najgłupszą gębę w swoim życiu. Na peronie zobaczył właśnie Antoniusza we własnej osobie. „O duchu mowa, a duch tu!” — pomyślał i zapomniał zupełnie o dziewczynie, która usiłowała przekonać go, że należy zorganizować wyprawę na zamek w celu zaznajomienia się z tajemniczymi duchami.

Antoniusz tymczasem wielkimi krokami przemierzał peron. Był tak zamyślony, że nie spostrzegł swego dobrego znajomego.

Paragon szepnął do dziewczynki:

— Teraz, niestety, nie mam czasu. Przyjdź do leśniczówki, to pogadamy.

Przeciął drogę zasępionemu asystentowi.

— Szanowanie, panie asystencie — przywitał go z największą gracją, na jaką stać go było w tej chwili. — Jak tam szanowna praca naukowa?

Antoniusz mrugnął porozumiewawczo, ledwo uchwytnym ruchem przytknął palec do warg, a potem musnął rudą brodę.

— Co ty tu robisz, Paragon?

Maniś ucieszył się, że szef duchów nie zapomniał jego imienia. Odrzekł więc z humorem:

— Ja tutaj w celach handlowo-transportowych. Jeżeli szanowny pan asystent ma jakiś bagaż, to chętnie dostarczę go pod wskazany adres. Taksa dostępna nawet dla najnędzniejszych turystów.

Ubawiony Antoniusz poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

— Ty zawsze masz humor.

— Co robić, panie asystencie, my przecież z Warszawy.

Antoniusz przyjrzał mu się baczniej, jakby w tej chwili chciał powziąć jakąś ważną decyzję. Potem skinął porozumiewawczo głową.

— Słuchaj, mam do ciebie ważną sprawę — odciągnął go na bok. Gdy znaleźli się na osobności, zniżył głos i powtórzył: — To bardzo ważna sprawa. Czy mógłbyś mi pomóc?

— Z przyjemnością, panie asystencie. Dla szanownego pana wszystko.

— Jesteś morowym chłopcem i dobrze ci z oczu patrzy. Musisz jednak jeszcze raz przyrzec mi, że to, co ci powiem, zostanie między nami.

— To się rozumie, panie asystencie. U mnie jak w banku albo jak w grobie. Nie puszcę pary z ust.

Rozpierała go radosna duma. Oto sam szef duchów, wielki Antoniusz, zwraca się do niego jak do kolegi i chce mu powierzyć wielką tajemnicę. Z trudem powstrzymywał drżenie głosu i z wielką ufnością patrzył w uśmiechnięte oczy asystenta.

— Znasz już część naszej tajemnicy, ale nie wiesz, w jakim celu robimy to wszystko. Muszę ci wyjaśnić, żebyś był dobrze zorientowany... — pociągnął go za sobą.

Gdy usiedli na ławeczce pod kasztanami, Antoniusz powrócił do zwierzeń. Mówił wolno, z rozwagą, patrząc bacznie na chłopca:

— Jestem tutaj na letnim obozie z grupą studentów. Opracowujemy pod kierownictwem naszego profesora historię tego zamku. Niestety, w pracy napotkaliśmy wielką przeszkodę. Miejscowe władze, które nie orientują się w wartości zabytkowej zamku, postanowiły wyburzyć lewe, najstarsze skrzydło i wybudować tam nowoczesny hotel. My jako historycy sztuki nie możemy na to pozwolić...

— Legalnie — przerwał Manius — to przecież prehistoryczne zabytki.

Antoniusz roześmiał się głośno.

— Widzę, że jesteś rozsądny i zapewne dojdziemy do porozumienia.

Paragon wyciągnął dłoń.

— Może pan przybić bez zmrżenia powieki.

— Dobrze. Więc słuchaj dalej. Nie mogliśmy dopuścić do rozbiórki lewego skrzydła. Dlatego profesor wyjechał do Warszawy, żeby powstrzymać roboty. Tymczasem tutaj zebrano już robotników. Co mieliśmy robić?

— Wiadomo, straszyć! — zawołał Paragon. — Widziałem na własne oczy, jak robotnicy zjeżdżali spod bramy. Mogę pogratulować. Zradiofonizowane duchy udały się na sto dwa.

— Niestety. Nie na sto dwa — zasepił się Antoniusz. — Właśnie mamy duże kłopoty. Wyobraź sobie, dzisiaj był u nas komendant posterunku i oskarżył nas o zakłócenie porządku publicznego.

— On przecież nie wie, że to wy straszycie.

— Nie wie, ale domyśla się.

— To trzeba tak skombinować, żeby nie posądzał was.

Antoniusz spojrział z uznaniem w skupioną twarz chłopca.

— O to właśnie chodzi — podjął. — Ty w mig pojąłeś całą sprawę. Trzeba odwrócić od nas podejrzenia.

— Niech się pan nie martwi, my to załatwimy.

Antoniusz posłał chłopcu uśmiech.

— Ułożyłem już plan. Będziecie musieli nam pomóc.

Paragon zerwał się i zatarł z radości ręce.

— W charakterze duchów?

— Tak — jeszcze bardziej ściszył głos. — Dzisiaj wieczorem my wszyscy musimy zostać w namiotach, żeby komendant wiedział, że nie mamy nic wspólnego z tajemniczymi duchami. A jednocześnie duchy muszą ukazać się na murach...

— To znaczy, że my mamy odstawiać zradiofonizowane upiory. Fenomenalnie! — zawołał chłopiec, lecz w tej samej chwili jego zapal nagle przygasł. Przypomniał sobie bowiem, że leśniczy zabronił im oddalać się z leśniczówki. Uniósł dłoń do czoła i dodał po chwili zafrasowany: — Są jednak pewne drobne przeszkody...

— Jakie? — zaniepokoił się Antoniusz.

Paragon wytłumaczył mu sytuację, w jakiej znaleźli się po wczorajszej nocnej wyprawie. Zakończył jednak optymistycznie:

— Jeżeli pan asystent potrafi załatwić to z wujkiem Perelki, to my odstawimy takie duchy, że cała okolica będzie o tym mówić.

Antoniusz przebierał chwilę palcami w zaroście brody.

— Myślę, że to się da zrobić. Zresztą pogadamy o tym. Przyjdę do ciebie po obiedzie.

2

W tym momencie od lasu, w miejscu gdzie tor kolejowy wylaniał się z gęstej sośniny, odezwało się ciężkie sapanie parowozu. Wnet wytrysnął biały obłoczek dymu, a za chwilę wesoły gwizd przeszył powietrze. Ludzie wylegli na peron.

Obok Paragona zjawiała się, jak spod ziemi, pulchna postać dziewczyny z rowerem. Entuzjastka astronautyki patrzyła teraz z uznaniem na detektywa.

— Co to za rudzielec? — zapytała wskazując ruchem głowy na asystenta.

— Specjalista od prehistorycznych murów — odparł z godnością Paragon.

— Wygląda na przestępcę — szepnęła z tajemniczą nutką w głosie. — Mówię ci, ja mam dobrego nosa.

Maniś wzruszył ramionami.

— Nie znasz się.

Dziewczyna wyduła wargi.

— Zobaczysz. — Ściszywszy głos zagadnęła: — Co będzie z Klubem? Przyjmiecie mnie?

Paragon pomyślał, że taka roztropna astronautka może im się przydać zwłaszcza teraz, gdy Mandzaro złożył rezygnację, a Klub czeka robota na zamku. Rzekł jednak z rezerwą:

— To się okaże. Jeżeli nam się przydasz, to może się zastanowimy.

Wtedy właśnie pociąg wtoczył się na peron, a z wagonu wysypali się pierwsi podróżni. Paragon cofnął się przezornie do wózka i wnet przedzierzgnął się w znakomitego transportowca. Bacnym spojrzeniem wyławiał podróżnych obciążonych największą liczbą bagaży. Jego bystre oko spostrzegło nagle wśród tłumu znajomą lwią grzywę. „To mój malarz, którego spotkałem na zamku” — pomyślał uradowany.

Malarz szedł wzdłuż wagonów, szukając kogoś wewnątrz pociągu. Naraz zatrzymał się przed oknem, z którego wychyliła się kobieta. Z tej odległości nasz detektyw ujrzał jedynie szopę niesfornych, na srebrno ufarbowanych włosów i ciemne okulary. Spoza tej srebrnosiwej szopy włosów wyłoniła się kanciasta, goryłowata twarz jakiegoś mężczyzny. Oboje zamienili z malarzem kilka słów i za chwilę jegomość o goryłowatej twarzy zaczął przez okno podawać malarzowi pakunki.

„Uwaga! — pomyślał Paragon. — To będą najodpowiedniejsi klienci”.

Nie namyślając się wiele, zbliżył się do malarza i zagadał z humorem:

— Szanowanie mistrzowi! Widzę, że szanowne towarzystwo na wczasy zjechało. Jeżeli trzeba, to służę luksusowym wózkiem dla uciążliwego bagażu.

Na jego widok malarz uśmiechnął się.

— A, to ty. Poznaliśmy się na zamku.

— Zgadza się. Miałem przyjemność podziwiać pejzaże szanownego mistrza. Picasso lepszych by nie namalował.

To powiedziawszy chwycił pierwszą z brzegu walizkę i bez porozumienia zaniósł ją na wózek. Transakcja była załatwiona.

Po chwili mały wózek uginał się pod bagażem egzotycznej trójki. Egzotyczna — było to najtrafniejsze określenie. Malarz z lwią grzywą opadającą na kark, młoda kobieta ze strzechą srebrnych włosów na głowie i jegomość o goryłowatej twarzy, z postawy podobny raczej do neandertalczyka aniżeli do człowieka doby atomowej, ubrany przy tym w tyrolski kapelusik z kitką i w tyrolskie spodni z jeleniej skóry. Paragona pusty śmiech ogarniał, gdy spoglądał na te figury z panoptikum. Był jednak zadowolony, że bez trudu zdobył klientów. Zaparł się mocno, pchnął z miejsca kopiasto naładowany wózek. Uwagę jego zajął bagaż nowo przybyłych: dwie walizki oblepione zagranicznymi nalepkami, dwa nesesery, a na samym spodzie wielki brezentowy worek, który najbardziej zainteresował chłopca.

„Co w nim może być? — zadawał sobie pytanie, pchając z wysiłkiem wózek pod niewielką pochyłość. — Może namiot? Może materace i sprzęt kempingowy? Może... A zresztą, co mnie to

obchodzi. Grunt, że bagaż jest solidny, a za solidny bagaż trzeba będzie solidnie zapłacić”.

Zerknął za siebie. Egzotyczna trójka szła równym szeregiem, rozmawiając ze sobą półgłosem. Paragon, jako detektyw, z przyzwyczajenia starał się wyłowić chociaż kilka słów, jednak turkot kółek na granitowej kostce zagłuszał rozmowę. Nic więc dziwnego, że uwaga chłopca skierowała się na barwne nalepki, z których starał się odczytać egzotyczne napisy:

Budapeszt — Grand Hotel Astoria, Wien — Sport-Hotel, Split — Hotel Dalmacija, Dubrownik — Hotel Argentina, Paris — Hotel Tourist, Frankfurt — Grand Hotel Verona...

Zakołowało mu się w głowie od barwnych napisów, zielonych palm, błękitnych mórz i od obco brzmiących nazw. Przymknął na chwilę oczy, a gdy je znów otworzył, na horyzoncie, ponad zielonym parawanem lasów, ujrzał wyniosłą basztę zamku i pomyślał: „Niech im tam będzie Budapeszt, Wiedeń, Paryż... U nas jednak najładniej i najciekawiej. Czy w Paryżu mają taki wdechowy zamek ze zradiofonizowanymi duchami?”

Zbliżali się do wioski. Paragon przystanął na chwilę, zwrócił się do malarza:

— Mistrzu, gdzie mam odstawić bagaż?

— Na plebanię — odrzekł malarz.

— To się rozumie. Najelegantsza kwatera w całej wsi. Widok na jezioro, na zamek i pejzaże do malowania pod ręką. Lepszej nie można było znaleźć. Mam nadzieję, że szanowni wczasowicze będą zadowoleni z miejscowego komfortu, zwłaszcza z wiktusów księdza proboszcza...

To przemówienie spodobało się całej trójce. Kobieta ze srebrną strzechą zawołała:

— Jaki rezolutny chłopiec!

— Miły chłopiec — potwierdził jegomość w tyrolskim kapelusiku, którego Paragon ochrzcił krótko: „Tyrolczyk”.

Paragon pchnął mocniej wózek, który teraz potoczył się lekko po drodze opadającej ku jezioru. Wnet wjechał na dziedziniec plebani. Było tu cicho i chłodno. Dwa olbrzymie kasztany rzucały cień na oplecione dzikim winem mury. W gęstwinie gałęzi pogwizdywał kos.

Na turkot wózka z okna wychyliła się gospodyni księdza proboszcza. Jej blada, niemal woskowa twarz odbijała się na tle ciemnej ramy.

— Przyjechali goście! — zawołała w głąb pokoju.

Paragon zaczął zdejmować walizki. Gdy chwycił leżący na samym spodzie brezentowy worek, ugiął się pod jego ciężarem. Z pomocą przyszedł mu malarz.

— Ciężka sztuka — zauważył Paragon kładąc wór na ziemi.

Malarz nic nie odrzekł.

— Ciekawe — zagadnął Paragon — co w takim worze może być?

— Składak.

— Składak? — zdziwił się Paragon. — Ja myślałem, że transatlantycki parowiec.

— Składak i jakieś inne rzeczy — odparł szybko malarz, jakby chciał zakończyć tę rozmowę.

Paragon wciąż jeszcze patrzył na leżący pod murem wór, kręcąc z podziwem głową.

— To musi być jakiś wielki składak.

— Ile ci się należy? — usłyszał zniecierpliwiony głos malarza.

— Ze stacji dwa kilometry — rzekł przebiegle Paragon, w którym nagle odezwała się żyłka handlowa. — Cztery sztuki i ten składak — wyliczył naprędce — wypadłoby pięć złotych za sztukę, a za składak dziesiątaka. Ale jeżeli szanowny mistrz uważa, że to za mało, to może jeszcze co nieco dorzucić, zwłaszcza że to zagraniczny towar...

— Ty masz głowę do interesów! — malarz roześmiał się i wręczył chłopcu pięćdziesięciozłotowy banknot.

Paragon nie spodziewał się takiego wynagrodzenia. Pstryknął szarmancko w daszek kolarki, szurnął nogami i powiedział:

— Życzę słońca, pogody i pomyślnych wiatrów, a jak będą państwo wyjeżdżali, to chętnie odwiozę...

— Jaki miły chłopak — powiedział Tyrolczyk.

Maniś posłał mu najmiłszy ze swoich uśmiechów, jeszcze raz uniósł palec do daszka i na pożegnanie rzucił:

— Polecam prehistoryczne mury piastowskie i prawdziwe duchy w dużym asortymencie. Ciao! — odwrócił się i wolnym, pełnym godności krokiem oddalił się. Gdy był już przy bramie, obejrzał się. Tyrolczyk z malarzem podnosili z ziemi wór. Czynie to z wielkim wysiłkiem. Maniś pokręcił głową.

„To wcale nie wygląda mi na składak”.

3

Mandżaro poszedł do stodoły. Po starej drabinie wspiął się na górę i zakopał w sianie. Ciężko przeżywał rozstanie z chłopcami. Walczył z sobą, by nie zejść na dół i nie pogodzić się z nimi. Był jednak uparty i ambitny. Wnioskował, że gdy wróci skruszony, pozbawią go tytułu nadinspektora, a o tym nie chciał nawet myśleć. Nie zniósłby takiego upokorzenia. Jeżeli ma wrócić do brygady, to z honorem.

Przeróżne myśli błąkały mu się po głowie. Siano, odurzające zapachem szaławii i piołunu, ugięło się miękko. Pod dachem bzykały osy. Szybowały przez otwór w deskach ku graniastym gniazdom jak miniaturowe helikoptery. Na dole gdakały kury. Było cicho.

Z sennego nastroju wyrwała chłopca wspaniała myśl, która rozproszyła nagle wszelkie niepewności i zwątpienia: trzeba wykazać się znakomitym czynem — rozwiązać zagadkę Marsjanina. Wtedy nie tylko zyska uznanie kolegów, ale będzie mógł śmiało powrócić do brygady na stanowisko nadinspektora. Trzeba rozwiązać zagadkę Marsjanina! Dobrze, ale od czego zacząć, skoro wszystkie pomysły wzięty w łeb? Paragon z Perełką znaleźli jakąś tajemniczą mapkę podziemi zamku. Teraz mają uproszczone zadanie... On im jednak pokaże, że bez ich pomocy potrafi zdobyć się na taki wyczyn, który długo jeszcze będą wspominali. Niejednokrotnie wielki Sherlock Holmes był w jeszcze gorszym położeniu. Nie załamywał się jednak, nie rezygnował. Myślał, wnioskował i drogą dedukcji rozwiązywał najtrudniejsze zagadki. On, nadinspektor Mandżaro, postara się nie być gorszy. Jeszcze pokaże tym niesubordynowanym inspektorom, jak pracuje prawdziwy detektyw!

Olśniony tą wspaniałą myślą ułożył szczegółowy plan działania. Zsunął się szybko z drabiny, zahaczył o kuchnię, gdzie napił się mleka, i pokrzepiony na duchu i na ciele zabrał się z zapałem do roboty.

Najpierw okrążył dom. Postanowił bowiem odnaleźć ślady stóp tajemniczego Marsjanina. Zadanie nie należało do trudnych, ponieważ właściciel przedpotopowego wehikułu chodził w ciężkich, turystycznych butach na wibramowej podeszwie. Toteż wkrótce nasz nadinspektor natknął się przy klombie na głęboki ślad wibramowego buta, odcisnięty wyraźnie w wilgotnej glinie. Z radością zatarł dłonie.

„Teraz trzeba zrobić gipsowy odlew” — pomyślał. W szopie znalazł napoczęty worek z gipsem. Rozrobił gips w wodzie na gęstą papkę, zapełnił nią głęboki ślad, a za pół godziny miał już gotowy odlew.

— Wspaniały! — wyszeptał, oglądając swe dzieło. — Proszę patrzeć, jaka solidna robota.

Gdy klęczał obok klombu i podziwiał dzieło swych zdolności detektywistycznych, usłyszał nad sobą głos pani Lichoniowej:

— Co ty tu robisz, Mandżaro?

Nadinspektor znieruchomiał. Nie śmiał unieść głowy ani spojrzeć w zaciekawione oczy gospodyni.

— Wy w ogóle coś przede mną ukrywacie — usłyszał łagodny głos. — Powiedz no, co się z wami dzieje?

— A nic takiego ważnego, proszę pani — wybąkał starając się ukryć pod wiatrówką odlew. Czynił to tak niezręcznie, że pani Lichoniowa spostrzegła jego manewry.

— Co ty tam masz?

— A nie... Tak sobie...

— Co: tak sobie?

— Tak sobie... bawiłem się w modelarza — kłamał. — Właśnie zrobiłem model gipsowy podeszwy...

— Mój Boże, to nie możesz wymyślić innej zabawy?

— Ja, pro... pani, tak lubię.

Pani Lichoniowa pokręciła głową.

— No, no! To po toś przyjeżdżał nad jeziora, żeby paprać się w gipsie? Dziwny z ciebie chłopiec. I zdaje mi się, żeście wszyscy powariowali.

Skinęła z politowaniem głową i oddaliła się w stronę kuchni. Mandżaro zawołał za nią:

— Proszę pani! Czy mogę iść na przystań?

Wzruszyła ramionami.

— To będzie najmądrzejsze, nie jakieś tam głupstwa. Odlew z gipsu... — parsknęła śmiechem.

„Jestem uratowany — pomyślał z radością Mandżaro. Nie zdekonspirowała mnie. A teraz do roboty!”

Oczywiście, nie poszedł na przystań, tylko najkrótszą drogą pobiegł na zamek. Po drodze jeszcze raz skrupulatnie rozważył swój plan. Jeżeli Paragon widział Marsjanina wczoraj wieczorem na zamku, to znaczy, że Marsjanin miał w tym jakiś cel, żeby tam przebywać. Jeżeli tam przebywał, to prawdopodobnie znajdą się jego ślady, a ślady zaprowadzą do kryjówki.

Mandżaro znalazł się przed gotycką bramą. Postanowił udawać zwiedzającego ruiny turystę. Schował więc gipsowy odlew pod wiatrówkę. Z niezwykle poważną miną jął lustrować stare mury. Wodził wzrokiem po flankach, lecz w myślach jego niepodzielnie panowała dziwaczna postać właściciela przedpotopowego wehikułu i ślad jego wibramowych butów.

Wszedł na dziedziniec. Było tu dzisiaj pusto i ponuro. Szare mury zlewały się z chmurami wiszącymi tuż nad flankami baszty. Nawet baszta, pozbawiona błękitnego tła, wydawała się niska i jakby przygarbiona. Chłopiec przeciął dziedziniec, skierował się w stronę lewego skrzydła zamku. Naraz zatrzymał się. Tuż przed nim zakołysały się krzaki kaliny, a z ich gęstwiny wyłonił się młody mężczyzna. Ubrany był po sportowemu — welwetowe spodnie, granatowa wiatrówka. Mandżaro cofnął się gwałtownie. Wtedy dopiero młody człowiek spostrzegł go. Na jego twarzy odbiło się zdziwienie. Uczynił taki gest, jakby chciał zatrzymać chłopca.

Chwilę stali naprzeciw siebie, zakłopotani tym nieoczekiwanym spotkaniem. Pierwszy odezwał się młody mężczyzna:

— Czego tu szukasz? — zapytał ostro.

Mandżara na chwilę zamurowało. Miał ochotę odwrócić się i uciekać, ale w swym trzeźwym umyśle błyskawicznie rozważył, że dobrze będzie zasięgnąć języka. A poza tym dziwne zachowanie młodego mężczyzny wydało mu się podejrzane. „A może to jeszcze jeden przestępca?” — wśliznęła się myśl. Trwało to moment. Pan nadinspektor odchrząknął, przybrał godną postawę i odrzekł

górnolotnie:

— Podziwiam prastare mury piastowskiego grodu.

Młody mężczyzna uśmiechnął się niewyraźnie.

— Pierwszy raz tu jesteś?

— To zależy. Dzisiaj pierwszy raz.

— Kogo tu widziałeś?

— Nikogo.

— A może wiesz, kto się tu kręci?

Mandżaro wzruszył ramionami opryskliwie:

— Tu nikt się nie kręci, tylko porządni turyści zwiedzają historyczne zabytki.

Spojrzenie nieznajomego spoczęło na wiatrówce detektywa, spod której wybrzuszał się gipsowy odlew podeszwy Marsjanina.

— Co tam masz? — zapytał jeszcze ostrzej i szybkim ruchem sięgnął po odlew.

Mandżaro nie zdążył uskoczyć, gdyż nieznajomy złapał go już za wiatrówkę. Szarpnął się. Odlew wysliznął się spod wiatrówki i upadł na ziemię, rozłupując się na dwie części. Chłopiec krzyknął żałościwie. Nieznajomy schylił się i podniósł rozbity odlew.

— Przepraszam — wyszeptał. W jego oczach odbiło się bezgraniczne zdziwienie. Przeniósł spojrzenie na chłopca i zapytał: — Kto ci to dał?

Mandżaro zachnął się.

— To pana nie powinno obchodzić.

Nieznajomy złapał go za ramię. Gwałtownym ruchem przyciągnął do siebie.

— Mów natychmiast!

Mandżaro zaciął zęby.

— Czego pan chce ode mnie? — powiedział wyzywająco, chociaż czuł, że nogi drżą mu w kolanach, a na plecach cierpie mu skóra.

Młody człowiek zmienił nagle ton.

— Ciekaw jestem, kto zrobił ten odlew?

— Ja sam — odrzekł z dumą.

— A... — zdziwił się tamten — pewno kogoś poszukujesz?

— To moja sprawa i nic panu do tego.

Nieznajomy pokręcił głową. Po chwili rzekł poufnie:

— Bardzo mnie interesuje ten stary zamek i to wszystko, co się tu dzieje. Dlatego właśnie pytam cię, skąd masz ten odlew?

„Nie nabierzesz mnie, ptaszku” — pomyślał Mandżaro i chcąc pozbyć się niepożądanego towarzystwa powiedział już łagodniej:

— Jeżeli pana interesuje zamek, to proszę iść do stróża, który udzieli szczegółowych informacji.

Nieznajomy roześmiał się.

— Mówisz bardzo rozsądnie, a zamek jest rzeczywiście ciekawy.

— Część murów pochodzi z czternastego wieku — rzucił chłopiec chełpliwie.

— Widzę, że się znasz na starej architekturze.

— Czytałem o tym coś niecoś.

— I dlatego przychodzisz tu z gipsowym odlewem? — przymrużył oko. — Może to odlew stopy jakiegoś ducha?

Mandżaro natężył uwagę. „To niebezpieczny temat” — pomyślał. Odrzekł więc wykrętnie:

— Duchy mnie nic a nic nie obchodzą.

— W takim razie kto cię obchodzi?

Mandżaro wzruszył ramionami.

— Już panu mówiłem, że przyszedłem tutaj w celach turystycznych.

— Bujaj zdrowo!

Nieznajomy uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową. Nagle przykucnął, rozchylił dłonią trawę, a gdy znalazł kawałek wilgotnej, nagiej ziemi, odcisnął w niej złożone starannie połówki gipsowego odlewu. Potem uniósł głowę, spojrzał przekornie i powiedział z nutką kpiny:

— Ten człowiek chodzi w butach na wibramowej podeszwie, prawda?

— Pięknie pan to wydedukował — uśmiechnął się chłopiec.

— A ty na darmo usiłujesz go odnaleźć — zażartował młody człowiek.

Mandżaro spojrzał nań badawczo: „Co on chce przez to powiedzieć? Może jest w zмовie z Marsjaninem, a może chce mnie zachęcić do zeznań?” Zawahał się. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Młodzieniec wyczuł jego zakłopotanie, uśmiechnął się pojednawczo i oddał mu gipsowy odlew.

— Jeżeli zrobisz jakieś odkrycie, to podziel się ze mną — powiedział żartobliwie. — A poza tym uważaj chłopcze, bo ten zamek jest niebezpieczny. Lepiej wracaj do leśniczówki i baw się z kolegami. — To powiedziawszy odszedł w kierunku głównego dziedzińca.

Mandżaro stał jak zaczarowany. „Skąd ten typ wie, że mieszkam w leśniczówce? Widocznie interesuje się naszym Klubem. Poczekaj, ptaszku, zdaje ci się, że jesteś mądrzejszy od nadinspektora Mandżaro. Wybij to sobie z głowy. My się jeszcze spotkamy”.

Tak mędrkując i rozważając doszedł wkrótce do wniosku, że sprawa Marsjanina zaczyna się komplikować. Co miało znaczyć tajemnicze ostrzeżenie: „Na darmo usiłujesz go odnaleźć” albo: „Uważaj, bo ten zamek jest niebezpieczny”. Dlaczego nieznajomy najpierw dopytywał się, czyj to odlew, a potem zwrócił mu go bez słowa? To jakiś bardzo tajemniczy jegomość. I od tej chwili chłopiec nazywał go właśnie „Tajemniczy”.

Przed zdymisjonowanym nadinspektorem piętrzyły się nowe trudności i wyłaniały się nowe zadania. Nic dziwnego, że Mandżaro, po odejściu człowieka w granatowej wiatrówce, wyjął nieodłączny notes i zanotował skrupulatnie wszystkie spostrzeżenia. Po gruntownym przemyśleniu całej sprawy postanowił nadal poszukiwać śladów Marsjanina.

Minął podcienia, mały dziedziniec i wnet odnalazł przejście do lewego skrzydła. Przejście, o którym wspominał Paragon. Przebił się przez gęstwinę kalin i stanął pod murami. Tutaj, wśród chwastów i krzaków, prowadziła wąska, ledwo widoczna ścieżynka.

Pochylił się jak pies gończy, z nosem niemal przy samej ziemi wypatrywał śladów. W miejscach wilgotnych, bardziej osłoniętych, odbijały się one wyraźnie na gliniastym gruncie. Rozróżniał ślady trampek, tenisówek i pionierek. Głębszych wgłębień, jakie powinny pozostawiać wibrany, nie było.

Nie zrażony niepowodzeniem brnął wzdłuż ścieżki, śledząc każde najdrobniejsze jej rozgałęzienie. W ten sposób znalazł wyrwę w murze, przez którą wczoraj przedzierał się Paragon. Bez namysłu przelazł na drugą stronę. Tutaj zarośla były jeszcze bardziej gęste i zbite. Brodził w nich jak w zielonym nurcie rzeki.

Naraz przystanął. W miejscu gdzie rosła bujna trawa odnalazł małą, zakrzepłą kałużę. Skorupa błota zaschła w marmurkowy wzór popękań. Na środku widniał wyraźny ślad wibramowej podeszwy...

— Jest! — wyszeptał z nieopanowaną radością. Padł na kolana. Spod wiatrówki wyjął gipsowy odlew, złożył go dokładnie i skrupulatnie przyłożył do śladu. Pasował jak ulał.

— Jest! — wyszeptał jeszcze raz, a fala podniecenia uderzyła mu do głowy. Teraz należało iść

bezcennym tropem i nie zgubić go w żadnym wypadku.

Nadinspektor Mandżaro nawet nie podniósł się z klęczek. Na czworakach sunął dnem ledwo dostrzegalnej ścieżynki. Miejsce było wilgotne, dobrze osłonięte od słońca, więc ślady odbijały się wyraźnie na wydeptanej glinie. Prowadziły wzdłuż murów. Przebył w ten sposób może z trzydzieści metrów, kiedy nagle natrafił na marmurowe stopnie prowadzące w głąb ruin lewego skrzydła. Ślady w tym miejscu urywały się, lecz ich kierunek wskazywał, że Marsjanin wszedł do wnętrza ruin. Na kamiennych stopniach widniały bowiem grudki świeżej gliny, prawdopodobnie spod karbowanych podeszew wi bramowych butów.

Schody prowadziły do obszernej sali. Była ona około piętnaście kroków długa i około dziesięć — szeroka. Jej nagie ściany oplatał bluszcz i powój. Na występach rosły kępy bujnych chwastów. Łukowe sklepienia, wsparte na wysmukłych kolumnach, stały jeszcze całe i krzepko podtrzymywały kamienny strop. Znaćca rozkoszowałby się zapewne przepiękną harmonią i rysunkiem łuków, ale młody detektyw nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Za wszelką cenę starał się odnaleźć ślady Marsjanina. Nie należało to do łatwych zadań. Podłogę sali zaścielał bowiem gruz i zarastały mech i porosty. Z sali prowadziły aż trzy wyjścia. Jedno naprzeciw schodów, a dwa z bocznych ścian. W którym iść kierunku?

Wybrał otwór w przeciwległej ścianie. Podeszedłszy doń, cofnął się z przerażeniem. Tuż za kamiennym progiem chodnik urywał się nagle, przechodząc w ciemną, wilgocią ziejącą przepaść. Jej głębię potęgowały gęste krzewy zasłaniające dno czeluści.

Cofnął się gwałtownie. Obrął lewe przejście. Tutaj otwór drzwiowy prowadził do mniejszej sali, a stamtąd na krużganek. Chłopiec szedł ostrożnie, niemal na palcach. W uszach zadzwoniła mu cisza. Stare mury milczały tajemniczym milczeniem, w którym było pełno szmerów, szelestów, jakby szare, omszałe kamienie oddychały w półśnie.

Na krużganku poweselało, zrobiło się jaśniej i bardziej przestronno. Szmata szarego nieba, wiszący nad warownymi murami, wlewał tu światło przesączone przez kaskady dzikiej zieleni. W głębi leżał mały dziedziniec, na którym pasła się brodata koza. Jaskółki przecinały powietrze i swym świergotem rozbudzały uśpione mury.

W pewnym miejscu krużganek urywał się, a wielka wyrwa w murze kazała chłopcu cofnąć się przezornie do dużej sali. Pozostawały jeszcze drzwi z prawej strony. Jeżeli one również prowadzą donikąd, wtedy nie pozostaje nic innego, jak zrezygnować z dalszych poszukiwań.

Z bijącym sercem przekroczył otwór drzwiowy i znalazł się w małym, pozbawionym okien korytarzyku.

Naraz coś nad nim miękko zatrzepotało. Na twarzy poczuł chłodniejszy powiew. Potem to coś jeszcze raz przemknęło nad jego głową i nagle wszystko ucichło. Mandżaro nie należał do chłopców bojaźliwych, zamknął jednak oczy i wyszeptał z przejęciem:

— Niech się dzieje, co chce!

Gdy po chwili spojrzął przed siebie, u wyłomu muru, tuż nad sobą zobaczył dwa wiszące głową na dół nietoperze. Wnet uświadomił sobie, że to przecież zupełnie naturalne: nietoperze zamieszkują stare mury zamczysk.

Ruszył przed siebie. Tym razem kilka nietoperzy oplotło jego głowę miękkimi, bezszelestnymi pętlami. Ciemny korytarz ożył nagle. Nasz detektyw zapragnął jak najszybciej wydostać się z tej wirującej ciemności. Na szczęście przed sobą ujrzał jaśniejszą smugę światła. Wkrótce znalazł przesmyk w murze, tak wąski, że z trudem przepchnął się przezeń. Po drugiej stronie był mały podest, a dalej schody opadające ślimakowato w dół. Z bijącym sercem opuścił się kilka stopni, lecz wnet się zatrzymał. Ogarnął go lęk. Z dołu wiało piwnicznym chłodem i zionęło nieprzeniknioną

ciemnością. Zejść niżej, bez latarki, byłoby zuchwalstwem.

Cofnął się więc pospiesznie, a gdy znowu znalazł się w wielkiej sali, postanowił wrócić tu z latarką. Tymczasem wyjął notes i zrobił szkic sytuacyjny tego fragmentu zamku. Był przekonany, że odnalazł nowe zejście do podziemi. Zejście, z którego korzystał prawdopodobnie Marsjanin. Wszystko wskazywało na to, że znalazł ślady tajemniczego właściciela przedpotopowego wehikułu.

Zadowolony i pełen nowych planów wracał na obiad do leśniczówki.

4

Tymczasem Paragon zatrzymał dwukołowy wózek na środku podwórza i zagwizdał cicho na palcach. Spoza stodoły wybiegł mały Perełka.

— Ileś zarobił? — zawołał z daleka.

— Zgadnij.

— Dwadzieścia.

— Eee...

— Trzydziestaka?

— Eee...

— Pięć dych!

— Zgadłeś. Po południu obrócę jeszcze raz i będzie prezent dla kochanej ciotuni.

Pchnął wózek w kierunku szopy, a gdy ustawił go na swoim miejscu, zwrócił się niepewnie do Perełki:

— Te... mamy nowy nabytek.

— Pewno znalazłeś bezdomnego szczeniaka.

— Nie... astronautkę.

— Co?...

— No, mówię ci: astronautkę.

— A po co nam to?

— Do Klubu, na miejsce Mandżara.

— Babę?

— Podobno zna się na kryminologii.

— Radzę ci, nie zaczynaj z kozami. Ona będzie nam przeszkadzać.

— Mamy nowe zadanie. We dwójkę nie damy rady.

— Jakie zadanie?

Paragon westchnął radośnie.

— Ej, bracie, jeżeli ci powiem, że dzisiaj będziesz odgrywał na baszcie świetlne zjawisko w postaci straszącej księżniczki, to i tak nie uwierzysz...

— Mów, bo nie mogę wytrzymać z ciekawości.

— To fakt nie lekrama — rzekł Paragon poważnie. — Mamy dziś straszyć na zamku.

Perełka zbladł, otworzył usta, zamrugał rudymi rzęsami i z największym przejęciem wyszeptał:

— To po prostu fan-tas-tycz-ne!

— Legalnie, panie inspektorze Albinowski. Do wieczora musimy przemienić się w istoty nadprzyrodzone — roześmiał się Paragon i zwięźle opowiedział całą rozmowę z Antoniuszem. Dokończył jednak dość minorowo: — Teraz wszystko zależy od czcigodnego wujka Lichonia. Jeżeli Antoniusz nie przekona go, że jesteśmy bezgrzesznymi aniołami w ludzkich postaciach, to cała akcja do kitu.

Antoniusz zjawił się w momencie, kiedy pani Lichoniowa stawiała na stole wielką wagę pełną grzybów. Moment był niezbyt odpowiedni, zwłaszcza dla grzybów, które nie lubią stygnąć. Na widok

Antoniusza Perełka zakrzusił się, Paragon upuścił na ziemię talerz po zupie, a Mandżaro tak zbaraniał, że łyżkę zamiast do ust uniósł do ucha.

Tymczasem Antoniusz, odziany w brezentową pelerynę, połyskując z dala rudawą brodą, zbliżył się do werandy z miną poważną jak egipski mag. Po drodze zdażył jedynie posłać Paragonowi porozumiewawcze spojrzenie. Stał na najwyższym stopniu werandy, oparł się jedną ręką o poręcz i niezwykle uprzejmie powitał starszych, a zwłaszcza leśniczego. Po tym niemal teatralnym wstępie zwrócił się do głowy rodziny.

— Jak panu wiadomo — mówił — jesteśmy studentami historii sztuki i przyjechaliśmy opracować monografię tutejszego zamku piastowskiego. Niestety, jest nas zbyt mało, by podołać tej niezwykle pożytecznej dla kultury polskiej pracy.

W tym miejscu przerwał i powiódł badawczym spojrzeniem, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarło jego przemówienie. Pani Lichoniowa słuchała go z otwartymi ustami, a jej małżonek uczynił niezwykle mądrą minę, dumny, że przedstawiciel nauki zwraca się doń w tak ważnej sprawie. Chłopcy siedzieli jak trusie. Antoniusz ciągnął ze swadą:

— Tymczasem są tu we wsi rozmaite szalawicy i urwipołcie, smyki i obiboki, które nie wiedzą, co ze sobą zrobić...

Dobrze trafił, to w tym momencie pani Lichoniowa, zwróciwszy spojrzenie na chłopców, przerwała mu:

— Święta prawda, na przykład robią jakieś odlewy w gipsie i paprzą się jak świntuchy.

Mandżaro zrobił grobową minę i opuścił głowę. Chłopcy tręcili się łokciami, nie wiedząc, o co chodzi, a Antoniusz jako wytrawny dyplomata podchwycił skwapliwie myśl gospodyni.

— Otóż to. Należałoby ich czymś zainteresować. Połączyć zdrowy odpoczynek z pożytecznym zajęciem. Dlatego pozwoliłem sobie przyjść do szanownego pana — tu skłonił się leśniczemu — i poprosić go, czy nie zezwoliłby tym miłym chłopcom, żeby nam pomogli w naszej pracy...

Pani Lichoniowa wzniosła dziękczynnie ręce:

— Może pan ich zabrać nawet na cały dzień. Przynajmniej nauczą się historii Polski!

Leśniczy skinął tylko głową. Antoniusz uśmiechnął się wdzięcznie i dodał:

— Proszę się nie obawiać, chodzi o najprostszą pomoc. Robimy pomiary. Trzeba więc pomocników do taśmy. Zaręczam, że nikt z tych obywateli nie przemęczy się u nas.

Pani Lichoniowa rozpromieniła się.

— Ależ oczywiście. To im tylko na zdrowie wyjdzie. Zamiast bąki zbijać i spadać z drabiny, będą mieli zajmującą i pouczającą pracę. — Naraz jej dobrotliwe oblicze stężało. — Zaraz, zaraz... — uniosła dłoń do czoła. — Pan mówi, że na zamku?

— Na zamku — odparł Antoniusz.

— A czy to... bezpieczne dla takich chłopców?

— Będą stale pod naszą opieką.

— Zaraz... — rzekła zakłopotana. — Może panowie nie wiecie... ale ludzie mówią, że tam straszy.

Krach! Duchy stanęły nagle na przeszkodzie duchom! Paragon aż zasyczał i kopnął Perełkę w kostkę. Ten zamrugął z przejęcia. Antoniusz jednak nie dał się zbić z tropu.

— To tylko ludzie tak opowiadają — rzekł z szatańskim uśmieszkiem. — My mieszkamy w namiotach pod samym zamkiem, chodzimy po murach, ba, po podziemiach, i dotąd jeszcze nie spotkaliśmy nawet najmniejszego ducha.

— A, widzisz! — odezwał się leśniczy. — Mówiłem ci, że te duchy to babski wymysł.

Pani Lichoniowa zwróciła ku niemu pełną oburzenia twarz.

— Jak to: wymyśl, Bolciu, kiedy Trociowa na własne oczy widziała. I nie tylko Trociowa. A robotnicy? Dlaczego robotnicy nie chcą zabrać się do rozbiórki?

— Bo głupi — zaperzył się leśniczy. — Oni głupi i twoja Trociowa ciemna. Jeżeli wierzysz w duchy, to nie ma co gadać.

— Jak tu nie wierzyć, jeśli sama gospodyni od księdza proboszcza powiedziała, że na baszcie co wieczór ukazuje się Biała Pani.

Leśniczy chlasnął się w kolano.

— No, widzi pan? — zwrócił się do Antoniusza. — Moja kochana żona wierzy gospodyni z plebanii, a nie panu, który zajmuje się naukowo tymi sprawami. No, niechże pan jej łaskawie powie, są na zamku duchy czy nie ma duchów?

Antoniusz położył dłoń na sercu.

— Mogę przysiąc, że żadnych duchów nie ma, nie było i nie będzie.

Pani Lichoniowa nie chciała jednak ustąpić.

— Pan może nie widział, ale sam komendant milicji twierdzi, że tam dzieją się niestworzone rzeczy.

Leśniczy uderzył pięścią w stół.

— To dobre! Więc dlaczego komendant nie zaarrestował jakiegoś upiora? — Naraz zwrócił się do Antoniusza: — Widzi pan, jak to u nas na wsi? Ludzie wierzą w duchy i zabobony, a nie chcą uwierzyć nauce.

Przytyk był aż nadto przejrzysty, więc pani Lichoniowa odeła się i rzekła obrażona:

— Jak chcesz. Ja jednak uważam, że chłopcy nie powinni zbliżać się do zamku.

Antoniusz widząc, że kobieta ustępuje, rzekł z przekonaniem:

— Zaręczam, że oni nie będą narażeni na żadne niebezpieczeństwa. Wierzę, że pani ma zrozumienie dla potrzeb nauki.

Pani Lichoniowa westchnęła:

— Żeby tylko nie było jakiegoś nieszczęścia.

Leśniczy zawołał zniecierpliwiony:

— Nie martw się! Im nawet duchy nie dadzą rady.

Antoniusz skłonił się niezwykle uprzejmie.

— W takim razie mogę liczyć na pomoc...

— A niech ich licho bierze! Przynajmniej w domu będzie spokój.

— W takim razie — zwrócił się Antoniusz do chłopców — zgłosicie się dzisiaj o szóstej w namiotach pod zamkiem. Musimy was najpierw zaznajomić z naszą pracą, a jutro od rana zabieramy się do poważnej roboty.

— Tak jest — wykrztusił Paragon.

— I niech ich pan porządnie przypilnuje — dorzucił leśniczy — bo to urwipołcie.

— O to może pan być zupełnie spokojny — odparł Antoniusz z całą powagą. Skłonił się szarmancko, odwrócił się, a gdy odchodził, Paragonowi zdawało się, że plecy drżą mu od śmiechu.

— O szóstej — szepnął Perełka i dopiero teraz zabrał się do zimnych już grzybów.

Mandżaro siedział zamyślony.

„Co też oni kombinują z tym Antoniuszem?”

5

Po obiedzie Perełka zbliżył się do Mandżara.

— Pójdiesz z nami? — zapytał pojednawczo.

Mandżaro skrzywił się.

— Mam ważniejsze zadanie.

— Rozpracowujesz Marsjanina?

— To moja sprawa. A wy? — zapytał z udaną obojętnością.

— My? My pomagamy Antoniuszowi.

— W czym?

Perełka chciał zwierzyć się z planu, ale widząc nieprzejednaną i groźną postawę byłego nadinspektora, pomyślał, że byłoby nieostrożnością wtajemniczać go w ich zamiary. A nuż sypnie... Powiedział więc niewinnie:

— Jak to: w czym? Przecież słyszałeś. Będziemy mierzyli mury.

— To powodzenia. Ja mam ciekawszą robotę.

— Powodzenia — pożegnał go Perełka z nutką smutku w głosie. — Jeżeli masz ciekawszą robotę, to ci nie będziemy przeszkadzać.

Rozstali się chłodno, nie spojrzawszy nawet na siebie. Perełka wolnym krokiem poszedł za szopę.

— No i co? — zapytał Paragon, który już czekał na niego.

— Nic. Ważny! Powiedział, że ma ciekawszą robotę.

— No widzisz. Ja go znam. Odgrywa obrażonego królewicza z bajki.

— We dwóch będzie nam trudno — zmartwił się Perełka.

— Trzeba będzie zaangażować tę dziewczynę.

— Babę?

— Co robić, jak nie mamy innego kandydata. Nie martw się, bracie. Zdaje mi się, że ona nam się przyda. Wygadana, to fakt.

— A jak nie przyjdzie?

— O to się nie bój. Mówiła, że ma detektywistyczne zdolności, a jak jej powiedziałem o Klubie, to aż jej oczy na wierzch wyszły.

— Trudno — szepnął z rezygnacją Perełka. — Dziewczyna to nie to samo, co Mandżaro, ale jak nie ma kogo innego...

— Zobaczysz, że dobrze będzie, tylko musimy ją wziąć do galopu, żeby nie zadzierała nosa... — urwał, gdyż na drodze pod lasem zobaczył pędzący rower, a na rowerze pulchną jak pączek postać dziewczyny. Trącił Perełkę łokciem. — Mówiłem, że przyjedzie.

— Dobrze już — wyszeptał Perełka przyglądając się rowerzystce — tylko żeby nie było z nią kłopotu.

Jola spostrzegła ich z daleka. Okrążyła klomb, zahamowała i lekko zeskoczyła z roweru.

— Serwus, chłopcy! — zawołała zbliżając się do stojących pod szopą detektywów. Ci patrzeli na nią wyczekująco. Powiodła po nich zdziwionym spojrzeniem. — Więc co, przyjmujecie mnie?

— Tak — odrzekł poważnie Paragon. — Możemy cię przyjąć, ale przedtem będziesz musiała zdać egzamin.

— Z największą przyjemnością. Więc co mam zrobić?

— Dzisiaj na plebanię przyjechali nowi goście. Przywieźli ze sobą wielki, brezentowy wór. Twoim zadaniem będzie zbadać, co jest w tym worze. Jeżeli wykonasz zadanie do pół do szóstej, zostaniesz przyjęta do Klubu i... — chciał powiedzieć, że weźmie udział w wieczornej akcji, ale w porę połknął wymykające się słowo. Dokończył z namaszczeniem: — I dostaniesz stopień inspektora.

Jola zaklaskała w dłonie.

— Świetnie!

— Będziesz pierwszym inspektorem wśród dziewcząt.

— Wspaniale!

— Postaraj się dobrze spełnić zadanie.

— Zrobi się, panie szefie. Znam dobrze gospodynię z plebanii. Moja mama bierze od niej mleko.

— W takim razie możesz odmaszerować.

Jola z rozpędem wskoczyła na rower i wnet zniknęła za zabudowaniami. Paragon roześmiał się.

— Alem jej dał bobu! Dobrze jej tak, bo na stacji zadzierała nosa. Jak myślisz, dobry z niej będzie detektyw?

— Myślę, że dobry.

— Trochę za gruba.

— To nic, schudnie. — Perełka zamyślił się. Tarł z roztargnieniem policzek. Wreszcie wyszeptał z przejęciem:

— Wiesz co, Maniuś, ona mi się nawet podoba.

— Co? — zdumiał się Paragon.

— Widziałeś, ma ładne oczy.

— Puknij się w głowę. Detektyw nie musi mieć ładnych oczu. Musi mieć mózdzek elektrony. Kapujesz?

Lecz Perełka nie słuchał go. Patrzył na skraj lasu, gdzie przed chwilą znikła Jola.

6

Kandydatka na inspektora zatrzymała się przed plebanią. Zostawiła rower u drzwi, zapukała z wrodzonym sobie tupetem. Po chwili w drzwiach ukazała się pani Anastazja, gospodyni proboszcza. Była to kobieta wysoka, koścista, niezwykle blada — tak blada, jak woskowa świeca. Ubrana od stóp do głów w czerń, przypominała raczej zakonnice niż osobę świecką.

— Dzień dobry pani — przywitała ją beztróska Jola. — Mamusia zapytuje, czy jutro będzie śmietana?

Gospodyni zrobiła okrągłe oczy.

— Moja droga — rzekła szeptem — przecież mamusia była tutaj przed kwadransem po jajka. Twierdziła, że nie potrzebuje śmietany.

Jola nie zmieszała się. Chrząknęła tylko, jakby chciała przełknąć gorzką pigułkę, i fantazjowała bez zmrużenia powieki:

— Tak, ale właśnie pani Pilecka przyniosła mamusi grzyby i mamusia chce jutro zrobić je w śmietanie.

Gospodyni zmarszczyła groźnie brwi.

— To niemożliwe, bo właśnie przed kilkoma minutami byłam u pani Pileckiej i zdaje mi się, że pani Pilecka w ogóle nie chodziła dzisiaj na grzyby.

Jolę z lekka zamurowało. Myliłby się jednak ktoś, kto by przypuszczał, że zapomniała języka w buzi. Chrząknęła jeszcze raz, uśmiechnęła się przymilnie i rzuciła:

— Możliwe, że pani Pilecka nie chodziła na grzyby, ale ktoś jej przyniósł z Podbrzózek, a więc odstąpiła mamusi. Mówię pani, jakie piękne... same borowiki.

— Taaak... — tym razem zamurowało gospodynię. Długo patrzyła na rezolutną dziewczynkę i poruszała bladymi wargami.

Wreszcie wyszeptała swoim cichym, przytłumionym głosem:

— To ciekawe. Muszę posłać Marysię do pani Pileckiej, może ma jeszcze trochę grzybów... Bo ja mam gości i chciałabym im zrobić na kolację.

„Masz babo placek — pomyślała Jola. — Teraz wszystko się wyda. I co ona o mnie pomyśli?”
Rzuciła więc szybko:

— Może się pani nie fatygować, bo pani Pilecka nie ma już grzybów. Widziałam, jak swoja, część obrała i suszyła...

Gospodyni przewierciła ją nieufnym spojrzeniem.

— Ty coś kręcisz, moja droga...

— Ale skądże, proszę pani — zaprzeczyła urażona Jola. — Śmietana koniecznie mamusi potrzebna i w ogóle u pani zawsze najlepszy nabiał.

Pochlebstwo zrobiło swoje. Z oczu gospodyni znikła nieufność, a na jej wargach pojawił się niedowarzony uśmiech.

— Jeżeli mamusi potrzebna śmietana, to możesz przyjść jutro rano. Ale już uprzedzałam, że mam gości i teraz nie będę mogła sprzedawać...

— Szkoda — westchnęła Jola — u pani taka dobra śmietana.

— No, dla mamusi to zawsze coś się tam znajdzie.

Jola odetchnęła z ulgą. Trudny wstęp miała już poza sobą. W tej chwili przypomniawszy sobie, że miał to być niewinny pretekst do przeprowadzenia wywiadu w sprawie tajemniczego brezentowego worka. Uśmiechnęła się przymilnie i natychmiast skierowała rozmowę na nowe tory.

— Jak tu pięknie u pani na plebanii... i zawsze pełno wczasowiczów.

Gospodyni skinęła głową.

— Tak, tak... chwała Bogu, na brak gości nie mogę narzekać.

Jola podjęła sprytnie:

— Wie pani... ja już mówiłam mamusi, że na przyszły rok musimy zamieszkać u pani.

Gospodyni zwinęła wargi w ciup, posłała dziewczynce dziękczynny uśmiešek.

— To bardzo miło z twojej strony, ale nie wiem, czy będą wolne miejsca.

— Czy mogłabym obejrzeć pokoje? Podobno bardzo ładne...

— Masz szczęście — powiedziała gospodyni, pobrzękując kluczami w fałdach sukni — bo goście wyszli właśnie na plażę...

Jola była już niemal pewna, że wykona zadanie. Czując, że zjednała sobie gospodynię i zdoła z niej wyciągnąć sporo informacji dotyczących dziwnych lokatorów. Gdy po ciemnych schodach wspinały się na piętro, zapytała nieśmiało:

— Oni pewno z Warszawy?

— Nie, z Wrocławia.

— Podobno jeden z nich to artysta malarz.

— Artysta — wyszeptała gospodyni z odcieniem dumy w głosie. — Mówię ci, jaką on ma piękną fryzurę... Jak Chopin albo Balzac... Prawdziwy artysta... Nawet łaty ma na spodniach.

Były już w ciasnym, świeżo pobielonym korytarzyku. Gospodyni zatrzymała się przed pomalowanymi na brązowo drzwiami.

— On tu mieszka z tym drugim... Pokazał mi akwarelę, którą wczoraj malował na zamku. Mówię ci, jak żywe! To wielki artysta.

Pchnęła drzwi i weszła do środka. Jola zatrzymała się w progu.

— Jaki ładny pokój — powiedziała z udanym zachwytem. Byстрыm spojrzeniem szukała brezentowego worka. Pod ścianą stała jeszcze nie rozpakowana walizka, a na stole leżał zgrabny, skórzany neseser. Worka nigdzie nie było. Jola doznała uczucia zawodu. Nie traciła jednak nadziei. Zapytała mimochodem:

— Ci państwo zapewne na długo, gdyż przywieźli dużo rzeczy.

— Przemili goście — podjęła gospodyni. — Zapłacili z góry za dwa tygodnie i powiedzieli, że zostaną prawdopodobnie do końca miesiąca.

— Rzeczywiście, mili... a pokój zapewne bardzo im się podoba?

— Są zachwyceni.

— Ja również. Czy mogłabym obejrzeć ten drugi?

— Zaraz ci pokażę. Tamten jest mniejszy. Mieszka w nim to czupiradło...

— Jakie czupiradło?

— Ta młoda, która z nimi przyjechała — gospodyni w tym miejscu skrzywiła się, wyrażając w ten sposób swe niezadowolenie. — Panowie są bardzo mili, ale ta... wygląda jak straszdyło na wróble. Wymalowane to, wypudrowane jak nieszczęście i do tego włosy pofarbowała na srebrno. Widziałas coś podobnego? Na srebrno!

— Taka dziś moda — zauważyła nieśmiało Jola.

Gospodyni pierwszy raz podniosła głos:

— Jak taka moda, to niech siedzi we Wrocławiu, a nie przyjeżdża na plebanię! Jak ją ksiądz proboszcz zobaczy, to zemdleje. Ja bym jej tu nie wpuściła...

— Ładny pokój. Może jeszcze ładniejszy niż tamten — przerwała jej Jola.

Nie miała ochoty wysłuchiwać jej narzekań na modę i lokatorkę. Gospodyni jednak powtórzyła gniewnie:

— Ja bym jej tutaj nie wpuściła, jedynie ze względu na tego artystę malarza...

Jola szperała wzrokiem po wnętrzu pokoju. Panował tutaj nieopisany nieład. Lokatorka ze srebrnymi włosami wyrzuciła całą zawartość walizki na łóżko. Część jej garderoby i bielizny leżała na krzesłach, część na podłodze. Neseser tkwił na środku stołu jak śnięta ryba z wypatroszonymi wnętrznościami. W powietrzu unosił się zapach perfum. Brezentowego worka nigdzie jednak nie było.

„Czy ten zarozumiały szef detektywów zakpił sobie ze mnie? — pomyślała strapiona. — A może zrobił mi kawał? Co będzie jeżeli nie rozwiążę zagadki? Mogą mnie nie przyjąć do Klubu...”

Ta przykra myśl zachęciła ją do energicznego działania. — Widziałam, jak ci państwo przyszli na plebanię — rzekła obojętnym tonem. — Zdawało mi się jednak, że mieli więcej bagażu.

— A tak — podjęła gospodyni — mieli jeszcze taki duży pakunek. Mówili, że to kajak składany. Właśnie niedawno wynieśli go z domu.

— No, proszę, zwykły składak! — krzyknęła niemal Jola i natychmiast odzyskała humor. — A ja myślałam, że to coś nadzwyczajnego...

7

„W domu pomyślą, że poszedłem z Paragonem pomagać studentom — kalkulował Mandzaro, przerzucając swe przedpołudniowe notatki. — Wszystko dobrze się składa. Będę miał dosyć czasu, by zdemaskować Marsjanina”.

Był bowiem pewny, że tajemne zejście do podziemi zamku doprowadzi go do kryjówki. Jedyne myśl, że samotnie będzie musiał prowadzić poszukiwania w podziemiach, przejmowała go niezadowoleniem. „Lepiej byłoby zejść całą brygadą...”

Tymczasem jednak starał się odsuwać od siebie wątpliwości. Tłumaczył sobie, że Sherlock Holmes niejednokrotnie spotykał się oko w oko z nie takimi błahymi sprawami, a zawsze potrafił wybrnąć z każdej sytuacji.

Dlaczego więc on, Mandzaro, przywódca chłopców z Górczewskiej i niedawny szef brygady młodych detektywów, ma się obawiać niebezpieczeństw, które jeszcze nie zaistniały?

Postanowił solidnie przygotować całą wyprawę i jak najszybciej wyruszyć na zamek. Okoliczności mu sprzyjały. Poza Trociową nikogo nie było w domu. Leśniczy poszedł na wyrąb, pani Lichoniowa pojechała na rowerze do miasteczka. Paragon zabrał wózek i udał się na stację, a

Perełka znikł gdzieś w tajemniczy sposób.

Mandżaro działał więc swobodnie. Najpierw wyszperał w szopie latarkę. Była to duża, wojskowa latarka z prawie nowymi bateriami. Biła jak reflektor. Zadowolony z tego odkrycia, wyciągnął z maszyny do szycia wielką szpulę nici. Była zaledwie napoczęta, więc powinna mieć z pół kilometra. Ubrał się w dresy i zarzucił na ramiona nieprzemakalną wiatrówkę. Był bowiem przewidujący i sądził, że w podziemiach będzie chłodno i wilgotno. Dla uzupełnienia ekwipunku wbił w kieszenie dwie spore pajdy chleba i z tęgą miną wyruszył na podziemną wyprawę.

Nie uszedł jednak daleko. Gdy okrążył stodołę i obory, spostrzegł, że ktoś wolno zbliża się w stronę leśniczówki. Mandżaro w jednej chwili przemienił się w czujnego wywiadowcę i ukrył za węgłem szopy. Po chwili nieznany człowiek wyszedł z sosnowego młodnika.

— Tajemniczy! — szepnął Mandżaro z przejęciem. Poznał go od razu po granatowej wiatrówce i berecie. Wszedł więc do szopy i przez szparę w deskach z zapartym tchem obserwował nieznajomego.

Człowiek w granatowej wiatrówce okrążył polanę i od strony obory i zbliżał się do leśniczówki. Mandżaro stracił go chwilowo z oczu, lecz wnet ujrzał go znowu, jak szedł wzdłuż szopy. Naraz zatrzymał się. Stał tak chwilę, po czym zupełnie już swobodnym krokiem zbliżył się do werandy.

W momencie kiedy miał wstąpić na schodki, z kuchni wychyliła głowę Trociowa.

— A pan do kogo? — zatrajkotała głośno i zaczepnie.

Nieznajomy drgnął, ale odrzekł swobodnie:

— Do tego pana, co tu mieszka — ruchem głowy wskazał pięterko.

— Nikt tu nie mieszka.

— Widzę, że samochód stoi przed domem.

Trociowa zbliżyła się do schodów, jakby chciała swą wąż postacją zagrozić natrętowi drodze.

— Mówię panu, że nikt tu nie mieszka.

Flegmatycznym ruchem wyciągnął z kieszeni papierosa, wolno zapalił. Z ukosa, nieco przekornie, spojrzał na Trociową.

— Jeżeli nie mieszka, to w każdym razie mieszkał. Widziałem, jak tu przyjechał.

Trociowa objęła go lęklwym spojrzeniem.

— A pan kto?

— Ja? Chciałem go odwiedzić. Czy ten pan wyprowadził się?

— A czy ja tam wiem? — rzekła starowinka i rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy może spodziewać się pomocy. — Ja tam nic nie wiem. Wiem ino, że się tu dziwne rzeczy dzieją.

— O, jakie to rzeczy?

Trociowa zrozumiała, że nieznajomy zaczyna ją ciągnąć za język. Zachnęła się.

— Panie, niech pan lepiej idzie na milicję, tam panu powiedzą.

— Chwileczkę — zatrzymał ją gwałtownym ruchem. — Czy ten pan jeszcze nie wrócił?

— Nie wrócił! — odrzyknęła niemal ze złością. — Ale kto go ta wie, może jego duch wrócił — to powiedziawszy złapała się za głowę. — Panie, ja już sama nie wiem, czy to sen, czy to jawa. Niech pan stąd idzie, bo nikogo nie ma w domu...

Ukryty w szopie Mandżaro był zaszokowany tą dziwną rozmową. Nie ulegało wątpliwości, że tajemniczy człowiek w granatowej wiatrówce poszukuje Marsjanina. „Może to jego współnik albo rywal? A może...”

W trzeźwym umyśle młodego Sherlocka Holmesa powstał zamęt. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad istotą całej sprawy, gdyż człowiek w granatowej wiatrówce skłonił się Trociowej i ruszył jak gdyby chcąc odejść. Po chwili jednak zerknął dyskretnie przez ramię, a gdy

stwierdził, że Trociowa znikła w drzwiach kuchni, odwrócił się i stanął za węglem budynku.

Mandżaro czuł, że z podniecenia pałą go policzki i cały drży jak w gorączce. Nie chciał zdradzić swego stanowiska, więc tkwił przy szparze w deskach, nie śmiać głębiej odetchnąć. Człowiek w wiatrówce wychylił się zza węgła, rozejrzał ostrożnie, a gdy nabrał pewności, że nikt go nie obserwuje, zaczął się skradać ku werandzie. Przy schodkach przystanął jeszcze raz...

Było cicho, tak cicho, że Mandżaro słyszał pobrzękiwanie naczyń w kuchni i własny oddech. Czas zatrzymał się w miejscu. Postać stojącego przy schodkach człowieka zakrzepła w bezruchu... Wtem granatowa wiatrówka mignęła na tle ściany domu i nagle znikła na werandzie. Stało się to tak szybko, że Mandżaro przez chwilę trwał na miejscu jak zaczarowany. Gdy pojął, co się stało, wyprysnął z szopy, pędem przemierzył podwórze i jednym sprężystym skokiem pokonał schodki. Na werandzie było pusto. W drzwiach kuchni stała Trociowa. W rękach trzymała ociekający wodą garnek i mokrą ścierkę.

— Co się stało? — wyszeptała nieruchomymi wargami.

Mandżaro przeciął powietrze niecierpliwym gestem ręki. Był już na schodach. Wpadł z takim rozpędem, że zatrzeszczały pod nim żalośnie. Przesadzając po trzy, cztery stopnie, gnał na górę. Korytarzyk pusty, drzwi do pokoju Marsjanina otwarte. Jak kula wpadł do środka. W pokoju nie było nikogo...

Trwał chwilę w stanie nieopisanego zdumienia, nie mogąc pojąć, co się stało z nieznajomym, który kilka sekund wcześniej wśliznął się na klatkę schodową. Potem opanowało go zdenerwowanie. Zaczął krążyć, obszukując kąty, jakby ów tajemniczy człowiek zdematerializował się lub skurczył do rozmiarów karzełka. Gdy poszukiwania nie dały żadnych skutków, położył się obok łóżka i zajrzał pod nie. Włosy zjeżyły mu się na głowie... W ciemnym kącie coś się poruszyło... I naraz ujrzął czarnego kota. Maciuś na jego widok zamiauczał przyjaźnie i wyskoczył spod łóżka.

— A idziesz, ty! — fuknął nań ze złością i nagle roześmiał się.

Szukał groźnego i niebezpiecznego przestępcy, a tymczasem u nóg łąsił mu się puszysty kot.

— Co u licha! — szepnął. — Gdzie on się podział? Czarodziej czy może duch? Chyba jednak nie rozpląnął się?

Wszelkie dociekania wydały mu się bezcelowe. Nie wierzył w cuda ani w duchy, ale w tym wypadku skłonny był pomyśleć, że siły nadprzyrodzone pomogły zniknąć tajemniczemu młodzieńcowi.

Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju, jeszcze raz wyjrzał przez okno. Okno było wprawdzie otwarte, ale trudno uwierzyć, by ten człowiek zdążył przez nie wyskoczyć. Młody Sherlock Holmes stanął bezradnie na środku pokoju. Pomyślał, że życie detektywa pełne jest niespodzianek. Doszedłszy do tego wniosku, szedł na dół, zostawiając drzwi otwarte. W korytarzyku natknął się na Trociową. Stała z tym samym nie wytartym garnkiem i z tym samym wyrazem bezgranicznej bezmyślności na twarzy. Kiedy ją mijał, zapytała:

— Czegoś tam szukał?

— Ducha — rzucił rozdrażniony i zaraz zapytał: — Czy ktoś tu schodził z góry?

— Nikt.

— A ten pan, co tu był przed chwilą?

— Przecie on już dawno sobie poszedł...

— Nikt nie schodził i nikogo nie było?

Trociowa spojrzała na chłopca podejrzliwie.

— Coś ty taki dziwny?

Mandżaro zacisnął tylko zęby.

— W takim razie duch tu był — rzekł z przekąsem.

Trociowa uniosła garnek do góry.

— Boże, u nas też straszy!...

8

Młody Sherlock Holmes nie rezygnował jednak z dalszych poszukiwań Marsjanina. Uzbrojony w latarkę, szpulkę nici, szkic terenu i niewyczerpany zapas cierpliwości, wspiął się na zamek. Bez trudu odszukał dojście do lewego skrzydła i wnet znalazł się w wielkiej sali z kolumnami. Tutaj w niewidocznym miejscu umocował koniec nici do kamienia.

Wszedł do ciemnego korytarza.

Na odgłos jego kroków spod stropu oderwało się kilka nietoperzy. Popiskując cicho, wirowały nad jego głową, wprawiały powietrze w łagodny ruch. Mandżaro wzdrygnął się, lecz wnet opanował ogarniający go lęk, a gdy po spiralnych schodach zaczął opuszczać się w głąb podziemi uspokoił się niemal zupełnie.

Strumień jasnego światła, bijący z latarki, ślizgał się po wilgotnych, omszałych murach, wrywał z ciemności opadające w dół stopnie. Nitka, którą rozwijał ze szpulki, dawała mu uczucie bezpieczeństwa. Łączyła ten podziemny, mroczny świat z powierzchnią ziemi.

Szedł wolno, ostrożnie. Jego bystrym oczom nie uszedł ani jeden szczegół.

Najpierw natknął się na tajemniczy znak skreślony na murze białą kredą. Był to kwadrat przekreślony po przekątnych krzyżem.

„Już wiem — pomyślał — to pewno tajemne znaki Marsjanina. Tak jak ja posługuję się nicią, tak zapewne Marsjanin używa tych znaków”.

Nie omieszkał w tym miejscu uzupełnić swego planu i przenieść nań ów znak, który w przyszłości mógł mu bardzo pomóc w ciężkiej pracy detektywa.

W miejscu gdzie znajdował się tajemniczy znak, schody urywały się nagle, przechodząc w niewielką, liczącą zaledwie trzy kroki szerokości platformę. Z tego miejsca droga rozwidlała się w dwóch kierunkach — na wprost i na prawo. Mandżaro zatrzymał się i zawahał przez chwilę, lecz wnet na murze, na wysokości oczu, ujrzał taki sam znak, który wskazywał drogę wiodącą w prawy korytarz. Teraz był już przekonany, że Marsjanin znaczy drogę tajemnymi znakami.

Chciał się jednak jeszcze upewnić, czy korytarz prowadzący na wprost jest również znakowany, wrócił więc kilka kroków. Wtem ze zdziwieniem ujrzał inny znak: kółko przekreślone pionowo.

„Co, u licha? — zastanowił się. — Czyżby obie drogi były znaczone?”

Postanowił iść za kwadratami. Droga wiodła nisko sklepionym korytarzem. Była sucha i dobrze wydeptana, tak że buty nie zostawiały na niej żadnego śladu. Co kilka kroków na murze widniał kredowy znak — kwadrat z krzyżem. Panowała zupełna cisza. W smudze światła wirował lekki pył. Korytarz zdawał się nie mieć końca.

Mandżaro co chwila spoglądał za siebie. Doznawał takiego wrażenia, jakby mu brakowało powietrza, a ściany korytarza parły do środka, gotowe zdusić go i zmiażdżyć. W dłoni ścisnął kurczowo szpulę z niemi, a między spoconymi palcami czuł przesuwającą się nitkę. Było chłodno, ale koszula lepiała mu się do pleców. Drżał.

Naraz poczuł, że nitka naprężyła się. Przystanął, chcąc ją rozluźnić, lecz gdy ruszył znów do przodu, nitka opadła wiotko, nie stawiając oporu. Przerwana!

Zrobiło mu się nagle gorąco, a potem poczuł straszliwy lęk. Odwrócił się i zaczął biec w przeciwną stronę. Naraz na końcu korytarza usłyszał czyjś głos. Był tak wystraszony, że nie zrozumiał ani jednego słowa, a głos doszedł do niego jak z dna próżnej beczki — przytłumiony, a jednocześnie tajemniczy.

Zatrzymał się gwałtownie. Nadśluchiwał dochodzących z głębi korytarza głosów. Rezonowane przez puste sklepienie, rosły, rozplywały się w tajemne szepty.

Naraz usłyszał wyraźnie:

— Ktoś tu musiał być.

Mandżaro wyobraził sobie, że to człowiek w granatowej wiatrówce przemawia do Marsjanina. Uczuł w kolanach obezwładniającą niemoc. Nie miał siły postąpić kroku. Zdobył się jedynie na wysiłek przesunięcia wyłącznika latarki. Korytarz pogrążył się w zupełnej ciemności. Doznał takiego uczucia, jakby mu ktoś zalepił smołą oczy. Z ciemności doszedł go wyraźny, głośny szept:

— Trzeba się wycofać.

W tej samej chwili, gdzieś w głębi, za załomem muru, prawdopodobnie na wąskiej platformie, mignęło nikłe światełko. Na oświetlonym wycinku muru zarysował się olbrzymi cień głowy i ramiona człowieka. Potem na tle ściany ukazała się kobieca postać w spodniach. Przemknęła tak szybko, że chłopiec zdążył zapamiętać jedynie jej sylwetkę i jeden szczegół — dziwnie upięte, srebrzyste włosy. Za nią przemknęła postać męska — człowiek w białych, płóciennych spodniach.. Za chwilę światło przeszło w łagodny półmrok, aż wreszcie zupełnie zlało się z ciemnością. W ciszy słyhać było pospieszne kroki...

Z najwyższym wysiłkiem woli ruszył przed siebie. Początkowo szedł w zupełnej ciemności jak człowiek niewidomy. Po chwili zdecydował się zaświecić latarkę. Wąska smuga światła wskazała mu drogę. Puścił się w szaleńczy bieg. Dotarł do platformy, odnalazł spiralne schody, wspiął się na korytarz nietoperzy i nawet nie wiedział, kiedy się znalazł w kolumnowej sali.

Oślepiło go dzienne światło. Chwilę stał bezwolnie, mrużył oczy, by przepędzić spod powiek taniec tęczyowych figur.

Wreszcie gdy odzyskał zdolność swobodnego patrzenia, wybiegł przed mury i z uczuciem nieopisanego ulgi rzucił się w gęste zarośla.

Gdy nieco ochłonął, przypomniał sobie ostrzeżenie człowieka w granatowej wiatrówce: „Nie kręć się tutaj, bo to niebezpieczne. Wracaj lepiej do leśniczówki i baw się z chłopcami...”

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

Paragon z ulgą wtoczył wózek do szopy. Otarł rękawem czoło i triumfalnie spojrzał na Perełkę.

— Bracie, alem się namachał. Przewiozłem bagaż całej rodziniki. Siedem sztuk. Myślałem, że wózek się rozleci.

— Mówiłem, że ci pomogę.

— Głupstwo. Grunt, że prezent będzie.

— Kupiłeś?

— Tak, ale jutro się dowiecie co. Na razie tajemnica.

— Powiedz — Perełka posłał mu błagalne spojrzenie.

— Tajemnica — rzekł przeciągle Paragon. — Nie martw się, ciocia na pewno będzie zadowolona.

Naraz spojrzał zaniepokojony w stronę zamku.

— Która godzina?

— Dopiero piąta.

— Jola jeszcze nie wróciła?

— Nie.

— Ciekaw jestem, jak wywiąże się z tego zadania.

Perełka wzruszył ramionami.

— Co ci do głowy strzeliło dawać jej takie głupie zadanie?

— Nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy... I w ogóle to całe towarzystwo z plebani i wydaje mi się podejrzane.

— Ty już wszystkich podejrzewasz.

— Nie martw się, mój elektronowy mózdek pracuje...

W tym momencie spoza domu wypadł w szalonym pędzie rower Joli. Dziewczynka zeskoczyła zgrabnie i zbliżyła się do chłopców.

— A więc... co jest w tym brezentowym pokrowcu? — zapytał Paragon.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekceważąco.

— Takie łatwe zadanie! Moglibyście dać mi coś trudniejszego.

— Nie czaruj, tylko odpowiadaj.

Jola wyduła wargi, przymrużyła zielonkawe oczy.

— O zawartości pokrowca dowiedziałam się w ciągu dziesięciu minut.

Paragon syknął zniecierpliwiony.

— Nie czaruj. Mów, czegoś się dowiedziała.

— Mam jeszcze ważniejsze wiadomości — droczyła się.

— No, mów! — zawołał Perełka, który przez cały czas z podziwem patrzył na dziewczynę.

— Phi... Na przykład, że tam mieszka jeden artysta malarz...

— O tym już wróble na dachu ćwierkają! — przerwał jej Paragon. Ogarnął Jolę lekceważącym spojrzeniem i dorzucił: — Ty jesteś dla nas za słaba. To nie zabawa, to uczciwa robota.

Jola przestraszyła się. Wyrecytowała jak w szkole:

— W brezentowym pokrowcu był składak.

Paragon parsknął śmiechem.

— Widziałaś?

— Co miałam widzieć?

— Ten składak.

— Wi... — zaczęła z tupetem Jola, ale w porę ugryzła się w język i dokończyła mniej pewnie: —

To znaczy nie widziałam, tylko mówiła mi pani gospodyni.

Paragon zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Perełką.

— To ma być inspektor Scotland Yardu!

— Daj spokój. Nie męcz jej — pisnął Perełka.

Paragon zwrócił się do Joli:

— Ja ci mówię, że tam nie było składaka. Taszczyłem cały bagaż ze stacji. Jak na składak, to za ciężki był ten brezentowy worek.

— Przecież gospodyni wyraźnie mówiła, że zabrali składak i poszli nad jezioro. To proste.

— Sprawdziłaś?

— Nie.

— W takim razie wszystko do kitu.

— Co do kitu?

— Nie zdałaś.

— Dajże spokój — jęknął Perełka. — Przecież ci mówi, że składak.

— Nie można wierzyć tak na gębę.

— Mogę sprawdzić — szepnęła potulnie Jola.

— Teraz nie ma czasu.

— Więc nie przyjmiecie mnie?

Paragon chciał już potwierdzić jej pytanie, gdy nagle wyrwał się Perełka:

— Zobaczmy. Najpierw musimy udać się na naradę.

— Na jaką naradę? — zdziwił się Maniuś.

Perełka odciągnął go w stronę szałas.

— Ty, jak jesteś dobrym kolegą, to ją przyjmij.

— Nie uznaję protekcji.

— Ona się przy nas nauczy.

— Nie przyjmuję tak na piękne oczy.

— Ja się nią zajmę...

Paragon spojrzał prosto w oczy swemu najbliższemu koledze.

— Ej, Perełka, Perełka... Widzę, że wpadłeś!

— No, cóż... podoba mi się. A zresztą zobaczysz, że z niej będzie pierwszorzędny detektyw.

— Zobaczmy...

— To znaczy?

— Przyjmujemy ją na próbę. Ale jak jeszcze raz skrewi, to wyrzucę bez lekramacji. Legalnie! — ulubione słówko zabrzmiało teraz twardo i stanowczo.

Gdy wyszli spoza szałas, Jola stała z opuszczoną głową. Na ich widok wyprostowała się. Spojrzała pytająco.

— Przyjmujemy cię na próbę — powiedział uroczystym głosem Paragon. — Będiesz tymczasem sierżantem. Daję cię pod opiekę inspektorowi Albinowskiemu. Jeżeli skrewisz, to wylatujesz bez pardonu. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A teraz musisz przysiąc, że dochowasz wszystkich tajemnic, czyli nie puścisz pary z gęby.
Jola uniosła dłoń do góry.

— Przysięgam!

— W takim razie wszyscy walimy do Antoniusza, bo już zbliża się szósta.

2

Słońce zapadło za ponure mury starego zamczyska, kiedy komendant posterunku zbliżał się do obozu studentów historii sztuki. Był w niezwykle dobrym nastroju. Zacierał pulchne dłonie i powtarzał w myśli: „Ja im dzisiaj wybiję te duchy z głowy. Niech sobie nie myślą, że będą wszystkich nabijać w butelkę. Robotnicy mogli uwierzyć, ale u mnie nie ma cudów. Odpowiedzą mi za zakłócanie spokoju i porządku publicznego...”

Tak rozumując, stanął na polanie pod zamkiem. Polanę zalegał już cień. Przed namiotami płonęło niewielkie ognisko, a wokół niego siedziało kilkanaście osób. Pośrodku rudobrody Antoniusz mówił coś głośno, żywo gestykulując.

„Co u licha? — zastanowił się sierżant Antczak. — Czyżby duchy miały dzisiaj odpoczynek?”

Zbliżył się wolno do kręgu ludzi otaczających ognisko. Ci nie zwracali na niego uwagi, jakby go w ogóle nie spostrzegli.

Antoniusz mówił z zapałem:

— Jeżeli uda nam się dotrzeć do ostatniej kondygnacji podziemia, wtedy będziemy mogli stwierdzić, w którym wieku rozpoczęto budowę zamku. Sądzę, że sami nie damy sobie rady. Będziemy musieli poprosić o pomoc kolegów archeologów...

W tym miejscu komendant posterunku miał już dość wykładu. Nie po to tu przyszedł, by wysłuchiwać mądrości. Chrząknął więc znacząco, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że w obozie zjawiała się ważna osobistość.

Antoniusz, który spostrzegł go już wcześniej, udał, że jest zaskoczony. Zerwał się, wyprostował i rzekł niezwykle uprzejmie:

— Dobry wieczór, panie komendancie! Jeśli pana interesuje nasza codzienna odprawa, to bardzo prosimy.

Pozostali przywitali go długim, pełnym podziwu: „Aaa...”

Sierżant poprawił pas, chrząknął jeszcze kilka razy dla dodania sobie animuszu i, okrążywszy ognisko, stanął przy asystencie.

— To pięknie, to pięknie, że wy, panowie studenci, tak bardzo zajmujecie się nauką...

Antoniusz zrobił przymilną minkę.

— Dziękujemy za uznanie, panie komendancie.

Sierżant powiódł bystrym spojrzeniem po otaczających go twarzach. Wyczytał w nich coś niezwykle niepokojącego, a zarazem piekielnie wesołego.

— To pięknie — powtórzył już nieco ciszej. — Ale czy wy, panowie studenci, co wieczór tak przykładowo zajmujecie się sprawami nauki?

— Co wieczór — odpowiedzieli chórem.

— Co wieczór jest u nas odprawa — wyjaśnił Antoniusz. — Omawiamy osiągnięcia minionego dnia i program prac na dzień następny.

Sierżant przymrużył zaczepnie oczy.

— To bardzo pięknie. Trzeba przyznać, że dobrze pracujecie na tym zamku.

— Taaak... — odpowiedziały beładnie głosy.

Antoniusz dodał:

— Opracowujemy monografię tego piastowskiego grodu. Będzie to pierwsza praca o tym zamku.

— Ho, ho, ho... — pokręcił głową sierżant. — Pierwsza praca... To naprawdę pięknie, że nasza młodzież akademicka tak pożytecznie spędza wakacje... — W tym miejscu urwał i znowu powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach. Napotkał oblicza skupione, niemal uroczyste. Chrząknął i dorzucił: — A powiedzcie, panowie czy wam tu nic nie przeszkadza?

Antoniusz spojrział w stronę baszty, nad którą ciągnęła się jeszcze smuga jaśniejszego, dogasającego zachodem nieba. Rzekł niezwykle poważnie:

— Wszystko byłoby w porządku, jedynie duchy bronią tajemnic zamku.

W kręgu otaczającym ognisko podniósł się głuchy szmer.

Sierżant roześmiał się głośno.

— O, właśnie! Ja też tak myślałem, że te cholerne duchy przeszkadzają nam w pracy, i postanowiłem, że to się skończy.

— Ooo! — okrzyk podziwu zawtórował słowom komendanta.

— Będziemy panu bardzo wdzięczni — dał się słyszeć głos Antoniusza.

— To drobnostka — rzekł buńczucznie komendant — nie z takimi duchami dawaliśmy sobie radę.

— Umm! — jęknęli z podziwu studenci.

Sierżant spojrział na nich ostrzej, przynaglająco. Uniósł głowę, wciągnął brzuch, wyprostował się i walnął pięścią w dłoń.

— Dość tych żartów, panowie!

Zapanowała głęboka cisza. Słysząc było przyspieszone oddechy i trzask gałęzi na ognisku. Oczy wszystkich zwróciły się na sierżanta. Ten stał w całej okazałości swej urzędowej figury. Naraz tonem nie znoszącym sprzeciwu zwrócił się do Antoniusza:

— Ilu was jest, panie asystencie?

— Trzynastu.

— Wszyscy obecni?

— Tak jest.

— W takim razie zapewniam panów, że dzisiaj na zamku nie będzie straszyć.

Uniósł rękę do góry jak dowódca prowadzący wojska do ataku, spojrział na mury i nagle zastygł w pełnym wyrazu geście. Twarz jego stężała, zbladła, oczy znieruchomiały...

W tym samym bowiem momencie koronę baszty rozjaśniło niebieskawe światło, jakby z drugiej strony ktoś puścił silny reflektor. W murach lewego skrzydła coś straszliwie zawyło, a na baszcie ukazała się zwiewna, błękitnawa postać kobieca... Stała nieruchomo, potem wolnym, majestatycznym krokiem okrążyła koronę baszty. Sunęła jakby poruszana powiewem wiatru. Jej przeświecione szaty powiewały niby skrzydła, a oczy żarzyły się czerwonymi ognikami. Naraz znikła, zapadła się w murach...

Nastała długa chwila ciszy. Sierżant stał jak skamieniały. Poruszał tylko bezwiednie wargami. Jego uniesiona w górę ręka opadła nagle i w tej okropnej ciszy dało się słyszeć:

— Niech was dunder świśnie!

Powiedziawszy to, powiódł zbaraniałymi oczami po milczących i pokornych twarzach studentów. Znowu zapanowała cisza. Sierżant energicznym ruchem ręki przeciął nagle powietrze.

— Niech to dunder świśnie! Panowie, wybaczcie, posądzam was, że to wy straszycie na zamku, a teraz... Teraz sam już nie wiem. Panowie! Jako pracownicy nauki musicie mi pomóc w rozwiązaniu tej dziwnej zagadki. Bo jeżeli ja tu jestem komendantem posterunku, to, do jasnego ogórka, nie powinno straszyć na zamku.

Antoniusz wysunął się do przodu, stanął przed sierżantem. W blasku ogniska wyglądał jak posąg. Jego ruda broda połyskiwała płomiennie, a głos brzmiał niezwykle uroczyście.

— Panie komendancie, są takie chwile, kiedy duchy budzą się, by bronić swych praw. Chciano naruszyć ich spokój, więc ocknęły się z wiekowego snu...

Sierżant patrzył nań jak na zjawę.

— Panie, chyba pan sam nie wierzy w to, co pan mówi.

— A jednak... — podjął Antoniusz.

— A jednak... — zawtórował mu chór studentów.

Komendant rozłożył ręce ruchem pełnym przesady.

— Panowie, chyba nie wierzycie...

— A jednak — rzekł Antoniusz.

— A jednak — dał się słyszeć chór uroczystych głosów.

Sierżant przesunął czapkę na tył głowy i dłuższy czas tarł czoło.

— A jednak — powtórzył — w tym coś musi być. Panowie, chodźcie ze mną na zamek. Przekonamy się sami...

— Idziemy! Idziemy! — odezwały się zewsząd ochocze głosy. Pierścień otaczający ognisko pękł, rozprysnął się na wszystkie strony. Polanę zapełniły ruchliwe cienie.

Antoniusz zbliżył się do studenta w kraciastej koszuli i wspaniałym sombrero na głowie.

— Marek — szepnął — wal do chłopców i przeprowadź ich podziemnym przejściem. My idziemy z komendantem na basztę.

Młodzieniec w sombrero podniósł dłoń do ronda kapelusza i jak cień znikł między namiotami.

Reszta obozowiczów ruszyła za sierżantem.

3

Są takie chwile w życiu młodego detektywa, kiedy ogarnia go radosne uniesienie i zdaje mu się, że przeżywa chwile najprawdziwszego szczęścia. W takim właśnie nastroju był pan inspektor Albinowski, gdy po odegraniu niezapomnianej roli uroczej zjawy schodził z wysokiej baszty. To on, Perełka, został wyznaczony przez rudobrodego Antoniusza do spełnienia najważniejszego zadania! Jemu przypadło odegranie świetlistego zjawiska na baszcie tajemniczego zamku! To on przyprawił dziesiątki, a może i setki ludzi o strach i wprowadził w ich umysły zamęt, to właśnie on w głównej mierze pomógł studentom w wydostaniu się z przykrej opresji!

Schody były bardzo spadziste i wąskie, opuszczały się ślimakowato w dół kamiennego szybu jak w przepaść. Mimo to chłopiec podkasawszy prześcieradło pędził na złamanie karku. W umówionym miejscu, pod basztą, miał bowiem spotkać się z Paragonem, a potem po drodze zabrać grubą Jolę, która w akcji pełniła rolę radiotelegrafisty, uruchamiała ukryty w podziemiach magnetofon i za pomocą głośnika wywoływała efekty dźwiękowe — wycia, jęki i spazmatyczne łkania potępieńców.

Pędząc na oślep, minął już miejsce, gdzie wąski przesmyk prowadził do bramy wychodzącej na dziedziniec zamku. Miał właśnie skręcić ku małej niszy, skąd wiodły schody do podziemi, gdy nagle nogi zaplątały mu się w fałdach prześcieradła... Runął jak długi. W oczach mu pociemniało, a w ustach poczuł słodkawy smak krwi. „Pewno przeciąłem sobie wargę” — pomyślał, podnosząc się z kamiennej podłogi... I naraz struchlał. Jeden krótki błysk latarki oślepił go i osadził w miejscu. Przed nim, za świetlistym snopem, stał jakiś człowiek. Widział jedynie jego wyciągniętą rękę.

Perełka cofnął się instynktownie, chcąc uciekać. Wtedy poczuł, że ktoś łapie go za ramię. Chwył był mocny i tak błyskawiczny, że chłopiec nie zdążył nawet pisnąć, gdy znalazł się twarzą w twarz z tajemniczym człowiekiem. Wokół było już ciemno. Widocznie tamten zdążył zgasić latarkę. Chwilę panowała martwa cisza, w której słychać było dwa oddechy — jeden krótki, przyspieszony, drugi regularny. Naraz mały detektyw usłyszał nad sobą spokojny, niemal łagodny głos:

— Nie bój się...

Łatwo było powiedzieć „nie bój się”, kiedy pod Perełką nogi dygotały przeraźliwie. Tajemniczy człowiek pociągnął go w głąb korytarza. Gdy zatrzymali się, zapytał:

— Kto cię posłał na basztę?

Perełka milczał. Był przygotowany na najgorsze, a jednak honor i poczucie obowiązku względem Klubu nie pozwalały mu zdradzić tajemnicy. „Niech się dzieje, co chce — pomyślał — ale nie puszczę pary z ust”.

— Nie bój się — powtórzył tamten jeszcze łagodniej. — Ja ci nic nie zrobię. Powiedz tylko, kto cię tu przysłał.

Mały detektyw zaciął zęby. Tamten znowu zapytał:

— Ty mieszkasz w leśniczówce?

— Tak.

— Czy cię tu posłał ten pan, który wynajął tam pokój?

— Nie.

— A więc kto?

— Niech mnie pan nie pyta, bo i tak nic nie powiem. A jak pan chce wiedzieć, to sam tu przyszedłem.

Nieznajomy roześmiał się cicho.

— Twarda z ciebie sztuka. To bardzo ładnie, ale... — zastanowił się. Po chwili podjął: — ...ale ja i tak wiem, kto cię tu posłał.

Perełka rzekł ze złością:

— Jak pan wie, to po co pan pyta i w ogóle, niech mnie pan puści, bo muszę wracać do domu.

— Wrócisz. Powiedziałem, żebyś się nie bał. Ja ci nic złego nie zrobię. Powiedz mi tylko, kto z tobą przyszedł?

— Powiedziałem panu, że sam tu przyszedłem.

— Was jest trzech w leśniczówce. Gdzie twoi koledzy?

— Nie wiem.

— Widziałem jeszcze jedną dziewczynkę.

— Nic nie wiem.

— Bujasz.

— A pan niepotrzebnie mnie pyta.

Nieznajomy mocniej ścisnął jego ramię. Głos jego zabrzmiał ostro, przynaglająco:

— Chciałem z tobą łagodnie, ale widzę, że mnie nie zrozumiałeś. Zastanów się.

Perełka znów zadygotał ze strachu. Miał takie wrażenie, że cała krew odpływa mu z głowy, pozostawiając straszliwą pustkę. Z wielkim wysiłkiem wyszeptał:

— I tak nic nie powiem.

Nieznajomy klepnął go mocno w plecy.

— Zuch z ciebie. Lubię takich chłopców. Chciałem cię tylko wypróbować... Ładnie się bawicie w te duchy... Tylko... skąd macie takie znakomite urządzenia?

„Uważaj, Perełka! — pomyślał mały detektyw. — Ten chytrus chce cię podejść”. Rzekł więc głośno:

— Sami żeśmy sobie wykombinowali.

— Ktoś jednak wam pomagał.

— Nikt.

Nieznajomy roześmiał się i miał zadać następne pytanie, ale w tej chwili u wejścia na dziedziniec odezwały się czyjeś głosy. Obaj zamilkli. Nasłuchiwali z napięciem.

Naraz Perełka poznał niski, tubalny głos komendanta posterunku:

— Dziadku — wołał tamten — nie widzieliście tu kogo?

— Nie — odpowiedział mu z daleka drżący głos staruszka.

— A może się tu ktoś kręcił?

— Dyc mówię, że nie. Nikogo tu nie widziałem.

Wtedy w ten duet wdał się trzeci, dobrze chłopcu znany głos Antoniusza:

— W takim razie wejdźmy na basztę.

— Baszta zamknięta — oznajmił dziadek.

— Jak to: zamknięta? — obruszył się komendant.

— Przecie mi pan komendant kazał zamknąć aż do odwołania. Jak zamknąć, to zamknąłem.

— Niech to dunder świśnie! — zawołał komendant. Otwierajcie, dziadku, ale piorunem.

Dopiero teraz Perełka zastanowił się, skąd tajemniczy człowiek znalazł się w baszcie, skoro baszta była zamknięta. Widocznie zna podziemne przejście, którym przeprowadzili ich studenci.

Nie było jednak czasu na rozważania. Nieznajomy pociągnął go w głąb korytarza. Perełka chciał krzyknąć, wołać pomocy, ale zrozumiał, że w ten sposób zdradziłby wszystkich wobec komendanta posterunku. Bez słowa dał się prowadzić w głąb ciemnego korytarza.

Szli po omacku. Było tak ciemno, że nie widział nawet zarysu poprzedzającego go człowieka.

„Co ze mną będzie?” — pomyślał nagle, a myśl ta sparaliżowała go zupełnie. Pierwszy raz w swej karierze detektyw zrozumiał, że znalazł się w sytuacji niemal bez wyjścia.

4

Kiedy na baszcie umilkły piekielne wrzaski i potępieńcze pojękiwania, Paragon zrozumiał, że zadanie, jakie im powierzył Antoniusz, zostało wykonane bezbłędnie. Teraz, siedząc w podziemnym korytarzu, oczekiwał zjawienia się Perełki. Umówili się, że gdy Perełka zejdzie z baszty, razem pójdą zwolnić Jolę, która wraz z magnetofonem czekała na nich w lewym skrzydle zamku.

Nie miał zegarka. Wnioskował jednak, że gdy doliczy do stu, Perełka powinien dołączyć do niego. Tymczasem zaczynał już liczyć piątą setkę, a ciemny wylot korytarza wciąż był pusty i głuchy. Zaległa martwa cisza. Słysząc było jedynie głos kropel spadających z wilgotnego sklepienia i dziwny szelest, jakby ktoś przesypywał suche ziarno.

Paragona zaczął z wolna ogarniać niepokój. Co się stało z dzielnym inspektorem Albinowskim? Przecież z baszty do podziemnego korytarza prowadziła prosta droga i trudno było zabłądzić.

Maniś nie umiał długo zastanawiać się. Jeżeli inspektor nie zgłasza się, to trzeba go poszukać. Zapalił elektryczną latarkę, zagwizdał swoje ulubione „Ri-fi-fi” i ruszył w stronę schodów prowadzących do baszty. Gdy był już niedaleko przejścia na dziedziniec, usłyszał nagle dudnienie kroków i zmieszane odgłosy rozmowy.

Zatrzymał się gwałtownie i zgasił latarkę. Ogarnęła go nieprzenikniona ciemność, jakby nagle zapadł w mroczną głębię. A z tej głębi doszedł doń wyraźny głos Antoniusza:

— Jeżeli nikogo nie będzie na baszcie, to nie wiem, co o tym myśleć...

Odpowiedział mu zadyszany bas komendanta posterunku:

— Mówię wam, że złapiemy tego ptaszka.

Paragon dopiero teraz zaniepokoił się poważnie. Miał wrażenie, że w dokładnie obmyślonej akcji coś się nie udało. To, że Antoniusz z komendantem znaleźli się na baszcie było do przewidzenia. Ale, do stu tysięcy karaluchów, co mogło stać się z Perełką? Ładnie będą wyglądali, jeśli szanowny komendant posterunku zastanie na górze przebranego detektywa. A może małemu detektywowi coś się stało? Trudno było w tej chwili odpowiedzieć na cisnące się pytania, zwłaszcza że Paragon nie mógł wiedzieć, iż Perełka jest o kilkanaście kroków w bocznej niszy. Jedno wydało

się pewne — coś tu nie grało. Trzeba jak najszybciej zawiadomić studentów o zniknięciu głównego aktora dzisiejszego wieczoru.

Wiedział, że po skończonej akcji ma ich ściągnąć z posterunku student w kraciastej koszuli. Był pewien, że spotka go w podziemnym korytarzu. Postanowił więc jak najszybciej wycofać się i zawiadomić go o zniknięciu Perełki.

Nie mylił się. W połowie drogi, między basztą a lewym skrzydłem zamku, ujrzał migotliwe oczko zbliżającej się latarki. Po chwili stał już naprzeciw kraciastej koszuli.

— Nie ma Perełki — powiedział stłumionym szeptem.

Student spojrzął z niedowierzaniem.

— Jak to: nie ma?

— No, nie ma. Nie przyszedł.

— A co się stało?

— Żebym ja wiedział.

— Psiakrew — syknął tamten — to niedobrze!

— Boję się, że go złapią na baszcie.

Student przesunął sombrero na tył głowy.

— Zaraz... zaraz... trzeba szybko działać. Ja wrócę na dziedziniec i dołączę do Antoniusza, a ty tymczasem przejdź jeszcze raz korytarzem.

— Zrobione! — powiedział Paragon. Nie uśmiechało mu się tkwić nadal w ponurych podziemiach, ale trudno, trzeba szukać przyjaciela, który nie wiadomo w jakich znajduje się opałach.

Ciemna sylwetka studenta oddaliła się, zniknęła za załomem murów. Jeszcze na chwilę na wilgotnej ścianie zachwiał się wielki cień sombrera. Potem zadudniły oddalające się kroki, a gdy i one ucichły, Paragon ruszył z powrotem w kierunku baszty. Skradał się wolno, nie zapalając latarki. Wnet pod stopami poczuł, że grunt wznosi się lekko, a za chwilę potknął się o pierwszy stopień kamiennych schodów. Stracił równowagę i strącił jakiś kamień, który stoczywszy się narobił takiego rumoru, jakby lawina zasypała dno korytarza. Wtedy nad sobą, wśród zupełnych ciemności, usłyszał przytłumiony głos Perełki:

— To ty, Paragon?

— Ja — odrzekł uradowany.

— To wyrywaj!... — krzyknął niemal chłopiec, lecz słowa jego nagle przeszły w rżenie.

Paragon zdumiał się. Czyżby przyjaciel znalazł się w niebezpieczeństwie? W pierwszej chwili zerwał się do ucieczki, lecz po kilku krokach zatrzymał się gwałtownie. Nie byłby Paragonem, najdzielniejszym chłopcem z Górczewskiej, gdyby w tej sytuacji opuścił przyjaciela. Stał pod murem, spoconą dłonią wyczuł chropowatość kamieni. Nasłuchiwał. Nad nim, w miejscu gdzie kończyły się kamienne schodki, słyhać było przyspieszone oddechy i odgłosy szamotaniny, po chwili ktoś zawołał napiętym głosem:

— Kto tam?

Paragon zdrętwiał ze strachu. Głos nie należał do Perełki. „Perełka w niebezpieczeństwie!” Ta myśl jak sygnał alarmowy pchnęła Maniusia do działania. Jak kot — bezszelestnie — zaczął się wspinać na schody. W górze panowała cisza. Tylko oddechy dalekie, a jednocześnie zwielokrotnione przez puste sklepienia podziemi, wskazywały, że ktoś jest ponad schodkami. Naraz poczuł bliskość czyjś ciało i w tym samym momencie snop światła uderzył mu w oczy. Ktoś z ciemności wysunął ku niemu rękę, ale Paragon zdołał uskoczyć. Odwrócił się akrobatycznym skokiem i znów był na schodach. Gnał w dół owładnięty panicznym strachem. Za sobą słyszał głos Perełki:

— Uciekaj!

Paragonowi nie trzeba było powtarzać. Biegł opętany jedną, jedyną myślą: „Trzeba sprowadzić pomoc!”

5

— Niech to dunder świśnie! — jęknął zasapany sierżant kiedy znaleźli się na koronie baszty.

Niskie chmury wisiały nad murami. W mroku bezszelestnie krążyły nietoperze. Ocierały się niemal o ramiona i głowy. W dole szumiał niewidoczny las, a niżej, nad jeziorem mrugały światła przystani. Stali chwilę w milczeniu. Sierżant skierował zdumione spojrzenie na Antoniusza.

— Niech to dunder świśnie! — powtórzył. — Ani słychu, ani dychu... Nikogo.

— Nikogo — odpowiedział jak echo Antoniusz.

— Co się mogło stać? — odezwał się zza jego pleców stłumiony śmiechem głos.

— To dziwne — podjął sierżant Antczak. — Przecież brama na basztę była zamknięta...

— To bardzo dziwne — głos Antoniusza zabrzmiał grobowo. — Przyznam się, że nie mogę znaleźć wytłumaczenia tej zagadki.

— Ale co to może być?

— Niech się pan nie kłopotczy, panie komendancie — pocieszył go Antoniusz. — Postaramy się wyjaśnić to nadzwyczajne zjawisko.

— Jak tu wyjaśnić, kiedy człowiek nie może pojąć zdrowym rozumem. Daję wam słowo honoru, że odkąd tu jestem, nigdy jeszcze nie straszło na zamku.

W tym momencie na baszcie zjawił się student w kraciastej koszuli. Był mocno zdyszany i zdenerwowany. Odciągnął na bok Ewę.

— Słuchaj, ten mały chłopiec, który był na baszcie, znikł. Nie widzieliście go po drodze?

— Nie.

— To niedobrze. Trzeba go szukać.

Ewa odciągnęła na bok Antoniusza. Szepnęła:

— Trzeba szukać małego Perełki.

Antoniusz przeraził się.

— Jak to... przecież wszystko było dokładnie umówione?

— Nie mam pojęcia... chłopiec nie przyszedł na wyznaczony punkt.

Antoniusz wydał szybko zarządzenie: trzech chłopców pójdzie od strony lewego skrzydła, trzech od strony baszty. Trzeba przeszukać dokładnie korytarze. Może mały zabłądził.

Przez chwilę słyhać było stłumione szepty, potem sześć cieni oderwało się od grupy. Po chwili jak duchy zniknęły w gęstym mroku.

Na dziedzińcu trójka, która udała się w kierunku lewego skrzydła, natknęła się na biegnącego Paragona. Chłopiec wpadł na nich z impetem.

— Ratunku! Ktoś złapał Perełkę — wykrztusił drżącym z przejęcia głosem.

Student w kraciastej koszuli przyciągnął go do siebie.

— Kto?

— Nie mam pojęcia.

— Może się mylisz?

— Nie. Jak ciocię Franię kocham, widziałem na własne oczy.

— Gdzie?

— Tam, gdzie się schodki z podziemia kończą.

Student w kraciastej koszuli dał znak ręką.

— Lecimy, wiara! Tylko gazem.

6

Kiedy Paragon umknął tajemniczemu mężczyźnie, Perełka wiedział już, że nie zostanie opuszczony; wierzył w Paragona i miał nadzieję, że inspektor Tkaczyk zawezwie pomoc. Zaraz nabrał pewności siebie.

— Nie ma pan czego tu szukać — powiedział zuchowato.

Tamten roześmiał się szczerze.

— Kto to był ten chłopiec? Pewno kolega z leśniczówki.

— On sprowadzi pomoc. Lepiej niech mnie pan puści, bo będzie z panem krucho.

— O! — żartował tamten. — Rzeczywiście okropnie się boję i zastanawiam się, co teraz z tobą zrobić... — zerknął w stronę bramy prowadzącej na dziedziniec. Nasłuchiwał z napięciem. — Może zaprowadzić cię w tym stroju do leśniczówki? — powiedział nagle.

Perełce wydłużyła się twarz. Ładnie by wyglądał, gdyby go w leśniczówce ujrzeli w takim przebraniu. Pociągnął więc nosem i rzucił pojednawczo:

— Najlepiej pan zrobi, jak mnie pan puści.

— Boisz się wrócić do leśniczówki? — przekomarzał się nieznajomy.

— Nie... tylko...

— Tylko się boisz. Okazałoby się, że największe straszydło w okolicy to właśnie ty. Dostałbyś porządne lanie, co?

Perełka przyznał mu w myśli rację i zrozumiał, że należy jakoś dyplomatycznie wyjść z tego przykrego położenia.

Z pomocą przyszedł mu nieznajomy.

— Mówiłem ci, żebyś się mnie nie bał. Chciałem jedynie dowiedzieć się kilku szczegółów, które i tak jutro będą znał. A teraz to już czas na ciebie. W domu będą się martwić. Musisz wracać.

Ujął go za rękę i podprowadził do samej bramy wiodącej na dziedziniec. Tutaj przystanął. Rozejrzał się. Z góry, z baszty, dochodziły głosy. Na dziedzińcu było pusto i cicho. Nieznajomy ścisnął silniej rękę chłopca.

— Widzisz, że nie jestem taki straszny. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Masz wtedy u mnie podwójne lody. Do widzenia. — Puścił chłopca i ruszył w stronę dziedzińca.

Teraz dopiero Perełka na szarym tle kamieni ujrzął jego sylwetkę. Był to mężczyzna średniego wzrostu. Miał na głowie beret, a na ramionach ciemną wiatrówkę, której barwę trudno było w mroku rozróżnić...

Chłopiec odprowadził go zdumionym spojrzeniem.

„Kto to może być? Cóż za dziwny typ?” — myślał.

Tymczasem sylwetka nieznajomego tajała w mroku, aż zupełnie zlała się z otaczającymi dziedziniec murami. Inspektor Albinowski odsapnął z niewypowiedzianą ulgą. Był wolny, ale do tej pory nie mógł w to uwierzyć. W głowie wciąż plątało się pytanie: „Kto to był? Zachowywał się okropnie dziwnie i zupełnie nie tak, jak prawdziwy przestępca, a jednak chciał koniecznie wiedzieć, kto wysłał nas na mury i dopytywał się o Marsjanina”.

W tej chwili, gdyby nawet był samym Sherlockiem Holmesem, nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie. Pomyślał jedynie, że brygada młodych detektywów ma przed sobą nowe zadanie do rozwiązania. Ta myśl wyrwała go z zamyślenia. Postanowił jak najszybciej odszukać Paragona i Jolę. Przypuszczał, że znajdzie ich w lewym skrzydle przy magnetofonie. Jeszcze raz spojrzął na basztę, skąd dochodziły przyciszone odgłosy rozmowy. Pokrzepiony myślą, że mu się tak łatwo upiekło, ruszył w stronę lewego skrzydła.

Kiedy zbliżał się do małego dziedzińca, wśród ruin ujrzął błysk latarki. Przezornie ukrył się w zaroślach. Naraz z radością usłyszał głos Paragona. Inspektor Tkaczyk mówił do kogoś płaczącym

głosem:

— Jak ciocię Franię kocham, ja sam pójde go szukać. To mój najlepszy kolega. Ja go tam nie zostawię...

Perełka z radosnym okrzykiem wyskoczył z zarośli.

— Paragon! Ja tu jestem! To ja, Perełka.

Wnet otoczyła go zwarta ciżba studentów, a Paragon rzucił mu się na szyję i z całej siły jął go okładać pięściami.

— Jesteś, stary! Jesteś! — powtarzał gorączkowo. — A ja myślałem, że cię zakasował Marsjanin.

— Jaki Marsjanin? — zapytał zdziwiony student w kraciastej koszuli.

— Eee, to tylko tak... — odparł wykrętnie Paragon.

— Ty coś bredzisz?

— Nie... to taki nasz szyfr — kłamał, nie chcąc zdradzić tajemnicy. Marsjanin stanowił wyłączną własność Klubu Młodych Detektywów i nikt nie mógł się wtrącać w jego sprawy. Oni go odkryli i oni odgadną jego zagadkę.

Student w kraciastej koszuli stanął przed Perełką. Nachylił się. Jego białe sombrero osłoniło chłopca jak parasol.

— Kto to był ten człowiek, który cię zatrzymał?

— Żebym to ja wiedział — wzruszył ramionami.

— Czego chciał od ciebie?

— Dopytywał się, kto mnie posłał na wieżę.

Wśród studentów zaszemrano.

— A ty co? — zapytał ktoś z boku.

— Się rozumie, że ani mru-mru.

— Nie powiedziałaś, że to my?

— Ani słowa — powtórzył chłopiec z naciskiem.

— Pan go jeszcze nie zna — wtrącił urażony Paragon. — Gdyby mu dali wycisk, to by też niepotrzebnego słowa ze siebie nie wypluł.

Studenci uspokoili się. Tajemnica została utrzymana. Teraz należało jedynie zawiadomić Antoniusza, że zguba odnalazła się.

Gdy zostali sami, Paragon pociągnął Perełkę w głąb zarośli. Zapytał z tajemniczą miną:

— Te, kto to był?

— Nie wiem.

— Marsjanin?

— Nie.

— Bujasz.

— Daję ci słowo detektywa.

— Widziałeś go?

— Nie. Było tak ciemno, że nie poznałem jego gęby.

— Bił cię?

— Nie. W ogóle dziwny gość. Obiecał mi lody.

— A jak wyglądał?

— Jak człowiek. Poza tym — beret i ciemna wiatrówka.

— To ważne.

— I wiedział, że mieszkamy w leśniczówce.

— O, pluskwa jedna! To znaczy, że nas śledzi.

— I że Jola z nami... — w tym miejscu Perełka aż zachłysnął się powietrzem. — Te! — krzyknął.

— A co z Jolką?

Paragon trzepnął się wesoło.

— Niech mnie kawki zadziobią, na śmierć o niej zapomniałem!

— Hańba! — rzucił Perełka i nie dodawszy jednego słowa ruszył w stronę lewego skrzydła.

Paragon pobiegł za nim. Po drodze trapiła go myśl, że Jola mogła również zniknąć jak Perełka.

Kiedy jednak przybiegli do zawalonej i z wszystkich stron osłoniętej niszy, ujrzeli Jolę zdrową i całą. Na ich widok jęknęła żałośnie:

— Jestem strasznie głodna, okropnie głodna.

— To głupstwo — zawołał uradowany jej widokiem Paragon — grunt, że ci się nic nie stało.

— To wcale nie głupstwo, bo na kolację są pierogi z jagodami, a ja jestem taka głodna.

— Pierogi nie uciekną.

— Najlepsze są świeże.

Paragon spojrział z niedowierzaniem na beczułkowatą dziewczynę wyłaniającą się z krzaków.

— Tu się dzieją takie rzeczy, a ona o pierogach. Nic ci nie będzie, jak trochę schudniesz.

Perełka, onieśmielony widokiem dziewczyny, zauważył nieśmiało:

— Czy jej nie wolno być głodną?

— Och, jaka jestem głodna! — westchnęła czując poparcie małego detektywa. — A wyście o mnie zapomnieli.

— Ja nie. Nigdy! — zaprotestował ostro Perełka. — Jesteś na praktyce — osadził ją Paragon.

Jola wyduła wargi.

— Praktyka praktyką, a kolacja...

— Na drugi raz bierz z sobą walówkę — przerwał jej Paragon. — Jak zadanie? — zapytał zbliżając się do magnetofonu.

Jola roześmiała się.

— Wiecie, to było nawet zabawne. Koncert fortepianowy Czajkowskiego puszczony od końca...

Świetna zabawa!

— Świetna zabawa — powtórzył Perełka. — A ja cały czas martwiłem się o ciebie.

— O mnie? — zdziwiła się Jola.

— Tak jest, sierżancie, o ciebie — westchnął inspektor Albinowski.

Paragon wyciągnął dłoń.

— Gratuluję, sierżancie. Zadanie wykonaliście solidnie, awansujemy was na inspektora i przyjmujemy do Klubu Młodych Detektywów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1

Już dawno koguty odpiały pobudkę, kury odgdakały ranne ploteczki, nawet kaczki, największe śpiochy, pomaszerowały do kąpieli, a chłopcy wciąż jeszcze spali po czubki głów zagrzebani w pachnącym sianie. Gdyby ktoś spojrział teraz na ich zarumienione twarze, na niewinnie przymknięte oczy i lekko rozchylone usta, nie odgadłby zapewne, że ma przed sobą dzielnych detektywów. Pochrapywali rozkosznie jak wzory niewinności.

Pierwszy obudził się Paragon. Gdy przetarł zaspane oczy i ujrzał pod swoim nosem brudną piętę Perełki, zorientował się, że jest w stodole leśniczówki, a nie w mrocznych podziemiach zamczyska. Odetchnął z ulgą. Usiadł, podwinął pod siebie nogi i długo czochrał zmierzwioną czuprynę, wyczesując z niej palcami źdźbła siana. Potem połechtął słomką Perełkę w samą piętę. Ten wierzgnął jak rażony prądem.

— Odczep się! — wymamrotał zaspanym głosem.

— Pobudka! — zaśmiał się Paragon i jednym szarpnięciem zdarł z niego koc.

Perełka był zupełnie nieprzytomny. Wodził wokół mętными oczami, ziewał jak młody hipopotam.

— Te — zamruczał — czy ja jeszcze żyję?

— Uszczypnij się w pośladek, to się przekonasz.

— Zdaje mi się, że żyję. A śniło mi się, że już umarłem.

Paragon naciągał trampki.

— A mnie się śniło, żeśmy złapali Marsjanina.

— Gdzie?

— W podziemiach. A ten facet w berecie to był jego pomocnik.

W tym momencie spod trzeciego koca odezwał się głos Mandżara:

— Jaki facet w berecie?

Chłopcy zamienili nieco zdumione spojrzenia i jednocześnie parsknęli śmiechem. Spod koca wysunął niezwykle poważną twarz były nadinspektor Mandżaro.

— Pytam, jaki facet w berecie?

Paragon roześmiał się.

— Przeprosił się ksiązę Walii?

Mandżaro usiadł w kucki. Miał teraz minę fakira połykającego noże.

— Ja wcale się nie przeprosiłem, tylko... tylko mnie interesuje facet w berecie.

— Jeżeli cię interesuje facet w berecie, to idź na zamek i poszukaj go w podziemiach — powiedział z nutką wyższości Perełka.

— To się samo przez się rozumie. Ja już to dawno wydedukowałem...

Paragon patrzył na Mandżara spojrzeniem, w którym więcej było politowania niż złości.

— Te — rzucił pojednawczo — nie wyglupiaj się. Dzisiaj imieniny cioci Perełki. Musimy wszyscy razem zanieść prezent.

Mandżaro certował się jeszcze chwilę.

— Ja nie mam prezentu.

— Powiedziałem, że ja zorganizuję. Wczoraj dwa razy obróciłem w charakterze tragarza i prezent jest. Wypada, żebyśmy wszyscy razem poszli złożyć życzenia, bo przecież wszyscy wtrajamy

pierogi z wiśniami i inne gastronomiczne cuda.

— A co kupiłeś? — wtrącił zaciekawiony Perełka.

Maniś podczołgał się pod okap. Z siana wygrzebał pudełko.

— Prezent ery podróży międzyplanetarnych. Mam nadzieję, że twoja ciocia będzie zadowolona.

— Pokaż! — Mandżaro wyciągnął rękę.

Paragon mrugnął doń przyjaźnie.

— Zgoda?

— Zgoda! — Mandżaro mocno uściśnął jego dłoń.

Perełka rzucił się do obu. Mocno objął ich za szyje.

— Zgoda! Ja tak nie lubię, jak wy się kłóćcie.

Paragon machnął ręką.

— Nie ma o czym gadać. Chwilowe zachmurzenie z przelotnymi opadami. No, patrzcie! — otworzył pudełko i wyciągnął jakiś metalowy przedmiot z małą, plastikową korbką.

— Co to? — chłopcy z niedowierzaniem gapili się na nieznany przyrząd.

— Atomowa maszynka do ubijania śmietany.

— Fantastyczna! — zawołał Perełka.

— A ty co na to? — zapytał Paragon Mandżara.

— Tak sobie... Ja myślałem o innym prezencie. Bardziej reprezentacyjnym. Jakieś kwiaty, jakaś bombonierka...

— Człowieku! — natarł na niego Perełka. — Przecież kwiaty wędną, a to ułatwi cioci życie.

— Mało eleganckie — szepnął nie przekonany rzeczowymi argumentami kolegi.

Paragon nie miał ochoty kłócić się, więc rzekł pojednawczo:

— Prezent może nie lordowski, ale za to śmietana będzie gęsta jak masło. Wyobrażacie sobie pierogi z taką śmietaną?

Mandżaro wygrzebał się z siana.

— Śmietana śmietaną, ale nie powiedzieliście, co z tym facetem w berecie.

— Bomba — powiedział Perełka.

— Jeszcze jedna zagadka — dodał Paragon i naraz, jakby dopiero teraz ocknęli się ze snu i spostrzegli wczorajsze zdarzenia w blasku pogodnego dnia, zaczęli opowiadać na wrywki o nocnej wyprawie na zamek i przygodzie Perełki z tajemniczym mężczyzną w berecie i ciemnej wiatrówce.

Mandżaro słuchał tego opowiadania z miną fakira zaklinającego węża, ale w miarę nowych sensacyjnych szczegółów tracił sfinksowe oblicze i coraz szerzej rozdziawiał usta.

— To rzeczywiście bomba! — zawołał, gdy chłopcy skończyli opowiadanie. — Ale prawdziwą bombę usłyszycie ode mnie.

W tym miejscu uśmiechnął się tajemniczo, a gdy chłopcy umilkli, zaczął mówić o przedpołudniowej wyprawie na zamek, spotkaniu z tajemniczym człowiekiem w berecie, o odnalezieniu nowego zejścia do podziemi, niecodziennych przeżyciach w podziemnych korytarzach, zjawieniu się kobiety ze srebrnymi włosami... a gdy doszedł do miejsca, w którym nieznajomy człowiek w berecie zjawił się w leśniczówce, a potem w nadprzyrodzony sposób ulotnił się z pokoju Marsjanina, chłopcy aż pobledli z wrażenia.

— To fan-tas-tycz-ne! — wyszeptał z przejęciem Perełka.

Paragon z pasją tarł czoło, wreszcie powiedział poważnie:

— Panowie, z taką historią to nawet Sherlock Holmes miałby pełne ręce roboty...

— Nad tym trzeba się poważnie zastanowić — zawtórował mu Mandżaro.

— Fakt, nie lekrama, że to największa zagadka kryminolo... nolo... molo... — zaciął się, więc

splunął i dokończył: — Legalnie największa...

W tym momencie z dala dał się słyszeć śpiewny głos pani Lichoniowej:

— Chłopcy, na śniadanie!

Paragon zerwał się pierwszy.

— Kryminologia kryminologią, ale śniadanie trzeba grzecznie skosztować, zwłaszcza że dzisiaj imieninowe...

2

Chłopcy weszli na werandę. Stanęli przed pogodnym, rozpromienionym obliczem pani Lichoniowej.

Perełka trącił łokciem Paragona:

— Ty mów.

Inspektorowi nie trzeba było powtarzać. Znany był przecież na całej Woli z lotnego języka. Wystąpił więc naprzód, skłonił się szarmancko i zaczął:

— Kochana i wielce szanowna solenizantko! W tym pięknym dla nas dniu nawet Wicherek z PIHM-u nie zrobił zawodu i na szanowny dzień imienin szalową pogodę bez chmurki zamówił. Życzymy Ci więc, żeby i Twoje życie bez przelotnych zachmurzeń i zatok niżowych leciało. Żeby zawsze wyżej baryczny zalegał bez względu na porę roku. Pod względem ekonomicznym natomiast — dużo szczęścia w szanownym udoju... i żeby kochane kurki po dziesięć jajeczek dziennie nosiły. No i przede wszystkim dużo szczęścia i sto słonecznych lat... I żeby z nami do końca miesiąca nie było kłopotu... — skłonił się jeszcze raz, wyciągnął przed siebie pudło i wnet wpadł w szeroko rozwarte ramiona pani Lichoniowej.

— Paragon, mój Boże — mówiła wzruszona — jakżeś to pięknie powiedział!

Maniś uśmiechnął się po swojemu.

— Jeszcze nie tak, jak sobie pomyślałem. Pół przemówienia połknąłem.

— Właśnie o takim rozrzepywaczu marzyłam! — zawołała solenizantka otwierając pudło.

— To od nas wszystkich, z podziękowaniem... W wieku Gagarina i Titowa nie wypada, żeby śmietana była ubijana własnoręcznie...

W tym momencie Paragon zaciął się. Nie mógł już wypowiedzieć najprostszego słowa, gdyż wbrew zapowiedzi na horyzoncie zjawiała się ciężka chmura w postaci komendanta posterunku, Antczaka. Chłopcy zbledli: zamienili ostrzegawcze, alarmujące spojrzenia i gdyby nie uroczysta chwila, z pewnością ulotniliby się lub wsiąkli w ziemię. Sierżant Antczak z marsową miną toczył się wprost w kierunku werandy. Nie mieli wątpliwości, że przychodzi ich aresztować.

— Czegóż on chce? — zapytała strapiona pani Lichoniowa. — Pewno znowu w sprawie tego przekłętego gościa.

Posłała pełne nienawiści spojrzenie w kierunku starego austro-daimlera, który stał przed leśniczówką jak zaprzeczenie nowoczesnej techniki.

Z kuchni wysunęła ptasią głowę Trociowa.

— W imię Ojca i Syna... pewno znowu w sprawie duchów.

Perełka jęknął cichutko:

— Pewno po nas.

Tymczasem pan sierżant Antczak był już na schodkach i salutował z urzędową powagą.

— Dzień dobry — zwrócił się do pani Lichoniowej — chciałem jeszcze raz obejrzeć ten pokój na górze.

— A co się stało, mój Boże? — wyszeptała pani Lichoniowa.

— A nic — sierżant uśmiechnął się tajemniczo. — Mam pewne podejrzenia...

— Nie znaleźliście tego gagatka?

— Niech się pani nie boi, my go już znajdziemy.

Chłopcy odetchnęli z ulgą. Zdawało się, że burza przeszła obok. Pani Lichoniowa prowadziła niespodziewanego gościa na górę. Trociowa szła za nimi jak cień.

— Czy nikt się o niego nie pytał? — zagadnął sierżant, gdy znaleźli się na poddaszu.

— A był tu wczoraj jeden taki.

Komendant natarł na nią:

— To dopiero teraz pani o tym mówi?!

— A kiedy miałam mówić?

Sierżant odsapnął.

— Kto to był?

— A czy ja wiem?

— A kto ma wiedzieć? Przecież go pani widziała.

Trociowa tak spojrzała na komendanta, jakby miała przed sobą ducha.

— Chryste Panie, był jakiś i pytał się o tamtego.

— Jak był ubrany?

— A żebym to ja pamiętała. Zaraz wydał mi się podejrzany... W tym coś musi być.

Komendant zniecierpliwiał się.

— Był, a pani nie wie, jak wyglądał?

— Dziwnie wyglądał.

— E, pani w ogóle nic nie wie.

— Jak tu wiedzieć, kiedy się takie dziwne rzeczy dzieją.

Nasi detektywi stali na dole. Z piekącą ciekawością łowili każde słowo, które do nich docierało.

Gdy Trociowa wspomniała o tajemniczej wizycie nieznanego, Mandżaro szepnął:

— Może mu powiedzieć?

— Ani się waż... to sprawa naszej brygady — zastopował go Paragon.

Perełka miał jednak wątpliwości.

— Może lepiej będzie... żeby milicja...

— Nie — uciął szybko Paragon. — My sami musimy wydedukować — był niezmiernie zadowolony, że to piekielne słowo tak gładko przeszło mu przez usta.

Po chwili sierżant Antczak zeszedł ciężkim krokiem ze schodów.

— Mówi pani, że pani tam nie sprzątała? — powiedział do pani Lichoniowej.

— Ja to się tam nawet boję wchodzić! Wczoraj przecie znów na zamku straszyle.

— To może duch jaki — wystękała Trociowa.

— Kto? — zapytał ostro sierżant.

— A ten, co tu przychodził. Mówię panu, ja od razu pomyślałam, że on jakiś dziwny.

— Kto, do stu tysięcy?! — wrzasnął sierżant.

Trociowa skuliła się, przerażonymi oczyma powiodła dokoła i wyszeptała:

— Ażebym to ja wiedziała.

Sierżant wzruszył ramionami. Naraz zwrócił się do chłopców:

— A wy, młodzieńcy, nie widzieliście tu kogoś, kto by się pytał o tego lokatora z samochodem?

— My? — zastanowił się Mandżaro.

— My nie — odpowiedział za niego Paragon.

Komendant posterunku postąpił im przyjazny uśmiech.

— Gdybyście przypadkowo coś zauważyli, to zaraz zawiadomcie posterunek.

— To się samo przez się rozumie — rąbnął Paragon.

— Bo tacy chłopcy mogą zawsze coś wyszperać — wyjaśnił pan sierżant. — Nigdy nie wiadomo, co w trawie piszczy.

Paragona dusił wewnętrzny śmiech. Gdyby tak pan komendant wiedział, że ma przed sobą oryginalne wczorajsze duchy, zapewne nie uśmiechałby się tak serdecznie.

Ale komendant posterunku miał inne kłopoty. Tak bardzo się spieszył, że nie przyjął nawet zaproszenia pani Lichoniowej na imieninowe śniadanie. Zasalutował, podciągnął pas na brzuchu i rażnym krokiem poszybował w stronę przystani.

— Burza przeszła — rzekł Paragon. — Zapowiada się całkowite roz pogodzenie.

Perełka prychnął śmiechem.

— Nie wiadomo, co w trawie piszczy! — szepnął i dał Mandzarowi porządnego kuksańca.

W tym momencie na polanie ukazała się jadąca na rowerze Jola. Okrążyła stary samochód, zeskoczyła z gracją i zawołała wesoło:

— Czołem, chłopcy, jak się czujecie?

Mandzaro zrobił minę fakira połykającego żywego węża.

— Kto to?

Perełka zakrztusił się.

— Zapomnieliśmy ci powiedzieć, że wczoraj właśnie przyjęliśmy do Klubu...

Mandzaro zasyczał:

— Babę?

Paragon uśmiechnął się chytrze.

— Właśnie, mamy w brygadzie pierwszego inspektora rodzaju żeńskiego.

— To niemożliwe!...

Okrzyk ten pozostał bez odpowiedzi. Paragon żartobliwie zwrócił się do Joli:

— Mam nadzieję, że szanowny inspektor skonsumował już swoje śniadanko i nie umiera z głodu?

Jola przymrużyła zielone oczy. Oblizawszy się z apetytem, zerknęła w stronę suto zastawionego stołu.

— Poniekąd tak, ale widzę, że u was dzisiaj jakieś dobre rzeczy. Na przykład te drożdżowe ciasteczka...

— Masz babo placek! — jęknął Mandzaro, który cały czas z niepokojem i dezaprobatą spoglądał na grubą dziewczynę.

— Ciasteczka nie najgorsze — droczył się Paragon. — Ale po śniadaniu nie będą ci smakowały.

— Dlaczego? — uśmiechnęła się Jola. — Muszę przyznać, że u nas było dzisiaj skromne śniadanie.

Z kuchni wychyliła się pani Lichoniowa.

— Dlaczego nie zaprosicie koleżanki? — zawołała.

Jola wcale nie czekała na zaproszenie. Jednym zwinnym skokiem znalazła się u stołu. Wnet w jej ustach znikło pierwsze rumiane ciasteczko.

— Pycha! — powiedziała zapchanymi ustami.

Paragon pokręcił głową.

— Co jak co, ale nie chciałbym być twoim żywicielem. Stuprocentowe bankructwo!

— Pycha! — zachwyciła się Jola. — Dawno nie jadłam takich smacznych ciasteczek.

Perełka patrzył na nią niemal z rozrzewnieniem.

— Proszę cię bardzo, proszę — podsunął jej cały półmisek.

— Wolnego — zartował Paragon. — Tylko nie po dwa, żeby dla innych zostało.

— Pycha! — Jola przymrużyła oczy i z rozkoszą pałaszowała następne ciastko.

Mandżaro pokiwał głową.

— Pięknie. Jeżeli będzie tak pracowała w brygadzie, jak teraz wcina, to może zostać.

3

Imieninowe śniadanie pozwoliło naszym detektywom jaśniej i ostrzej spojrzeć na czekające ich zadania. Gdy po uczcie poszli do szałasu, każdy miał własny i niezbity sąd o sytuacji. Niestety, sądy ich były tak rozbieżne, że trudno było znaleźć nawet punkt wyjścia dla prowadzenia dalszego śledztwa.

Jeden Mandżaro starał się w rozsądny sposób uporządkować zdarzenia. Rozciągnął się wygodnie na mchu, wyciągnął nieodłączny notes, zamyślił się, a kiedy w szałasie zapadła cisza, zaczął rzeczowo:

— Najpierw trzeba wiedzieć, jakie mamy dane. A więc pierwsze: nasz Marsjanin znikł z mieszkania i do tej pory nikt z nas nie wie, gdzie się znajduje.

— W podziemiach zamku — przerwał mu Perełka. Przecież Paragon widział go przedwczoraj wieczorem.

— Uspokój się — osadził go Mandżaro. — Widział go przedwczoraj, ale nie w podziemiach.

— Ty sam widziałeś jego znaki na murach — wtrącił Paragon.

— To jeszcze nie dowód, że on tam jest. Możemy jedynie wnioskować, że się tam ukrywa. Ale należy to sprawdzić.

— Legalnie — potwierdził Paragon. — To przecież nasze główne zadanie.

— Po drugie — ciągnął Mandżaro — ze sprawą Marsjanina wiąże się sprawa człowieka w berecie. Nazwijmy go: Tajemniczy. Trzeba sprawdzić, jaki ma związek Tajemniczy z Marsjaninem. Dlaczego go poszukuje i dlaczego stale przebywa w okolicach zamku?

— W ogóle nie wiemy, kto to jest — odezwała się Jola.

Mandżaro skarcił ją spojrzeniem.

— Proszę mi nie przerywać. Od tego nasza brygada, żeby się dowiedziała, kim jest Tajemniczy. Ja myślę, że to największy przestępca.

— Eee... — skrzywił się Perełka. — Największy przestępca nie zapraszałby na lody.

— To dla zaszklania oczu, czyli maskowanie się — zauważył fachowo Paragon.

— Po trzecie — ciągnął Mandżaro — musimy wyjaśnić, czego szuka w podziemnych korytarzach ta pani ze srebrną wiechą na głowie. Dla ułatwienia nazwijmy ją Srebrna.

— Czy malarz tam też był? — zapytał Paragon.

— Był ktoś drugi, ale go nie widziałem. Za to, że była tam Srebrna, dam sobie uciąć głowę.

— Ciekawe — zamyślił się Paragon. — Szkoda, że nie wiemy, co było w tym pokrowcu na składak.

Mandżaro wzruszył ramionami.

— To drobiazg.

— A ja ci mówię, że to ważne. Bo ten składak był mi coś za ciężki.

— Dobrze, i o tym możemy pomyśleć. Najważniejsze, że do tej pory właściwie nic nie wiemy.

— Najważniejsze, że mamy przestępców. Ty się martwiłeś, skąd ich znaleźć, a teraz masz cały asortyment — palnął wesoło Paragon.

Jola zatarła dłonie.

— Panowie, ale będzie robota. Tylko mówię wam trzeba stosować naukowe metody.

— Oczywiście, tylko naukowe metody — powtórzył Perełka.

— Najpierw trzeba ułożyć plan — Mandżaro jął coś zapisywać w notesie. — Jest nas czworo.

Proponuję, że ja z Paragonem zajmiemy się Marsjaninem. Jeszcze raz sprawdzimy odkryte przeze mnie przejście. Może te znaki nas zaprowadzą do kryjówki przestępcy.

— To ja znalazłem plan podziemia — wtrącił nieśmiało Perełka.

— Legalnie, znalazł go pod łóżkiem — potwierdził Paragon.

— Plan nam bardzo pomoże. Sprawdziłem, że zejście, które znalazłem, jest na planie, a korytarz ciągnie się daleko pod lewe skrzydło.

— Perełka powinien dostać pochwałę albo odznaczenie.

— Inspektor Albinowski dostanie odznaczenie dopiero wtedy, kiedy sprawdzimy, że plan jest dobry i doprowadzi nas do kryjówki Marsjanina.

Perełka machnął ręką.

— Niech będzie. Mnie na tym nie zależy.

— A ja jakie dostanę zadanie? — wyrwała się Jola.

Mandżaro zajrzał do notesu.

— Ty musisz śledzić Srebrną. Najpierw dowiesz się, kim oni w ogóle są, ci goście z plebanii.

— Phi, to bagatelka.

— Ostrzegam inspektora Radońską, że to wcale nie bagatelka, tylko niezwykle ważne zadanie.

Zadanie numer dwa — rozpracować szajkę Srebrnej.

— Rozkaz!

— A ja? — głos Perełki brzmiał cicho i skromnie.

— Inspektor Albinowski otrzyma zadanie rozpracowania Tajemniczego.

— No, widzicie — zachnął się Perełka — mnie zawsze wlepi najtrudniejsze.

— Spokój — zastopował go Mandżaro. — Ty przecież go już znasz. I on obiecał ci lody. A więc

— zwrócił się do pozostałych — inspektor Albinowski zajmie się tymczasem rozpracowaniem Tajemniczego, a potem ktoś z nas mu pomoże. Mam nadzieję, że zrozumieliście dobrze, o co chodzi i z honorem wypełnicie swe zadania. A teraz życzę wszystkim złamania karku. Cześć!

Mandżaro uniósł się. Głową sięgał dachu szałas.

Tym razem miał minę prawdziwego nadinspektora Scotland Yardu. Inspektorzy stanęli przed nim. Ich spojrzenia były twarde i zdecydowane. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że stoją przed niezwykle ciężkimi zadaniami i nie wiadomo, jakie jeszcze czekają ich niespodzianki.

W milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

4

— Dzień dobry pani! — Jola z wystudiowanym uśmiechem na niewinnej twarzyczce przywitała gospoдинię plebanii. — Mamusia pyta, czy na jutro będą świeże jajka.

Gospodyni wychyliła się z okna i nieufnym spojrzeniem świdrowała dziewczynkę.

— Ty, moja droga, coś kręcisz.

Jola uniosła ramiona gestem zniecierpliwienia.

— Jeżeli pani nie wierzy, to łatwo się przekonać. Jutro będzie tu mamusia, więc może pani zapytać.

Woskowata twarz gospodyni zakrzepła w wyrazie niezdecydowania.

— Poczekaj, może się coś znajdzie — dała jej znak ręką, by weszła do kuchni, i po chwili znikła z prostokąta ramy okiennej.

Pani inspektor rozejrzała się bacznie po dziedzińcu. Było zupełnie cicho, tylko pszczoły bzykały monotonicznie w klombach pieniących się od kwiatów. Od strony zabudowań gospodarskich dochodziło porykiwanie krów, a z daleka, zza parku, płynęła muzyka z przystani. Ktoś śpiewał po włosku, słodko i melodyjnie. Jola spojrzała w okna piętra. odbijały jaskrawy blask słońca jak srebrne tafle. Były

zamknięte i dziwnie tajemnicze. „Gdzie znajdują się w tej chwili lokatorzy?” — pomyślała i z gotowym już planem działania weszła do sieni. W ciemnej sieni natknęła się na gospodynię. Jej czarna suknia zaszeleściła w półmroku. Pachniała woskowymi świecami i talkiem.

— Masz do czego wziąć te jajka? — zapytała gospodyni.

— Och, na śmierć zapomniałam. Ale to nie. Będę wracać z przystani, to wstąpię po nie.

Gospodyni uczyniła gest zniecierpliwienia.

— Aleś ty roztrzępana... I powiedz jeszcze raz mamusi, że mam gości i już nie mogę wszystkiego sprzedawać.

— Właśnie, właśnie... widziałam dzisiaj tę panią ze srebrnymi włosami...

Gospodyni machnęła kościstą dłonią.

— Skaranie boskie, widział kto takie czupiradło z siebie robić?

— Okropne — basowała Jola. — I do tego te wąskie spodnie w paski.

— Wygląda jak błazen z cyrku. I w ogóle to całe towarzystwo nie podoba mi się!

— Co pani mówi? — Jolanta uradowała się, że tak łatwo przyszło jej nawiązać rozmowę na temat gości z plebanii.

Gospodyni ściszyła głos.

— To dziwni ludzie. Ten malarz niby maluje, a właściwie to włóczy się bez celu. To czupiradło chodziło wczoraj po plebanii w samym kostiumie kąpielowym. Dobrze, że księdza nie było... A ten trzeci to mruk, który nie powie nawet dzień dobry. Gdybym wiedziała, to bym ich tu nie wpuściła. Nie potrzeba mi takich gości.

W tym momencie Jola była już niemal pewna, że zdoła od gospodyni wydobyć cenne wiadomości. Zapytała więc zupełnie otwarcie:

— Gdzie oni trzymają ten składak?

Gospodyni jeszcze bardziej zniżyła głos, który przeszedł w świszczący szept:

— Właśnie to mnie najbardziej zastanowiło. Podobno przywieźli składany kajak, a wczoraj ten mruk dopytywał się, gdzie można wynająć łódkę. Jeżeli mają składak, to po co im łódka?

— Oczywiście. A gdzie ten składak?

— Licho ich wie. Może w ogóle to nie był składak. Ja już sama nie wiem, co o tym myśleć...

Na górze skrzypnęły drzwi. Po chwili na schodach ukazała się srebrna strzecha lokatorki plebanii. Kobieta schodziła wolnym krokiem, a gdy mijala gospodynię, posłała jej mdły, nic nie znaczący uśmiech, jakby w ten sposób chciała usprawiedliwić swą obecność.

Jola patrzyła za nią. Naraz błysnęła jej myśl. Jeżeli teraz nie wykorzysta odpowiedniej chwili, to straci nadzwyczajną okazję. Podbiegła więc szybko do srebrnej pani i zapytała niewinnie:

— Przepraszam bardzo, czy mogłaby mi pani pożyczyć na pół godziny tego składaka?

Kobieta zatrzymała się gwałtownie, jakby napotkała niewidzialną przeszkodę. Objęła dziewczynkę zdumionym, pełnym popłochu spojrzeniem.

— Składaka? Jakiego składaka? — zapytała opryskliwie.

— Pani gospodyni mówiła, że państwo macie składak, a ja lubię wiosłować... po prostu uwielbiam.

Srebrna gestem zdziwienia uniosła ramiona.

— To jakaś pomyłka... My nie mamy kajaka.

— W takim razie bardzo panią przepraszam — Jola skinęła głową i odeszła.

W momencie kiedy złapała Srebrną na kłamstwie, pani inspektor poczuła żywszy rytm serca. Żyłka detektywistyczna kazała jej natychmiast działać. Pożegnała szybko gospodynię, przebiegła wzdłuż muru oddzielającego plebanię od kościoła, a potem zawróciła w stronę parku. Z odległości

dwudziestu kroków widziała pasiaste spodnie Srebrnej migające na tle gęstych zarośli.

Srebrna przecięła na ukos park. Szybkim krokiem skierowała się w stronę przystani. Nie spodziewała się, że za nią jak cień posuwa się okrągłutka, zaaferowana Jola.

Przystań leżała wśród wspaniałych, starych grabów. Tonęła cała w cieniu. Przy pomoście kręcili się ludzie. Spychali na wodę kajaki, wciągali na maszty żagle. W porannym świetle woda leżała cicho i spokojnie, odbijając jak w lustrze nadbrzeżne drzewa. Dalej mała żaglówka pruła spokojną toń, marszcząc jej powierzchnię w ślad wydłużonego trójkąta. Ponad przystanią szybowwały dwie rybitwy. Jedna z nich zatrzepotała nagle skrzydłami i jak kamień spadła na wodę, po czym wzbiła się, unosząc w dziobie migocącą rybkę.

Srebrna minęła pomost, hangar na kajaki i skierowała się ku małemu pawilonowi, przed którym stało kilka barwnych stolików osłoniętych wielkimi parasolami. Była to kawiarenka. Stoliki stały puste. Tylko przy jednym z nich siedział krępy jegomość w tyrolskich spodenkach. Twarz zakrył płachtą gazety, jakby w ten sposób starał się odgradzić od otaczającego go świata. Srebrna podeszła do niego. Gazeta opadła, ukazując szerokie, niemal kwadratowe oblicze czytelnika.

„To ten trzeci... ten Tyrolczyk — pomyślała Jola. — Zaraz zobaczymy, czy popłyną składakiem. Jeżeli zdecydują się na to, w takim razie wypożyczę kajak i popłynę za nimi”.

Srebrna usiadła przy Tyrolczyku. Wnet zjawiała się kelnerka. Zamieniły ze sobą kilka słów, których jednak Jola nie usłyszała. Tyrolczyk znowu zagłębił się w lekturze.

Jola tymczasem okrążyła hangar, podeszła do pawilonu od strony jeziora. Brnąc po kostki w grząskim mule, płosząc wystraszone żaby, przedarła się przez zarośla. Nie spostrzeżona przez nikogo, dobrnęła aż do płotu. Tutaj z zadowoleniem spostrzegła, że znajduje się niemal za plecami człowieka czytającego gazetę. Widziała jego nagie, owłosione ramiona i tęgi, atletyczny kark, a dalej, poprzez ażurowy parkan, przeświecała blada twarz Srebrnej.

Tyrolczyk odłożył nagle gazetę gestem pełnym zdenerwowania. Po chwili zabrzmiał jego suchy, rozdrażniony głos:

— To miejsce, cośmy wczoraj wybrali, jest niestety wilgotne. W żadnym wypadku nie będzie można tam zostawić płócien.

Jola słyszała wyraźnie każde słowo. Wstrzymała oddech, natężyła uwagę. Starła się zapamiętać treść rozmowy.

— Możemy znaleźć inne — odparła spokojnie Srebrna.

Mężczyzna zachnął się.

— Możemy, ale to wymaga sporo czasu, a my musimy stąd wyjeżdżać, bo nas nakryją...

— Nie przesadzaj.

— Już wczoraj wpadliście na tego szczeniaka. Całe szczęście, że was nie zauważył.

Jola dopiero teraz pojęła sens rozmowy. Chodziło przecież o Mandzara, który nakrył ich wczoraj w podziemiach zamku. „Tylko wam się zdaje, że nie zauważył” — pomyślała z przekorą.

— Nie przesadzaj — rzekła Srebrna. — Zamek jest najlepszym miejscem, jakie mogliśmy znaleźć. A okoliczności też wymarzone. Teraz tam nikt nie chodzi, bo wszyscy obawiają się duchów i upiórów.

Mężczyzna machnął ręką.

— Zresztą nie jestem pewien, czy ten smarkacz was nie widział.

— Uspokój się. Jesteś przewrażliwiony.

— Mówię ci, to miejsce mi nie odpowiada.

— Janusz wyszuka drugie...

Jola zrozumiała, że chodzi o trzeciego lokatora z plebanii — o malarza.

Tyrolczyk irytował się coraz bardziej.

— Janusz właściwie wszystko sknocił. Miał dość czasu, żeby przygotować odpowiednie miejsce.

— Nie zwalaj wszystkiego na Janusza.

— Powinien już dawno być tutaj. Mówię ci, zdaje mi się, że nas tutaj obserwują.

— W takiej dziurze?

— Właśnie w takiej dziurze trzeba być ostrożnym.

— Jesteś przewrażliwiony i dlatego...

— Jestem po prostu ostrożny — przerwał jej ostro mężczyzna. — Nie mam ochoty wpaść przez to, że Janusz jest niedołęgą.

— Jestem przekonana, że wszystko się dobrze skończy. Okoliczności są bardzo korzystne. Studenci postraszają pewnie jeszcze kilka dni. Dowiedziałam się, że ten profesor do wczoraj jeszcze nie wrócił z Warszawy. Przez ten czas zdołamy znaleźć odpowiednie miejsce i wszystko będzie w porządku.

W tym miejscu urwała, gdyż wśród parasoli zjawił się nagle malarz. Minę miał niezbyt bojową. Zbliżył się ostrożnie do rozmawiających. Oparł o krzesło sztalugi i spojrzał wyczekująco.

— No, jak? — zapytał ostro Tyrolczyk.

Malarz wzruszył jedynie ramionami.

— Wszystko gotowe.

— A cement i woda?

— Przygotowałem. Nie macie pojęcia, jak się przy tym zmachałem.

— Nikt cię nie widział?

— Nikt... — rzekł malarz z namysłem. — Któż mógłby mnie widzieć o szóstej rano?

— Może kogoś spotkałeś?

— Spotkałem jakiegoś faceta, ale cóż to ma za znaczenie?

Srebrna roześmiała się złośliwie. Ruchem głowy wskazała na Tyrolczyka.

— On boi się własnego cienia.

Tamten obruszył się.

— Nie mam ochoty wpaść przez was. Gdzie to nowe miejsce? — zapytał oschle malarza.

— W bocznym korytarzu.

— Suche?

— Suche, ale nie tak pewne jak tamto.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Trudniejsza będzie robota.

— To nic. Kamienie przygotowane?

— Powiedziałem, że wszystko w porządku.

— W takim razie idziemy. Tylko błagam, ostrożnie. Żeby nas ktoś nie zobaczył.

— Może zaczekać do wieczora?

— Nie mamy czasu, a zresztą wieczorem kręcą się ci przekłęci studenci.

— Jak uważasz. — Malarz zarzucił na ramię pudło i sztalugi. — Zaczekam na was przy wejściu.

Tyrolczyk skinął mu głową. Malarz wolnym, nieco sztywnym i jakby zmęczonym krokiem oddalił się w stronę drogi wiodącej na zamek. Nie skręcił w lewo, gdzie prowadziła droga ku głównej bramie, lecz zaraz przy zakręcie zboczył w prawo i zginął wśród zarośli. Tamci dwoje zostali przy stoliku.

Jola zrozumiała, że nadszedł czas, by wycofać się z kryjówki.

W chwili gdy do stolika podeszła kelnerka, rozgarnęła lekko krzaki i ostrożnie wycofała się nad

brzeg jeziora.

W głowie miała zamęt. Z szybkiej tej rozmowy pozostały tylko strzępy. Jedno było pewne, natrafiła na prawdziwych przestępców, którzy postanowili ukryć coś w podziemiach zamku. Może rzeczywiście odnaleźli jakiś skarb, o którym z uporem wspominał Paragon, i postanowili przenieść go chwilowo w inne miejsce, a może są to po prostu pospolicci złodzieje i chcą zamelinować łup pod murami zamku. Mówili przecież o jakimś płótnie czy płótnach... Jakież to płótno mogliby ukrywać w podziemiach? Prawdopodobnie niezwykle drogocenne, skoro Tyrolczyk upierał się, by schowek był zupełnie suchy.

Okrążając hangar i pomost, myślała tak intensywnie, że pot wystąpił na jej czoło. Była oblepiona pajęczyną i suchymi badyłami, w sandałach chlupotało jej błoto, lecz nie zważała na te drobiazgi.

Stała za pnem drzewa na pustej w tej chwili drodze. Po jakimś czasie zza hangaru wyłoniły się dwie sylwetki — Srebrnej i Tyrolczyka. Oboje szli w milczeniu. Przecięli wolno szosę, rozejrzeli się uważnie, a potem znikli w zaroślach, w tym samym miejscu, co poprzednio malarz.

Pani inspektor czekała zniecierpliwiona na moment, kiedy będzie mogła udać się za nimi. Nasłuchiwała. Ze zbocza, które pięło się od szosy wprost pod basztę i mury lewego skrzydła, dochodził suchy trzask łamanych gałęzi i turkot osypującego się żwiru. Gdy odgłosy te nieco ucichły, Jola odnalazła wśród zarośli ścieżkę. Ledwo widoczna w gąszczu trawy i bujnego zielska, pięła się z ukosa pod zamkową górę. Jola szła ostrożnie. Rękami rozgarniała zasieki leszczyny, stąpała lekko, jakby w tej chwili straciła nagle swe sześćdziesiąt kilogramów solidnej wagi, nawet oddychała oszczędnie, nie chcąc sapaniem zdradzić swej obecności. Nie dziw, że wnet zasapała się podwójnie. Przystanąła więc na chwilę, by odetchnąć głębiej. Ponad nią wciąż trzeszczały gałązki, a drobne kamyki sypały się wśród zarośli. Na szczęście na przystani głośnik zaryczał jakąś ognistą piosenkę hiszpańską. Rytm rumbi wdarł się w ciszę i wnet zagłuszył wszelkie inne odgłosy.

Dziewczynka śmieiej ruszyła przed siebie. Ścieżka pięła się coraz stromiej i coraz częściej ginęła między sterczącymi jak zielone świece krzakami jałowców. Grunt stawał się kamienisty. Żwir sypał się gęsto. W górze między jałowcami szarzały już mury zamku.

Naraz pani inspektor przypadła do krzaku jałowca. Wśród zieleni mignęły pasiaste spodnie Srebrnej. Przyłgnęła do suchych, nagrzanym słońcem kamieni. Wyteżyła wzrok. Ze zdumieniem spostrzegła, że Tyrolczyk wraz z malarzem odwalają spod murów duże kamienie.

„Jeszcze jedno tajemne wejście do podziemi” — zanotowała w pamięci.

Mężczyźni pracowali szybko i nerwowo. Słychać było głuchy łomot odwalanych skał. Jedna z nich potoczyła się i runęła w dół. Skacząc między jałowcami, przefrunęła obok Joli. Ktoś zdławił na górze głośne przekleństwo.

Wkrótce mężczyźni zakończyli pracę. Jola widziała, jak malarz wczołgał się przez niski otwór. Za nim poszedł Tyrolczyk. Przejście nastroczało mu więcej trudności, gdyż był szerszy i solidniej zbudowany. Chwilę jego grube, owłosione łydki trzepotały w ciasnym przesmyku. Srebrna została na zewnątrz. Usiadła leniwie na odwalonej skale, a potem bacznie rozejrzała się dokoła.

Pani inspektor zrozumiała, że dalsze ślęczenie pod basztą jest traceniem czasu. Wywnioskowała, że dwaj mężczyźni zeszli do podziemi tym nowym, nikomu nie znanym zejściem, by zamurować tajemnicze płótna. Srebrną zostawili jako ubezpieczenie. Należało więc sądzić, że w razie niebezpieczeństwa mężczyźni mają inną drogę odwrotu. Ale jaką?

Jola postanowiła wycofać się spod baszty i jak najszybciej odnaleźć chłopców. W tej sytuacji sama nie mogła niczego zdziałać. Ale gdzie szukać detektywów, skoro poszli na zwiad?

W tej chwili poczuła, że nadmierny wysiłek i napięcie uwagi zaostrzyły jej apetyt. Pomyślała beztrasko:

„Najpierw pójde do domu przekazać co nieco, a potem... Potem zobaczymy”.

5

Wielką, kolumnową salę lewego skrzydła spowijał fiołkowy półmrok. Smugi światła przebijające się przez szczeliny w murze przecinały ją jak złote pasy. Stojąca najbliżej wejścia kolumna, cała skąpana w jaskrawym słońcu, płonęła jak słup rozżarzonego metalu. W bluszczu zatrzepotał ptak. Zerwał się na odgłos kroków małych detektywów jak pocisk i przeciął pasmo światła.

Paragon obejrzał się za nim.

— Widziałeś? — zwrócił się do Mandżara — Kowalik. Pewno ma tu gniazdo.

Mandżaro nic nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni notes, przerzucił kartki. Paragon patrzył na to z uśmiechem powątpiewania.

— Czego szukasz?

— A nic, chciałem tylko sprawdzić notatki.

— Notatki dobra rzecz, ale najważniejszy to dobry węch — zażartował Paragon. — Zdaje mi się, że czuję w powietrzu kosmiczny swąd Marsjanina.

Mandżaro posłał mu pełne nagany spojrzenie.

— Dawaj tę mapkę.

Usiedli pod osłonecznioną kolumną. Mandżaro wodził palcem po zatartych nieco liniach planu.

— Wszystko się zgadza. Widzisz, tu się zaczynają schodki, a potem korytarz znaczone przekreślonymi kwadratami, a tam korytarz z kółkami. Oba schodzą się w miejscu, gdzie mamy jakieś szersze przejście zaznaczone dwoma nietoperzami...

— Te gacki to ważna rzecz — zauważył Paragon. — To pewno jego szyfr.

— Doszedłem wczoraj do tego miejsca — Mandżaro pokazał palcem. — Jeśli nam się uda dobrnąć do przejścia zaznaczonego dwoma nietoperzami, to...

— To będzie wielka rzecz — wtrącił Paragon.

— Czy idziemy z asekuracją?

— Z jaką asekuracją? — zdziwił się Paragon.

— No... czy asekurujemy się niemi? Kupiłem wczoraj mocne, szewskie nici. Teraz niełatwo będzie je przerwać.

— Nie trzeba... Przecież mamy znaki.

— A jeśli ktoś pościerał znaki?

— To zobaczymy na dole. Walmy, bracie, bo do obiadu nie mamy dużo czasu.

— Trzymamy się oczywiście razem.

— To się rozumie.

Paragon imponował Mandżarowi zuchowatą miną, ale gdy znaleźli się w ciemnym korytarzu, a wokół ich głów zaczęły krążyć nietoperze, pan inspektor Tkaczyk stracił nieco ze swej zuchowatości.

— Niech to koczodan połknie, zupełnie jak w piekle — szepnął z kwaśnym humorem.

— Boisz się? — usłyszał w ciemności głos Mandżara.

— Nie... ale trochę...

— Ja też trochę.

— Ja może nawet więcej niż trochę — zaśmiał się cichutko Paragon. — Co tu dużo gadać mam porządnego pietra. Ale to nic, jakoś nam pójdzie.

Mandżaro prowadził. Jego latarka przeszywała gęstą masę mroku, krajała go świetlistymi smugami. Wnet znaleźli się na dole. Mandżaro oświetlił załom muru, pokazał towarzyszowi tajemniczy znak.

— Tutaj zaczyna się korytarz znaczony kwadratami.

— Zgadza się — potwierdził Paragon.

— Walimy tędy...

— Jak do cioci na pierogi.

— Nitka niepotrzebna, bo widać znaki.

Paragon skinął tylko głową. Ruszyli różnym krokiem, gnani ciekawością i tłumionym niepokojem. Prowadził ich nikły strumień światła. Było duszno, mieli takie wrażenie, że posępne sklepienie zwęża się, jakby ich chciało przygnieść do ziemi. Dwaj śmiałkowie, zagubieni w labiryncie podziemnych korytarzy, sunęli w milczeniu jak duchy.

Mandżaro przystanął na chwilę. Pochylił się. Z ziemi podniósł białą nitkę.

— Do tego miejsca doszedłem wczoraj. Tutaj pękła mi nitka.

— Walmy dalej — przynaglał coraz ciszej Paragon. Gdy spojrzął przed siebie, a spojrzenie jego, biegnąc po nikłej strudze światła, napotykało dalej ścianę mroku, poczuł, że go coś ściska za gardło i dławi. Splunął więc z obrzydzeniem, jakby wraz z śliną pragnął wypluć atakujący go strach.

Teraz korytarz zaczął gwałtownie opadać w dół.

— O — syknął Paragon — schodzimy na samo dno.

Mandżaro milczał wpatrzony tępo przed siebie. Był blady i wargi mu lekko drgały.

— Może ja teraz poprowadzę? — Nie czekając na odpowiedź inspektor Tkaczyk wyprzedził Mandżara. Zaczął zbiegać po stromiźnie. Po kilkudziesięciu krokach gładkie dno korytarza przeszło w strome schodki. Mandżaro dogonił Paragona, złapał go za ramię. Uniósłszy palec do ust, dał znak, żeby milczał. Potem jął bacznie nasłuchiwać.

Z głębi, jak spod ziemi, dochodziło stłumione, urywane dudnienie.

— Co to? — wyszeptał Paragon.

Mandżaro wzruszył ramionami. Milczeli w tężejącej ciszy przerywanej miarowym dudnieniem. Zdawało im się, że to w nich coś dudni, kołacze i rozkrusza resztki odwagi. Tkwili w miejscu, nie mogąc zdobyć się na najdrobniejszy ruch. Naraz dudnienie ustało, zapanowała jeszcze przeraźliwsza cisza.

Paragon zwrócił wzrok na Mandżara. Nadinspektor miał tak przerażoną gębę, że Manius zachichotał cichutko.

— Nie wygłupiaj się — usłyszał jego drżący głos.

— Co to mogło być?

Mandżaro uczynił taki gest ręką, jakby chciał powiedzieć: „A skąd ja mogę wiedzieć”.

Paragon pierwszy ruszył z miejsca. Wysunął do przodu nogę jak człowiek wstępujący w lodowatą wodę. Szedł wolno. Struga światła bijącego z latarki napotkała nagle ślepa ścianę. Zdawało mu się, że znaleźli się w zaułku bez wyjścia. Ale gdy krąg światła zatoczył łuk na murze, wydobył z mroku wąską szczelinę, prowadzącą w lewo.

Znowu przystanęli. Zamienili pytające spojrzenia. Co robić? Czy pchać się dalej, czy zrezygnować i wracać?

Paragon był już gotów zawrócić, gdy za sobą usłyszał szept Mandżara:

— Może byśmy tak wrócili?

Pchnięty uczuciem przekory ruszył w kierunku szczeliny. Naraz otworzyło się przed nimi wąskie, zalane wodą przejście. Brodząc po kolana w chłodnej wodzie przedostał się na drugą stronę. Tutaj na ścianie zobaczył dwa wyrysowane kredą nietoperze. Odwrócił się. W świetle latarki ujrzał bladą twarz Mandżara. Wstrząsnął nim bezgłośny śmiech. Bał się, a jednocześnie niezwykły smak przygody pchał go z niezmożoną siłą. Jeszcze o kilka kroków posunął się do przodu i znowu zastygł w

bezruchu. W dole, jakby pod jego stopami, rozległo się to samo miarowe dudnienie.

— Zgaś latarkę — usłyszał za sobą szept Mandżara.

Bezwiednie wykonał jego rozkaz. Na chwilę utonęli w osaczającej ciemności. Czuł, że ziąb przenika jego spocone ciało, a strach obezwładnia go zupełnie. Wtedy na końcu tego wąskiego, zalanego wodą korytarza ujrzał szarawy odblask na ścianie. Cofnął się spłoszony nagłym odkryciem, lecz napotkał tkwiącego za nim Mandżara. Z niepokojem spojrzął przed siebie. Teraz ten odblask zmatowiał, jakby ktoś przysłonił źródło tajemniczego światła. Potem nagle przeciwległą ścianę zalał jasny potok blasku.

Paragon przyłgął plecami do wilgotnej ściany.

Czuł, jak mu serce zamiera, a ściśnięte gardło hamuje oddech. Jeszcze raz obejrzał się na Mandżara. W półmroku ujrzał tylko jego błyszczące i wytrzeszczone strachem oczy. Pierwszy krok był chybotliwy, niepewny, jakby stopa napotkała grzędawisko, dalsze nabrały sprężystości. Posuwał się wolno wzdłuż ściany, szorując plecami mokry, chropowaty mur. Za sobą czuł oddech Mandżara.

Naraz drgnął, zatrzymał się. Przed sobą ujrzał urwisko, w głębi, na dnie wielkiej, okrągłej grotty, klęczała jakaś postać. W pierwszej chwili nie poznał jej, gdyż była okryta zieloną, brezentową wiatrówką... Dopiero po chwili spostrzegł białą furażerkę i wielkie wilbramowe buciska.

— Marsjanin — szepnął.

Gdy opanował pierwsze przerażenie, bacznie przyjrzał się klęczącej postaci. Nie mógł się mylić, był to Marsjanin, właściciel przedpotopowego wehikułu. Teraz już zupełnie wyraźnie widział go pochylonego nad małym, podziemnym strumykiem płynącym przez środek lochu. Nad nim, umocowana na długim sznurku, wisiała naftowa lampa. Rzuciła żółte światło na jego zgarbione plecy. Marsjanin trzymał w ręku latarkę, a snop jej światła skierował na strumyk. Po chwili jednak podniósł leżący obok łom i młotek, odłożył latarkę i zaczął kuć brzeg strumyka, jakby chciał go poszerzyć w tym miejscu.

„Szuka skarbów — przemknęło przez oszołomiony umysł Paragona. Ale wnet nasunęła się wątpliwość: — Dlaczego miałby poszukiwać ich w strumyku? A więc co robi?”

— Jest? — usłyszał stłumiony szept Mandżara.

Cofnął się i położył się na zalanej wodą ziemi, by móc wygodniej obserwować pracującego w dole Marsjanina. Uniósł się lekko na łokciu i dał znak Mandżarowi. Po chwili obaj wysunęli głowy spoza krawędzi opadającej ostro ściany. Przed sobą widzieli sznurową drabinkę sięgającą dna pieczary, dalej pracującego Marsjanina, a jeszcze dalej pneumatyczny materac, beładnie zarzucony kocem, kocher, kilka naczyń i czarny kufer.

Marsjanin kilka razy uderzył młotkiem w łom, a gdy skała odprysła, odłożył narzędzia. Wolnym ruchem sięgnął po latarkę. Nagle ręka mu drgnęła. Wolno zwrócił głowę w górę, w stronę chłopców.

Cofnęli się gwałtownie, a w tej samej chwili usłyszeli ostry głos:

— Kto tam?

Pytanie było w tym momencie tak zaskakujące i tak bezsensowne, że nasi detektywi zakrzepili na chwilę w bezruchu. Pierwszy rzucił się do ucieczki Mandżaro. Jego trampki klasnęły o mokre kamienie. Paragon ruszył za nim. Uciekali w panicznym popłochu, gnani zamierającymi echami tego jednego pytania. Drogę, którą przebyli w takim napięciu i trudzie pokonali obecnie niemal w sprinterskim tempie. Spoceni, zziajani, pełni nieopanowanego lęku, zatrzymali się dopiero za bramą zamku. Tutaj obejrzel się bojaźliwie. Nikogo nie było, tylko na skarpie pasła się biała koza dziadka.

6

„Oczywiście, oni znowu mi dali najtrudniejsze zadanie” — myślał inspektor Perełka, podchodząc pod strome zbocze zamkowej góry. Słonko mocno przypiekało jego piegowatą twarz. Tłuste obłoczki

smykały ponad zrębami murów, a w powietrzu unosił się odurzający zapach mięty i piołunu. Perełka szedł po czubek głowy pograżony w sprzecznych myślach. Chciał się wykazać solidną pracą, a tymczasem gdzie tu szukać Tajemniczego?

Obszedł już całą wioskę. Był przy kościele, na plebanii, obok straży pożarnej, zajrzał nawet na cmentarz, ale nigdzie nie mógł znaleźć człowieka w berecie i granatowej wiatrówce, tajemniczego mężczyzny, który wczoraj pod basztą wystawił go na tak ciężką próbę. Z tej próby mały inspektor wyszedł wprawdzie z honorem, ale teraz musiał za to płacić.

Gdy mijał bramę, na skarpie ujrzał białą kozę. Wyszczrzył do niej zęby, a gdy biała wychowanica dziadka w odpowiedzi zabeczała, pokazał jej język. W ten sposób ulżył sobie.

— Tobie to dobrze, nie musisz szukać Tajemniczego.

Koza beknęła przeciągle, a w dowód zupełnego braku zainteresowania sprawami młodych detektywów pokazała mu ogon.

Perełka minął bramę, wszedł na dziedziniec. Wielki, kamienny czworobok stał pusty, przepołowiony linią ukośnego cienia. Nad murami jak strzały przelatywały jaskółki. Ich piskłeta świergoliły w załomach skalnych. Było pogodnie i niemal wesoło. Perełka przeciął dziedziniec. Zbliżył się do bramy prowadzącej na basztę. Z radością zauważył, że ciężkie, dębowe wrota stały uchylone. Widocznie dziadek wprowadził kogoś na basztę.

Mały detektyw pomyślał, że dobrze by było jeszcze raz zapuścić się do podziemi pod basztą. Może właśnie tam natrafi na Tajemniczego?

Spokojnie przemknął się przez bramę, wyciągnął z kieszeni latarkę i niemal bez lęku zapuścił się w korytarz, w którym złapał go wczoraj Tajemniczy. W dzień przejście to nie wyglądało tak groźnie. Wąskie prześwity umieszczone wyżej, na wieży, przepuszczały do wnętrza korytarza łagodne światło. Powoli oczy zaczęły przywykać do ciemności. Mały detektyw posuwał się krok za krokiem. Było zupełnie cicho. Tylko gdzieś niżej ciurkała po murze woda.

Dobrnął do schodów. Tutaj dopiero zaświecił latarką. Wilgotne ściany załśniły zielonym mchem i rdzawymi naciekami. Spod sklepienia zerwał się oszołomiony światłem nietoperz. Płochliwie wirował nad głową chłopca, aż zapadł gdzieś w mrok. Było coraz bardziej ponuro i coraz straszniej. Mały detektyw szedł jeszcze pewnym krokiem, ale w serce jego z wolna zaczął się wkradać lęk. Wiedział, że podziemny korytarz wiedzie na przeciwną stronę zamku i prowadzi za mury. Tędy przecież wczoraj przyprowadzili go studenci. Ale to było wczoraj... Czy przez ten czas ktoś nie mógł zamurować przejścia lub przekopać nowego? Wczoraj, gdy szli na basztę, Perełka słyszał również rozmowę studentów, z której wywnioskował, że pod zamkiem znajduje się kilka poziomów podziemi i wiele zawalonych i nie zbadanych jeszcze przejść.

Potknął się nagle o jakąś nierówność. Latarka wypadła mu z ręki, potoczyła się kilka metrów. Kiedy ją podnosił, w smudze światła leżącej na ziemi ujrzał wyrysowaną kredą, niemal już zupełnie startą strzałkę. Wskazywała na lewo. Podniósł latarkę, skierował światło we wskazanym kierunku. Drgający krąg przesunął się po szarych ścianach i naraz zapadł w głęboką rozpadlinę. Przed naszym inspektorem otwierała się nowa droga. Pchnięty piekącą ciekawością, zapuścił się w ten boczny korytarz wykuty w litej skale. Przejście było wąskie i ukosem opadało w dół. Widocznie prowadziło do niższego poziomu podziemi.

Naraz światło latarki rozproszyło się. Perełka wszedł do nisko sklepionej, lecz dość obszernej, podziemnej sali. Światło latarki przesunęło się po gładkich sklepieniach, wydobyło z mroku wnękę. Perełka ruszył w jej kierunku. Była tak niska, że musiał się schylić, by wejść w nią. Jeszcze kilka kroków... i naraz natrafił na drewniane oszalowanie. Zbutwiałe, potężnej grubości pale podtrzymywały skalne sklepienie. Wśród nich znalazł sklecone z desek drzwi. Pchnął je. Nie

ustąpiły. Jeszcze raz oświetlił je dokładnie i wtedy spostrzegł, że są przymocowane do bocznych pali grubym drutem.

Nie zastanawiając się, jął odkręcać drut. Szło mu to niezwykle ciężko. Gruby drut wpijał się w spoczone dłonie, ranił palce. Perełka nie ustępował. Sycząc z bólu walczył z opornym metalem. Wreszcie odkręcił ostatni zwój. Odetchnął z ulgą i niezwykle ostrożnie pchnął drzwi. Zardzewiałe zawiasy zapiszczały żałośnie, grube pale zatrzeszczały, lecz drzwi ustąpiły.

Za chwilę znalazł się w drugiej, znacznie mniejszej i zasypanej skalnym gruzem niszy. W słabnym świetle ujrzał najpierw kilka zwalonych na dno kamieni, a potem... aż westchnął ze zdumienia. Obok kamieni leżał brezentowy, wielki pokrowiec. Od razu przypomniał sobie relację Paragona. Czyżby to był właśnie pokrowiec składaka, który przywieźli ze sobą lokatorzy z plebanii?

Kilkoma susami dopadł pokrowca, ukląkł przed nim i wolną ręką zaczął obmacywać wilgotny brezent. Był to gruby, solidny materiał wzmocniony na szwach i po bokach rzemieniami. Mosiężne sprzączki służące do zapinania zostały rozpięte. Ręka Perełki błądząca we wnętrzu pokrowca napotkała papierowy worek i nagle jak w mące ugrzęzła w miątkiej substancji. Perełka bliżej przyświecił latarką. Dłoń jego była osypana popielatym pudrem... W worku znajdował się cement.

„Ładny składak! — pomyślał. — Paragon miał dobrego nosa. Słusznie podejrzewał malarza i jego współpracowników. Ale, do stu tysięcy korniszonów, po cóż oni taskali tutaj cement?”

Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Gdy tylko powiódł latarką wokół, spostrzegł natychmiast małą kładkę z desek, na której widniały ślady żwiru skalnego zmieszanego z zakrzepłym cementem, a dalej wyrwę w ścianie, zawaloną skałami i częściowo już zabetonowaną. Zerwał się. Dobiegł do wyrwy. Niestety, była zupełnie pusta. Małe lusterko wody zebranej na jej dnie odbiło zawiedzione oblicze chłopca.

W napiętym skupieniu obejrzał dokładnie każdy drobiazg. Wyrwa w skale zamurowana została może do jednej trzeciej. Murarka, którą oglądał, wskazywała, że nie wyszła spod fachowej ręki. W brezentowym pokrowcu, obok worka z cementem, był jeszcze mniejszy worek, do połowy wypełniony gipsem, oraz kilka żelaznych prętów, służących zapewne do wzmocnienia murów.

Gdy nachylony nad pokrowcem szperał w jego wnętrzu, zdało mu się, że z przeciwnej strony, niskim korytarzem, który prowadził w głąb podziemi, ktoś się zbliża. Z oddali słychać było narastający odgłos kroków.

Perełka wyprostował się. Jeszcze chwilę nasłuchiwał. Odgłos przytłumionych kroków zbliżał się coraz bardziej. Nie można było dłużej pozostawać w niszy... Niemal bezszelestnie wycofał się za zbite z desek drzwi. Chciał uciekać, ale rozsądek kazał mu zostać na miejscu.

Trzeba było zamknąć prowizorycznie drzwi, by nie wzbudzić podejrzenia, a potem zobaczyć, kto to w podziemiach zamku zabawia się murarką. Desperacko szarpnął ciężkie, namokłe deski. Ustąpiły, wydając przeraźliwy jazgot...

Na ścianach korytarza zamigotały już pierwsze odblaski zbliżających się latarek. Podniósł z ziemi zwój drutu i błyskawicznie przymocował drzwi do belki. Uspokoił się nieco. Jeżeli tamci zechcą go ścigać, będą musieli oddrutować przejście, co da mu czas na ucieczkę. Ukrył się więc za belką, przytknął twarz do szpary i czekał ze wzrastającym napięciem.

Nagle z przeciwległej strony rozjaśniło się. Blask potoczył się po ścianach i sklepieniach, a z nim wypłynęły dwa wielkie, zniekształcone cienie. Potem u wejścia pokazał się człowiek z latarnią. Perełka poznał go... Był to malarz. Za nim wsunął się krępy człowiek w tyrolskich spodniach.

Fala żółtego światła napełniła niszę. Dwaj mężczyźni bez słowa zbliżyli się do brezentowego pokrowca. Malarz pochylił się nad nim i z wysiłkiem wyjął worek cementu. Spoza jego pleców odezwał się ten drugi:

— Czy wystarczy nam tego cementu?

— Mam nadzieję, że tak...

— Trzeba mieć pewność. Co zrobimy, jeśli nie starczy?

Malarz nie odpowiedział. Człowiek w tyrolskich spodniach podniósł nieco głos. Wibrowało w nim zdenerwowanie:

— Tamto miejsce też do bani. Za dużo trzeba murować.

Malarz wzruszył ramionami.

— To znajdź lepsze.

— Miałeś tyle czasu. Teraz widzę, że na jutro nie zdążymy i zabraknie nam cementu.

Malarz oczyszczał deski ze żwiru. Milczał. Tamten niecierpliwił się.

— Takie sprawy trzeba dobrze przemyśleć! A my tu grzebiemy się już drugi dzień.

— Nie mogłem przewidzieć, że podejdzie woda — bąknął zaczepnie malarz.

Krępy mężczyzna uczynił ręką gest rezygnacji.

— Wszystko nawala.

Malarz ułożył worek na deskach i bez słowa dał znak towarzyszowi. Unieśli wspólnie. Malarz ruszył przodem... Zanim szerokie plecy jego współnika zginęły w wylocie korytarza, Perełka wolnym krokiem odszedł od drzwi. Po chwili ruszył szybciej. Chciał donieść chłopcom o niezwykle ważnym odkryciu. Nie spodziewał się bowiem, że Jola już wcześniej wpadła na ślady całej szajki z plebanii.

7

Gdy znalazł się na dziedzińcu, z przyjemnością odetchnął suchym, nagrzanym powietrzem. Świat wydał mu się niezwykle piękny i pełen uroków. Zagłębiając się w myślach, nie spostrzegł nawet, że w cieniu stoi człowiek w berecie i granatowej wiatrówce. Dopiero gdy go mijał, ujrzał go i stanął, jakby mu nogi wrosły w ziemię.

Tajemniczy uśmiechał się z przyjazną poufałością.

— Czołem, nocna zjawo! — przywitał go żartobliwie. — Co ty tu robisz o tej porze?

Perełka patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami. Nie mógł uwierzyć, że ma przed sobą człowieka, którego bezskutecznie szukał od rana. Zamrugnął więc rudymi rzęsami i rzekł zacinając się:

— Ja... ja właśnie... właśnie szukam pana.

— O, bardzo mi miło, żeś nie zapomniał o mnie.

— Od rana mam ochotę na lody.

— Dlatego schodziłeś pod basztę?

— Przypuszczałem, że pana tam znajdę.

Bacne spojrzenie małego detektywa objęło całą postać Tajemniczego. Był to człowiek młody, średniego wzrostu, o bystrej, lecz łagodnej, a nawet miłej twarzy. W świetle dziennym nie przypominał wczorajszego, owianego tajemnicą, wyolbrzymionego strachem człowieka z podziemi. Stał teraz na lekko rozstawionych nogach, przechylił głowę i uśmiechał się przekornie.

— A jak wieczorem? Było lekkie trzepanie portek?

Perełka odął się. Detektywowi nie wypadało nawet wspominać o tego rodzaju komplikacjach życiowych. Spojrzał więc zaczepnie.

— Gdybym nawet dostał, to na własne konto.

— A tam czego szukałeś?

— Gdzie?

— Pod basztą.

— Pana.

— Masz do mnie jakąś sprawę?

— Nie, tylko miałem ochotę na lody.

Tajemniczy poklepał go po ramieniu.

— Miły z ciebie chłopiec. A ja... już wszystko wiem.

Mały detektyw wybałuszył oczy.

— Pan? A co?

— Na przykład: kto was wczoraj wysłał na basztę.

— To pan nas śledzi?

— Oczywiście — roześmiał się Tajemniczy. — Wyśledziłem, że pomagaliście studentom. Ten z

brodą wszystko mi powiedział.

Perełkę zamurowało na chwilę.

Tajemniczy uściskał ramię chłopca.

— Nie martw się. Wszystko w porządku. Nie będziecie musieli straszyć. Właśnie dzisiaj rano przyjechał z Warszawy ich profesor i przywiózł zakaz rozbiórki lewego skrzydła.

Chłopiec zasmucił się.

— To nieklawo...

— Co?

— A bo ja bym jeszcze chętnie postraszył.

Tajemniczy przyjrzał się bacznie chłopcu.

— To ładnie, żeście pomagali studentom, ale radziłbym tobie i twoim kolegom nie kręcić się po podziemiach. To bardzo niebezpieczne.

Perełka wzruszył ramionami.

— A pan się nie boi?

— Jeszcze jak! — zażartował.

— To dlaczego pan...

— Ja — przerwał mu Tajemniczy — prowadzę tutaj pewne badania...

— Naukowe? — Perełka znacząco przymrużył oko.

— O, zgadłeś. Widzę, że jesteś bystry.

— To się wie.

— A teraz muszę już odejść. Wybacz, że dzisiaj nie zafunduję ci lodów. Niestety, nie mam czasu — uniósł dłoń do beretu, uśmiechnął się na pożegnanie i ruszył różnym krokiem w kierunku małego dziedzińca.

Perełka odczekał chwilę, po czym przesunął się wzdłuż muru, a gdy tamten zniknął za załosem ściany, kilkoma sprężystymi susami znalazł się wśród zarośli. Wyrzwał spoza nich. Nikogo nie było widać. Wściekły na siebie, rzucił się w gąszcz. Przebiegł wzdłuż małego dziedzińca, przystanął, rozglądał się. Ani żywej duszy... Pustka dzwoniła wśród starych murów.

Perełka z roztargnieniem podrapał się za uchem. „Niech to krokodyl połknie! Wykołował mnie! Co ja teraz powiem w brygadzie?”

Był tak strapiiony, że nie spostrzegł Tajemniczego, który schowany za wyrwą stał może o pięć kroków od niego i uśmiechał się zagadkowo.

„Co ja powiem chłopcom? — powtórzył w myśli Perełka. Naraz pstryknął palcami. — Raz kozie śmierć! Jeśli Tajemniczy potrafi zniknąć i rozplýwać się w powietrzu, to nic na to nie poradzę”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1

Gdy inspektor Perełka schodził z góry zamkowej, nie przypuszczał, że kilkanaście kroków od drogi, zaszytych w gęstych głogach i jałowcach, gorączkowo naradzają się jego przyjaciele: Paragon i Mandżaro. Mówili szeptem, jakby obawiali się, że cień groźnego Marsjanina może w każdej chwili wyłonić się spoza murów zamczyska.

Mandżaro wbił spojrzenie w mapkę.

— Ja ci mówię, że najlepiej będzie zawołać resztę brygady i spróbować ująć go w jego jamie.

Paragon skrzywił się.

— Odpada. Legalnie jesteśmy za słabi.

— W takim razie trzeba zawiadomić milicję.

— Odpada. Myśmy narażali życie, a oni legalnie go capną.

— W takim razie co proponujesz?

Mandżaro zwrócił na niego pytające spojrzenie. Paragon zerwał listek głogu i chwilę gryzł go w milczeniu. Naraz uderzył się dłonią w czoło.

— Jest! Mózdek elektrony pracuje! Trzeba go koniecznie wywabić z podziemi!

— Ale jak?

— Za pomocą duchów...

Mandżaro rozdziawił usta.

— Duchów? Myślisz, że on się złęknie duchów?

— Nic nie wiadomo... może on się boi?

— Odpada — zawyrokował nadinspektor. — Marsjanin nie ma prawa bać się innych duchów.

On jest na to za cwany. Poza tym gdyby się bał, toby nie zamieszkał w grocie. Kapujesz?

— A może jednak spróbować? — bronił się Paragon. Wstał, zerwał całą gałązkę i jął nerwowo obrywać listki. — Tak, bracie — mówił z zapałem — to jest myśl. Zaczniemy tak wyć, że wystraszymy wszystkie nietoperze. Skąd wiesz, że Marsjanin nie będzie miał pietra?

— A ty skąd wiesz, że się przelęknie?

— Czuję to.

— To jeszcze mało.

— Warto spróbować.

Mandżaro zastanawiał się. Po swojemu tarł dłonią czoło i zerkał z ukosa w notes.

— Może warto spróbować... — zamyślił się. Naraz uderzył dłonią w notes. — Mam pomysł. Przebierzemy się, a jak się przebierzemy, to możemy udawać, że o niczym nie wiemy, że się tak na niby bawimy w duchy, i Marsjanin nic nam nie zrobi.

Paragon cisnął gałązkę.

— Widzę, że ci się przejaśniło w głowie. To jest myśl: udawać, że się udaje. No nie?

— Dobrze! — zawołał nadinspektor. Rozłożył na notesie plan Marsjanina, przyglądał go dłonią.

— Mamy dwie drogi do groty nietoperzy. Jedna znaczone przekreślonymi kwadracikami, druga kółkami. Jeden z nas pójdzie za kwadratami, drugi za kółkami. Jeżeli Marsjanin będzie nas ścigał jedną drogą, to my brykniemy drugą. Trzeba go wykołować.

— Legalnie — potwierdził Paragon. — Grunt go wywabić na dwór. A jak będzie na dworze, to

jakoś sobie poradzimy.

— W takim razie do roboty. Trzeba zejść do studentów, żeby nam pożyczili prześcieradeł i tych elektrycznych urządzeń.

Mandżaro rozgarnął krzaki, rozejrzał się, a gdy stwierdził, że droga jest pusta, ruszył, przedzierając się przez gąszcz.

Minęli opustoszałe baraki. Nowiutkie ściany połyskiwały w słońcu naciekami żywicy. W szybach otwartych okien widać było odbicie zamkowych murów. Wewnątrz krzątały się kobiety. Myły podłogę. Paragon podszedł bliżej i zawołał żartobliwie w głąb pomieszczenia:

— Szanowanie! Robi się porządek po duchach?

Jedna z kobiet uniosła spoconą twarz.

— Duchy już poszły spać. Teraz będzie tu kolonia dla dzieci.

— Powodzenia! — pożegnał ją Paragon. Naraz zwrócił się do Mandżara i z nutką dumy rzekł: — Uratowaliśmy bezcenne zabytki...

Od baraku skręcili w wąską ścieżkę, która poprzez stok zamkowej góry prowadziła na polanę. Z dala ujrzeli żółte dachy namiotów, a na polanie siedzących kręgiem studentów. W wianuszku głów rozpoznali rudą brodę Antoniusza. Asystent siedział obok starszego pana z rozwichrzoną, siwą czupryną i tłumaczył mu coś żywo. Na widok nieśmiało zbliżających się chłopców skinął przyjaźnie.

— Oto nasze duchy i upiory, panie profesorze.

Starszy pan poprawił okulary, uśmiechnął się.

— Antoniusz opowiadał mi o was. Muszę przyznać, że spisaliście się dzielnie. Ale teraz już nie będziecie musieli straszyć.

Antoniusz wyjaśnił z humorem:

— Pan profesor wrócił właśnie z Warszawy. Przywiózł zakaz rozbiórki lewego skrzydła. Ruiny zostały uratowane, a duchy mogą iść na emeryturę.

Profesor pokiwał przyjaźnie głową.

— Oj, chłopcy, najedliście się strachu, prawda?

Paragon przybrał zuchowatą minę.

— To nic, panie profesorze, grunt, że mury zostały ocalone. Jeżeli trzeba będzie, to my dla kochanej nauki wszystko zrobimy. Aby tylko nam się rozwijała...

Profesor z podziwem kręcił głową.

— Popatrzcie, panowie, jaki rezolutny chłopiec.

Paragon skłonił się szarmancko, łypnął porozumiewawczo w stronę Antoniusza i szepnął mu do ucha:

— My do pana asystenta w niezwykle ważnej sprawie.

— A co takiego? — Antoniusz po zagadkowych i poważnych minach wywnioskował, że chłopcy znowu szykują niespodziankę.

— A nic — ociągał się Paragon — wolałbym na osobności. To prywatna sprawa.

Antoniusz przeprosił profesora, wstał, odszedł z chłopcami w stronę namiotów.

— Co wy znowu kombinujecie?

— Mamy do pana asystenta wielką prośbę — powiedział Mandżaro. — Chodzi o pożyczenie kostiumów do straszenia.

— Wykluczone — przerwał mu Antoniusz. — Chcecie coś narozrabiać?

— Wcale nie, panie asystencie, my tylko w celach doświadczalnych — tłumaczył Paragon.

— Nie ma mowy. Raz na zawsze koniec z duchami.

Paragon posłał mu żalotne spojrzenie. Twarz Antoniusza złagodniała.

— O jakie doświadczenie wam chodzi?

— Podziemne.

— Ja już was znam. Kogo chcecie nastraszyć?

— My chcemy tylko udawać, że straszymy...

— Wybaczcie, ale ja z tego nic a nic nie rozumiem.

Paragon walnął się pięścią w pierś.

— Daję słowo honoru, że chodzi o dobro zamku.

Antoniusz zamyślił się.

— W takim razie możecie mi powiedzieć...

— Na kiel przedpotopowego mamuta, że to tajemnica.

Asystent zmrużył porozumiewawczo oko.

— Mnie nie powiecie?

— Nawet rodzonej cioci, panie asystencie. W pana szanownych rękach spoczywa teraz nasz honor. Jeżeli pan nam nie pomoże, zamek będzie w niebezpieczeństwie.

— Mogą się stać straszliwe rzeczy — dodał z zapalem Mandżaro.

Antoniusz spojrział chłopcom badawczo w oczy i wreszcie skapitulował.

— No, dobrze — rzekł przeciągle. — Wierzę wam, ale musicie mi przyrzec, że nie uczynicie nic takiego, czego moglibyście się wstydzić.

— Wprost przeciwnie! — W głosie Paragona dał się słyszeć odcień oburzenia. — My wyjdziemy z honorem.

— I jeszcze jedno: żebyście się niepotrzebnie nie narażali.

Paragon zamienił z Mandżarem krótkie, porozumiewawcze spojrzenie.

— My... — zająknął się, ale wnet pomógł sobie gestem ręki. — Nic się nam nie stanie. Pan asystent może sobie spokojnie uciąć poobiednią drzemkę.

— Pamiętajcie — upominał ich Antoniusz. — Wierzę wam i dlatego...

— No to ręka — przerwał mu gwałtownie Paragon i mocno schwycił jego dłoń.

— Ale z ciebie dyplomata, Paragon.

— Co robić, panie asystencie...

2

Słońce stało już wysoko ponad basztą zamku, kiedy chłopcy znaleźli się znowu w kolumnowej sali lewego skrzydła. Ukryci za granitową kolumną łowili najdrobniejsze odgłosy. Cisza zalegała salę. W tej ciszy spoza murów dolatywał czysty, melodyjny śpiew kosa. W bluszczu i powojach brzęczały roje much. Basował im przez chwilę trzmiel, a ponad wszystkim wzbijał się świergot jaskółek, przecinających czarnymi zygzakami spłacheć jasnego nieba.

— Przebieramy się — szepnął Mandżaro.

Paragon cisnął na ziemię zwitek prześcieradeł i bandaży.

— Kto będzie Białą Panią?

— Możesz być ty.

— Dobrze.

Mandżaro zarzucił na ramiona wielki, na czarno pomalowany worek z kapturem.

— Ja będę mnichem — powiedział wyciągając cienką szyję z otworu worka.

Paragon parsknął cichutko.

— Ale, bracie, wyglądasz!

— Spiesz się — przynaglał go nadinspektor.

Paragon przy pomocy przyjaciela jął owijać twarz bandażami. Wnet jego głowa zginęła w

białych zwojach. Pozostawili jedynie otwór na usta, nos i oczy. Ponad czołem umieścili dwie małe, czerwone żaróweczki, przewody prowadzące do baterii przeciągnęli pod bandażami, na piersiach przypięli wielką latarkę z reflektorem. Potem Mandżaro owinął Paragona w prześcieradło.

— Pierwszorzędnie! — zawołał, spojrzawszy na przebranego. — Teraz próba świateł.

Paragon włączył najpierw baterie. Nad czołem zajarzyły się czerwone źrenice żarówek. Potem zaświecił latarką. Prześcieradło zapłonęło seledynowym światłem. Mandżaro aż westchnął z zachwytem.

— Mówię ci, robisz wielkie wrażenie.

— Legalnie? — zapytał Paragon.

— Szkoda, że nie mamy lustra. Marsjanin wysiada.

— Zobaczymy.

Na tym urwała się rozmowa. Mandżaro ruchem głowy dał znak do wymarszu. Wyjęli elektryczne latarki, jeszcze raz rozejrzeli się wokół, jakby chcąc pożegnać blask słonecznego dnia, śpiew ptaków i bzykanie owadów. Potem bez słowa pograżyli się w mroku podziemnych korytarzy. Drogę nieźle już znali, więc bez zatrzymania się dobrnęli do miejsca, gdzie rozchodziły się dwa korytarze.

Naradzali się chwilę.

— Ja pójdę do końca, aż do groty — szeptał Paragon — ty zostań tutaj, w bocznym korytarzu. Jeżeli uda mi się wywabić go... — Na myśl o wielkim Marsjaninie słowa utknęły mu w gardle. Zrobiło mu się nagle zimno i nieswojo. — Jeżeli mi się uda, to chodu! Zwiewam, a ty zostaniesz i sprawdzisz, co jest w grocie.

Mandżaro głębiej nasunął kapelusz na oczy. Przed sobą widział białą postać Paragona i na sam jej widok zimne mrowie przebiegło mu po plecach.

— Cześć! — szepnął Paragon. Jego biała postać, prowadzona nikłą strugą światła bijącego z latarki, znikła wolno w długim tunelu podziemnego korytarza.

Zbliżał się do miejsca, gdzie korytarz nagle zaczynał opadać ku grocie. Odetchnął. Mimo przejmującego chłodu czuł, że spocona koszula klei mu się do ciała. Miał ochotę odwrócić się i uciekać. Jakaś podświadoma siła prowadziła go jednak stromym zejściem ku Marsjaninowi.

Kiedy dobrnął do zalanej wodą przełazu, na ścianach skalnych ujrzał szarawy odbłask światła. „Jest — pomyślał. — Teraz trzeba być ostrożnym jak nigdy”. I zaraz, jakby się pozbył strachu, myśl jego zaczęła pracować jasno, niemal bezbłędnie.

„Teraz podejść na krawędź groty, włączyć wszystkie światła i zaryczę — uśmiechnął się z zadowoleniem. — Zobaczymy, jak mu będzie...”

Sama myśl, że wielki Marsjanin może się przestraszyć, wydała mu się ogromnie zabawna. Zatrząsał się cały od tłumionego śmiechu. Naraz znieruchomiał. Usłyszał bowiem, że w grocie ktoś się porusza, światło zakółsało się na ścianach wprawiając w ruch cienie.

Przylgnął plecami do ściany. Nagle opuściła go wesołość, pierzchła gdzieś zuchowatość, pozostał nagi strach. Przesuwał się wolno, krok za krokiem. Tłumił przyspieszony oddech, ale gdy tylko odetchnął, zdawało mu się, że jego płuca grają jak miechy, a serce w trwożnym rytmie rozsada mu pierś. Był już blisko krawędzi. Światło wiszącej u sklepienia latarni oświetlało jaskrawo ściany, rysowało ostrymi cieniami każdy załom. Na dole ktoś był...

Przechylił się i... instynktownym ruchem przetarł powieki... Jeszcze raz spojrzął w dół... Nie mylił się. Nisko, na samym dnie groty, zamiast Marsjanina zobaczył Tajemniczego. Człowiek w granatowej wiatrówce i w berecie klęczał nad otwartą czarną walizką i szperał w niej spokojnie. Był tak zajęty swą pracą, że nie wyczuł obecności detektywa.

Paragon patrzył jak zaczarowany. Nie mógł uwierzyć w to, co widział... Naraz Tajemniczy

wyprostował plecy, uniósł się. Wtedy nasz inspektor odsunął się gwałtownie od krawędzi grotu.

Miał na tyle rozsądku, że nie rzucił się w paniczną ucieczkę, lecz zaczął przesuwać się wolno wzdłuż ściany. Gdy dobiegł do korytarza za schodkami, zatrzymał się. W głębi grotu dochodziły odgłosy kroków. Latarnia zakołysała się nagle, granice cieni i światła przesuwały się ruchem wahadłowym. Był to sygnał do szybszego odwrotu. Paragon wysoko podkasał prześcieradło, odetchnął głębiej i ruszył szybkim krokiem. Gdy jeszcze raz obejrzał się za siebie i stwierdził, że nikt go nie ściga, puścił się biegiem. Jego rozczłapane trampki zatupotały po wyklepanej glinie korytarza, rozwiane poły prześcieradła szybowały jak białe skrzydła.

Przy niszy, gdzie rozchodziły się dwa korytarze, zatrzymał się. Krzyknął zdławionym głosem:

— Mandżaro!

— Co? — usłyszał z głębi drugiego korytarza.

— Zjeżdżamy!

— Co się stało? — Z mroku wysunęła się czarna postać mnicha. Dwie strugi światła skrzyżowały się jak dwie rozżarzone szpady. — Co się stało? — powtórzył Mandżaro, odsuwając kaptur z czoła.

— Tajemniczy! — tyle tylko potrafił z siebie wykrztusić, schwycił Mandżara za rękę, pociągnął za sobą. Nadinspektor ruszył bez słowa sprzeciwu. Zatrzymali się dopiero w kolumnowej sali.

— Tajemniczy tam był? — zapytał zziębnięty Mandżaro.

— Był... widziałem go tak, jak teraz ciebie.

— A Marsjanin?

— Marsjanina nie było.

— To co się z nim stało?

— Nie wiem.

— Może to jego wspólnik? Może go sprzątnął?

— Jeżeli Marsjanin znalazł skarby, to wszystko możliwe.

— Dlaczegoś go nie nastraszył?

Paragon zdarł z głowy bandaż. Twarz miał czerwoną. W jego oczach błąkał się lęk.

— Czyś ty, bracie, zwariował? Tajemniczego? Przecież to największy z naszych przestępców!

— Ja bym spróbował...

Paragon parsknął.

— Szkoda, że cię tam nie było. — Obejrzał się z lękiem za siebie. — Lepiej, bracie, stąd zjeżdżajmy.

Wybiegł z sali, skierował się w lewą stronę, ku murom, gdzie w przepustach między ścianami rosły najgęstsze krzaki. Jak nurek w wodę rzucił się w zieloną gęstwinę. Za nim znikł Mandżaro.

Znaleźli się pod strzelnicą. Prześwit w murach rzucał na krzaki jasny dywan światła. Było cicho i spokojnie. Pod murami rosła puszysta trawa. Dyszeli ciężko.

— To ci, bracie sensacja! — odezwał się Paragon. — Sherlock Holmes też miałby z tym kłopot. Polujemy na Marsjanina, a tu Tajemniczy...

Mandżaro wolno zrzucił z siebie czarny worek.

— Nad tym trzeba się dobrze zastanowić!

— Będziemy myśleli do wieczora i niczego mądrego nie wymyślimy.

— Trzeba się zastanowić, co się stało z Marsjaninem — rzekł z rozwagą Mandżaro. — Czy ty jesteś pewny, że go tam nie było?

— Nie było go, to fakt... chyba że Tajemniczy go sprzątnął i schował do walizki.

— To mało prawdopodobne. Jeżeli Marsjanina nie było w grocie, to znaczy, że musi być gdzie indziej.

— Ale z ciebie filozof — zaśmiał się Paragon. — A jeżeli nie ma go gdzie indziej?

— Nie przeszkadzaj — ofuknął go nadinspektor. Wyjął z kieszeni notes i pogrążył się w rozważaniach. — Przyjmijmy, że Marsjanin odnalazł w grocie skarby, a Tajemniczy śledził go...

— To się nawet zgadza — podjął Paragon. — Fakt, że go szukał w leśniczówce i stale kręcił się na zamku. I pytał o niego Perełkę. To by nawet dość dobrze klapowało.

— Tak. Tajemniczy na pewno śledził Marsjanina, a dzisiaj go odnalazł. Teraz musimy rozwiązać zagadkę, czy on go zakatrupił.

— Zakatrupił — westchnął Paragon.

— To jeszcze nie jest takie pewne.

— Jeżeli tamten znalazł skarby, to Tajemniczy legalnie go zakatrupił. Tak mi dyktuje mój niezawodny mózdzek elektronowy.

Mandżaro pobladł.

— A może twój mózdzek się myli?

— Dałby Bóg, bo strasznie nie lubię truposzów...

W tym momencie spojrzenie Paragona padło na skraj murów. Na tle czystego nieba stał... Marsjanin. Paragon zamrugał powiekami, jakby chciał spłoszyć senną zjawę, lecz zjawa nie miała zamiaru zniknąć. Chłopiec wydał jęk zdumienia. Wyciągniętym ramieniem pokazał w kierunku strzelnicy.

— Marsjanin! — wybełkotał Mandżaro.

Długi jak tyka, pogięty jak korzeń, tajemniczy jak duch — Marsjanin stał zapatrzony przed siebie. Budził podziw i grozę. Chłopcy patrzyli nań jak zaczarowani. Tymczasem zjawa zaczęła schodzić w kierunku przejścia wiodącego do kolumnowej sali.

— To będzie kawał, jak on napatoczy się na Tajemniczego — szepnął Paragon.

— Cii — Mandżaro przytknął palec do ust gestem nakazującym milczenie.

Obaj znakomici detektywi z wielkim napięciem wpatrywali się w niezdarną postać Marsjanina. On natomiast wolnym krokiem zbliżał się do schodków i... minawszy wejście do kolumnowej sali, poszedł ku małemu dziedzińcowi. Paragon zrzucił z siebie resztę przebrania. Zawinęli prześcieradła w worek, ukryli je w krzakach i pospiesznie ruszyli za właścicielem przedpotowego wehikułu. Gdy dobiegli do bramy ujrzeni na drodze jego białą, mocno przybrudzoną furazerkę. Władca podziemnego królestwa majestatycznie zstępował z zamkowej góry.

Paragon mocno ścisnął ramię Mandżara.

— Teraz to już go mamy!

3

Na werandzie willi „Rusałka” pani inspektor Radońska z bajecznym apetytem zajadała drugie śniadanie. Jej zielonkawe oczy uśmiechały się do rumianych bułeczek posmarowanych masłem, do poziomek pływających w śmietanie i do pełnego kubka pachnącego kakao. Pani inspektor miała czułe podniebienie i nieludzki wprost apetyt. Nic więc dziwnego, że po takim śniadaniu, kiedy ogarnęła ją błogość, radośniej mogła spojrzeć na świat i cieszyć się życiem. Nic nie potrafiło zakłócić jej dobrego nastroju — nawet nurtująca ją myśl, że jednak do tej pory nie zawiadomiła nikogo o wspaniałych wynikach swego porannego wywiadu. Była mile zadowolona, że to właśnie ona — dopiero co mianowana inspektorem — wpadła na ślad szajki przestępców. Wszystko bowiem wskazywało na to, że lokatorzy z plebanii stanowią niezwykle ciekawy obiekt dla młodych detektywów. Niepokoiło ją jedynie jedno: co oni mogli zamurować w podziemiach zamku. Słyszała wyraźnie, jak rozmawiali o jakichś płótnach czy płótnie, ale czy dla płótna warto tak bardzo się trudzić i narażać na niebezpieczeństwo?

Wychodząc z domu zapytała matkę, która opalała się w ogrodzie na leżaku:

— Mamusiu, jakie może być drogocenne płótno?

Matka zdjęła przeciwsłoneczne okulary, spojrzała z roztargnieniem na córkę.

— Drogocenne płótno? Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

— Po prostu o płótno!

— Płótno... czy płótno w ogóle może być drogocenne? Mamy kilka gatunków płócien. Są płótna lniane, bawełniane... O jakie płótno ci chodzi?

— O drogocenne, dla którego można by się narażać... które na przykład można by ukraść...

Matka z jeszcze większym zaciekawieniem spojrzała na córkę.

— Ukraść? Płótno? — Pani Radońska z niedowierzaniem kręciła głową. Naraz uniosła rękę do czoła.

— Czekaj, czekaj... Czy nie chodzi o płótno malarskie... po prostu o obrazy?

Teraz na odmianę Jola zrobiła zdziwioną minę.

— Obrazy?

— Tak, obrazy. Fachowcy nazywają obrazy płótnami. Mówi się na przykład: jakie ładne płótno, albo: malarz namalował ciekawe płótno...

— Czekaj, czekaj, mamusiu — Jola uniosła oczy w niebo. — Drogocenne płótno, czyli drogocenny obraz...

— Oczywiście — uśmiechnęła się pani Radońska — można ukraść drogocenne płótno. Dwa tygodnie temu czytałam w „Życiu” o niezwykle zuchwałej kradzieży obrazów z Muzeum Dolnośląskiego we Wrocławiu... Skradziono z pracowni konserwatorskiej kilka flamandów.

— Jakich flamandów?

— Tak się mówi. To znaczy kilka płócien starych mistrzów flamandzkich.

— Czy to coś bardzo cennego?

— O, tak! Takie obrazy bywają nieraz bezcenne.

Jola jeszcze raz wbiła oczy w błękit nieba. Nagle zerwała się do biegu, jakby straciła sześćdziesiąt kilogramów swej solidnej wagi i stała się dobrze nadmuchanym balonikiem.

— Co się stało? — zawołała za nią pani Radońska, ale Jola nie słyszała matki. Jak tocząca się kula wpadła na drogę i skręciła w stronę leśniczówki.

4

Przed plebanią, gdzie droga z zamku krzyżowała się z drogą wiodącą do leśniczówki, pani inspektor wpadła na Perełkę. Chłopiec zachwiał się, z trudnością utrzymał równowagę.

— Mam! — zawołała rozpromieniona Jola. — Zrobiłam sensacyjne odkrycie!

— Ja też — wyszeptał niepewnie.

Jola nie dała mu dojść do słowa.

— Gdzie Paragon?

— Żebym to ja wiedział.

— A Mandżaro?

— Pewno w akcji. Ale powiedz... co to za sensacyjne odkrycie?

— To złodzieje obrazów!

— Kto?

— Ci z plebanii. Ukradli flamandów.

— Flamandów? — Perełka rozdziawił usta. Patrzył na dziewczynę błędnymi z przejęcia oczami.

— Rozumiesz, mistrzów szkoły flamandzkiej! Obrazy!

— To mów, że obrazy, a nie flamandów.

— Idiota!

Perełka nachmurzył się.

— Licz się ze słowami. Jestem starszym inspektorem od ciebie.

Jola odsapnęła.

— Zrozum, we Wrocławiu złodzieje ukradli z muzeum kilka bezcennych płócien...

— Jakich płócien?

— Obrazów... a ja wpadłam na ślady tych złodziei. To właśnie lokatorzy z plebanii!...

— Skąd wiesz?

— Bo mówili o płótnach...

— A co mają płótna do obrazów?

Jola uniosła ręce ku niebu.

— Boże, zlituj się nad tym niedorozwiniętym...

— Wypraszam sobie — oburzył się inspektor Perełka.

— Przecież ci tłumaczę, że płótna to obrazy.

— Może komu innemu to tłumaczyłaś, mnie w każdym razie nie...

— W takim razie zapamiętaj sobie: obrazy w języku fachowym nazywają się płótna.

— Postaram się zapamiętać, ale co z tego?

Jola ściszyła głos.

— Chodzi o to, że ci lokatorzy z plebanii chcą ukryć pod zamkiem skradzione obrazy... słyszałam ich rozmowę... Mają tam cement i coś murują...

— Zgadza się. Cement jest! — zawołał triumfalnie Perełka.

Teraz Jola zbaraniała.

— Skąd wiesz?

— Byłem tam. Widziałem, jak ten malarz z tym drugim nosili cement.

— Byłeś? — zdumiała się pani inspektor.

— A co myślisz! Oni w tym pokrowcu ukryli cement i gips. Dlatego był taki ciężki.

Jola spojrzała na Perełkę niemal z podziwem.

— Jakżeś tam wszedł?

— Od baszty.

— A ja znalazłam nową drogę... wejście, którym oni dostają się do podziemi!

— Fantastyczne! Gdzie ono jest?

— Właśnie, musimy iść zobaczyć, co się tam dzieje. Tylko trzeba uważać, bo to srebrne czupiradło stoi tam na straży.

Po krótkiej naradzie zdecydowali, że razem podejną pod mury zamku i jeszcze raz sprawdzą, jak wygląda położenie tajemniczego wejścia.

Ruszyli w kierunku przystani. Po chwili pieli się już wąziutką ścieżką pod zbocze zamkowej góry. Gdy doszli do jałowców, pod murami baszty ujrzeni ukrytą w cieniu Srebrną. Kobieta siedziała w tym samym miejscu, w którym znajdowała się, gdy Jola opuszczała swą kryjówkę. Poprzez zarośla przeświecały jej bluzka i pasiaste spodnie. Perełka przysunął się bliżej i szepnął Joli do ucha:

— Może byśmy tak ją zwabili na dół?

Jola dała znak, by milczał.

— Nie wolno się zdradzić.

— W takim razie będziemy tu siedzieć do wieczora.

Jola uniosła ostrzegawczo rękę. Spojrzeniem pokazała na wyjście z podziemia. W wąskim przełazie pojawiła się kędzierzawa głowa Tyrolczyka. Po chwili atletycznie zbudowany mężczyzna

stanął przed Srebrną. Rozmawiali ze sobą przytłumionymi, lecz wzburzonymi głosami. Po chwili oboje zabrali się do zawalania wejścia kamieniami.

Zakończywszy robotę, szybko zaczęli zbiegać ze zbocza. Przechodząc obok ukrytych w jałowcach detektywów, zamienili kilka urywanych zdań.

— Musisz się wystarać o cement — mówił Tyrolczyk.

— A skąd ja ci go wezmę?

— Za każdą cenę. Zapytaj... może mają na plebanii...

— A jeśli nie?

— To zaduszę tego...

Tyle tylko nasi znakomici detektywi usłyszeli z tej pełnej napięcia rozmowy. Resztę zagłuszyły osypujące się spod nóg kamyki. Srebrna strzecha i kędzierzawa głowa zniknęły wśród drzew i zarośli. Nasi detektywi odetchnęli z ulgą.

— O czym oni mówili? — zapytała Jola.

— Zabrakło im cementu.

— To się zgadza — wnioskowała w zamyśleniu pani inspektor. — Oni znaleźli najpierw jakieś niedobre, wilgotne miejsce...

— To się zgadza — przerwał jej Perełka dysząc z podniecenia. — Na własne oczy widziałem to miejsce. Podeszło wodą...

— Wszystko się znakomicie zgadza, bo Tyrolczyk już rano martwił się, że może im zabraknąć cementu.

— To świetnie, bo nie skończą przed wieczorem.

— Ale co my teraz mamy robić? — zapytała Jola.

Perełka odrzekł z godnością:

— Ja mam plan. — Spojrzał w stronę wejścia zawalonego kamieniami, a potem wzrok przeniósł na Jolę. Dziewczyna patrzyła wyczekująco. — Teraz tam został sam malarz. On nie taki straszny. Można go łatwo wykołować.

— W jaki sposób?

— Zajdziemy go z obu stron. Ty pójdziesz od tej strony, a ja od dziedzińca, od baszty. Będziemy udawali, żeśmy zabłądzili.

— A jak nas złapie?

— Mówię ci, będziemy udawać, żeśmy zabłądzili w podziemiach.

— Rozumiem. Niezła myśl. Ale jak tamci wrócą?

— Nie martw się. O cement tutaj nie tak łatwo. Zanim go znajdą, to może nam się uda wywieść w pole malarza. Chodzi o to, żeby się dowiedzieć, gdzie oni mają to drugie miejsce. Gdzie chcą zamurować tych flamandów.

— Dobra myśl!

— Jeżeli nam się uda rozpracować do końca całą szajkę, to... — utknął, nie mogąc znaleźć słów.

— W takim razie bierzemy się do roboty.

Perełce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Za chwilę odwalał już pierwszy kamień. Pracy nie mieli wiele, gdyż Srebrna z Tyrolczykiem tylko prowizorycznie zasypali wejście. Gdy oczyścili je z grubszych gładów, Perełka uścisnął dłoń Joli.

— Trzymaj się! Ja walę na basztę.

— Trzymaj się, Perełka — powiedziała Jola.

— Będę cały czas myślał o tobie... bo... bo... Nie masz pojęcia, jak mi się podobaasz!

Jola z radosnym zdumieniem spojrzała w roziskrzone oczy inspektora Albinowskiego.

— I ty jesteś miły... bardzo miły...

— Ciao! — Perełka skinął jej dłonią. Naraz odwrócił się, zręcznymi susami jął ześlizgiwać się ze zbocza.

Jola patrzyła za nim. Powtarzała w myśli jego słowa: „Nie masz pojęcia, jak mi się podobaasz!” Uśmiechnęła się do siebie zalotnie: „Co on przez to chciał powiedzieć? Czy naprawdę mnie tak bardzo lubi?...”

Nie było czasu na rozważania. Pani inspektor zerknęła w stronę oczyszczonego wjazdu. Doznała takiego uczucia, jakby ją coś dławilo, odbierało zdolność poruszania się. Lecz trwało to krótką chwilę. Otrząsnęła się z tego przykrego wrażenia i pomyślała: „Jak udawać, to udawać! Przecież każdemu wolno chodzić podziemnymi korytarzami”.

5

Marsjanin wolnym, majestatycznym krokiem schodził z góry zamkowej ku jezioru. Jego biała furazerka raz ukazywała się w świetle, to znowu ginęła, zapadała w cień. Dwaj detektywi posuwali się skuleni jak psy gończe; z głowami wtulonymi w ramiona, z nosami przy samej niemal ziemi, z oczami wbitymi w szcudłową postać Marsjanina.

Zbliżali się do skrzyżowania.

— Ciekaw jestem, gdzie on pójdzie? — szepnął rozgorączkowany Mandżaro.

Paragon wzruszył ramionami.

— Jeżeli do domu, to wpadł.

— A jeżeli zaraz odjedzie tym swoim gratem?

— To mu poprzebijamy opony.

Tymczasem Marsjanin skręcił w stronę przystani. Po drodze zatrzymał się przy kiosku „Ruchu”. Chłopcy śledzili go bacznie.

— Zdaje mi się, że Tajemniczy to jego współnik — zauważył Mandżaro.

— Legalnie. On go zostawił w grocie, a sam... — urwał, gdyż nie wiedział, co właściwie miał zamiar zrobić Marsjanin.

W tej chwili na przykład kupował cały plik gazet i czasopism. Aż dziwne wydało się naszym detektywom, że tak tajemniczy człowiek kupuje i czyta zwykłe gazety. Jedną z nich rozpostarł już przy kiosku i wlepiwszy w nią oczy, ruszył jeszcze wolniejszym krokiem.

Paragon trącił Mandżara łokciem.

— Te... ja czytałem, że przestępcy porozumiewają się czasem gazetowym szyfrem. Dają ogłoszenia do prasy...

— Możliwe, że on szuka jakiegoś znaku od swoich.

— To prawie pewne. Po co tak filuje do „Expressu”?

Wygrzebali się z przydrożnego rowu. Kryjąc się za drzewami, krok w krok szli za Marsjaninem. Gdy ten przystawał na chwilę, by odwrócić stronę gazety, chłopcy jak szperacze dawali nura w chwasty rowu; gdy ruszał przed siebie, wyskakiwali z rowu i kryli się za pniami drzew.

W ten sposób doszli do przystani.

Wśród potężnych pni topoli i wiązów ukazała się pomarszczona tafla jeziora. Dwa kajaki pruły toń jak dwie wielkie ryby, w dali biały żagiel przesuwiał się na tle drugiego brzegu. Z głośnika płynęła senna melodia włoska. Marsjanin zatrzymał się przy pomoście, uniósł dłoń do oczu i zakrzepł na chwilę w tym ruchu, pełnym wyczekiwania. Wyglądał jak ktoś, kto zabłądził i nie wie, dokąd iść.

Nagle szybkim ruchem złożył gazetę, odwrócił się i przyspieszonym krokiem skierował się do kawiarenki. Wszystkiego mogli spodziewać się nasi detektywi, ale nie tego. Przed sekundą zdawało im się, iż za chwilę zniknie w przybrzeżnym sitowiu, jak znikł w podziemiach zamku. Tymczasem

wielki Marsjanin najzwyczajniej w świecie wszedł do kawiarenki, minął kilka barwnych parasoli i — o dziwo! — usiadł sobie spokojnie w najdalszym i najbardziej ocienionym kącie. To nie mogło zadowolić naszych Sherlocków Holmesów. Było zbyt codzienne i zwyczajne.

Mandżaro skrzywił się.

— Te! — syknął na Paragona. — On mi coś za bardzo udaje.

— Pewno odgrywa zwykłego wczasowicza — rzekł rozczarowany inspektor. — To ich system.

— Może się maskuje?

— Legalnie, że się maskuje. Szkli nam oczy...

— A czy on wie, że my...

— Pewno się domyśla.

— Eee, nie. Trzeba go zaskoczyć.

— Jak?

Paragon przesunął kolarzkę z czoła na sam czubek głowy. Był to znak, że intensywnie myśli. Twarz jego spoważniała. Brwi zbiegły się nad przymrużonymi oczami.

— Jak ciocię kocham — westchnął. — Teraz nie damy rady bez pomocy szanownej milicji. Nadszedł czas, żeby go aresztować.

— Co ty? — Mandżaro z przerażeniem patrzył na Paragona.

— Legalnie, aresztować.

— Naszego Marsjanina?!

— Sherlock Holmes też nieraz używał agentów ze Scotland Yardu.

— Ale my nie.

— Jak chcesz. Ale jeżeli nam jeszcze raz zniknie, to ja za to nie odpowiadam.

Nie odrywali oczu od stolika, przy którym siedziała ich ofiara. Marsjanin w tej chwili zamawiał u kelnerki. Gdyby mu za chwilę przyniosła półmisek dymiący piekielnymi wyziewami, też by się zbyt nie zdziwili. Ale nic podobnego. Kelnerka przyszybowała z pawilonu z tacką, na której widać było nakrycie do normalnego śniadania — filiżanka, spodeczki, rogaliki, masło, kawa. Położyła tackę przed władcą podziemi i bezszelestnie znikła. Wielki Marsjanin zabrał się do jedzenia. Tego było już za wiele. Paragon szepnął ze złością:

— On sobie za dużo pozwala. Wał, bracie, po komendanta milicji!

— Teraz?

— Zanim wtroi śniadanie, będzie już w kajdankach.

Mandżaro wahał się chwilę, ale wnet również doszedł do przekonania, że nadarza się nadzwyczajna okazja do skończenia z groźnym przestępcą. Nadinspektor wydał ostatnie rozkazy:

— Nie spuszczań go z oka, a jak będzie chciał odejść, to zatrzymaj go za wszelką cenę. Ja walę...

To powiedziawszy, indiańskim krokiem przebiegł pierwsze pięćdziesiąt metrów, potem wyprostował się i jak sprinter ruszył w kierunku wioski. Jego pięty tylko migwały na jasno osłonecznionej drodze.

Paragon został sam. Po jakimś czasie znudziło mu się sterczeć pod płotem, postanowił wejść do kawiarenki.

Miał w kieszeni jeszcze kilka złotych, które zostały mu po kupnie prezentu dla pani Lichoniowej. Nic więc nie stało na przeszkodzie, by usiąść w pobliżu groźnego Marsjanina i skosztować porcji lodów. Właściwie tak jest bardziej elegancko i godnie. Porządny inspektor nie będzie sterczał jak byle pęta pod płotem.

Wygrzebał się z krzaków, doprowadził do porządku ubranie, przyliżał dłonią niesforne włosy i z miną bywalca najwytworniejszych lokali wszedł do ogródka. W kawiarence było niemal pusto. Prócz

Marsjanina pod parasolem siedziała jeszcze jakaś pani z małym brzdącem i karmiła go ciastkami. Paragon wbił dłonie w kieszenie, zadarł lekko nosa i świszcząc cichutko swoje „Ri-fi-fi”, przedfilował wzdłuż całej kawiarenki. Wybrał stolik naprzeciw Marsjanina. Usiadł z miną angielskiego lorda. Wytarł rękawem blat stołu, założył nogę na nogę, kącikami oczu zerknął w stronę Marsjanina. Ten tkwił na swoim miejscu: nachylony nad gazetą, jedną ręką kruszył rogalik, drugą trzymał nie dopitą kawę. Zdawało się, że w ogóle nie spostrzegł naszego detektywa.

„Udaje, że mnie nie widzi — pomyślał inspektor. — Poczekaj! Zobaczymy, kto kogo przetrzyma. Nie chciałbym być na twoim miejscu!”

Ruchem milionera uniósł do góry rękę i zawołał w stronę zbliżającej się kelnerki:

— Pani szefowo, jedno małe lody za dwa złote!

Kelnerka krytycznym spojrzeniem ogarnęła nowego klienta.

— Za dwa złote to możesz dostać przy bufecie.

Paragon trzepnął dłonią w stół.

— Pani szefowa wybaczy, ja mam życzenie skonsumować przy stoliku.

— To dużą porcję, za pięć...

— Może być — wykonał gest, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na takie drobiazgi, jak cena.

To rzekłszy, spojrział w kierunku Marsjanina, który pochylony nad gazetą, z filiżanką w jednej, a rogalikiem w drugiej dłoni, nie zwracał uwagi na otaczający go świat.

„Legalnie się maskuje — myślał Paragon oczekując na porcję lodów. — Ale smutna jego dola”.

Już wyobrażał sobie dumnego Marsjanina zakutego w kajdanki, prowadzonego wzdłuż przystani. Ludzie przystają, tłoczą się na drodze zdumieni niecodziennym widokiem, a on i Mandzaro kroczą dumnie obok złoczyńcy. Wszyscy szepcą: „To oni złapali niebezpiecznego przestępcę”. A dwaj detektywi z godnością powtarzają: „Proszę się rozejść! To nic ciekawego. Proszę nie hamować ruchu!”

Jego spojrzenie powędrowało znowu w kierunku Marsjanina. Ten uniósł właśnie do ust świeży rogalik. Czynił to tak wolno, jakby rogalik ważył tonę...

Wtedy kelnerka postawiła przed inspektorem Paragonem lody.

6

Komendanta Antczaka nie było na posterunku.

— A gdzie pan sierżant może być? — zapytał Mandzaro tkwiącego za stołem milicjanta.

Przedstawiciel władzy ogarnął detektywa badawczym spojrzeniem.

— A ty co chciałeś od pana sierżanta?

Mandzaro dygotał z przejęcia i zdenerwowania.

— Ja... ja w ważnej sprawie...

— To mów.

— Kiedy ja chciałem osobiście z panem sierżantem.

Milicjant spojrział ostrzej. Postać chłopca wydała mu się podejrzana. Mandzaro był spocony, rozczochrany, brudny. We włosach miał cały zielnik, a na spodniach i koszuli mapę geologiczną okolicy.

— Co się stało? — zapytał milicjant.

— A nic — Mandzaro starał się głosowi nadać jak najobojętniejszy ton. — Chciałem rozmawiać osobiście z panem sierżantem Antczakiem.

— Pan sierżant poszedł na obchód.

— Dziękuję.

Mandzaro okręcił się wokół swej osi i wybiegł z posterunku. Zaraz za progiem zatrzymał się. Był

zrozpaczony. Co teraz robić? Gdzie szukać komendanta? Jeżeli go nie znajdzie natychmiast, Marsjanin gotów uciec, a wszystkie wysiłki pójdą na marne.

Przed nim ciągnęła się pusta, zalana jaskrawym słońcem ulica. Pod oknem sąsiedniego domu wygrzewał się wielki, czarny kot. Przez drogę przemknął rowerzysta, pozostawiając za sobą dymek złotego pyłu. Zgarbiona kobiecina z wiązką chrustu na grzbiecie przecięła ulicę i jak cień zginęła w opłotkach. Słońce lało na ziemię żar i spiekotę. Mandżaro stał chwilę bezradny. Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Ruszył więc desperacko w stronę wieży straży pożarnej. Naraz zatrzymał się przed Gospodą Ludową. Ze środka dochodziły podniesione głosy... ktoś śpiewał... ktoś wykrzykiwał... słychać było pobrzękiwanie szkła.

Mandżaro wbiegł do pierwszej sali. Doznał wielkiej ulgi. Przy bufecie ujrzał bowiem rozłożyste, ciasno opięte mundurem plecy sierżanta Antczaka. Komendant, z wyrazem błogości na pełnej twarzy, sączył pieniste piwo. Nadinspektor doskoczył do niego jak sprężyna, złapał go za rękaw.

— Panie komendancie, mamy Marsjanina!

Sierżant wybałuszył na niego oczy.

— Co ty, chłopcze, bredzisz?

— Złapaliśmy go na zamku.

Komendant posterunku był wyraźnie niezadowolony, że przerwano mu ceremonię picia piwa.

— Kogo? — zapytał ospale.

— Tego, co mieszkał w leśniczówce... co pan sierżant pytał o niego.

— Jakiego Marsjanina?

— My go tak nazywamy.

— Kto?

— No, my... zresztą to nieważne. Siedzi teraz na przystani w kawiarni.

Sierżant nic nie mógł zrozumieć z chaotycznego opowiadania chłopca. Otarł z warg smakowitą pianę, odsapnął i rzekł sennym głosem:

— Tobie się coś pomieszało.

— Daję słowo honoru, że to ten sam, który przyjechał do leśniczówki tym starym gratem.

— Aaa! — dopiero teraz do świadomości przedstawiciela władzy dojrzała myśl, że chłopiec przynosi cenną wiadomość. — Gdzie on jest?

— Na przystani, w kawiarni! — Mandżaro szarpnął za rękaw sierżanta. — Niech pan natychmiast idzie, bo nam może uciec!

— Spokojnie, spokojnie, mnie nikt jeszcze nie uciekł — powiedział sierżant i jednym tchem wyduldał pół dużego kufla. Jeszcze raz wytarł usta, poprawił pas na brzuchu i uroczystym krokiem ruszył za chłopcem.

7

Pan inspektor Paragon dawno już wylizał lody ze spodka, a tymczasem Mandżara z komendantem nie było widać. Zaczął się denerwować. Miał poważne powody. Marsjanin przed chwilą skończył przeglądanie prasy i nagle przypomniał sobie, że kawa i świeże rogaliki nie służą jedynie do ćwiczenia sprawności i wytrzymałości rąk. Jął więc w piorunującym tempie pochłaniać resztę darów bożych. Wnet w jego nienasyconym żołądku znikło całe śniadanie. Paragonowi przez chwilę zdawało się, że połknie wszystkie spodki, łyżki i z apetytem schrupie szklankę. Marsjanin poprzestał jednak na artykułach żywnościowych. Kiedy połknął ostatni kęs i popił go ostatnim łykiem kawy, zwrócił swą długą, zarosniętą twarz w stronę pawilonu i ryknął tubalnym głosem:

— Proszę płacić!

Paragonowi zrobiło się nagle gorąco. „Odejdzie — pomyślał. — Co się z nimi stało? Dlaczego

„tak długo nie przychodzi?” Poczul, że na czoło występuje mu pot. Czas nagle rozpedził się, zaczął bezlitośnie uciekać. Wnet przy stoliku Marsjanina zjawiała się kelnerka. Wypisała na bloczku rachunek.

„Zatrzymaj go za wszelką cenę!” — przypomniał sobie ostrzeżenie Mandżara.

Łatwo mu było powiedzieć: zatrzymaj. Ale co teraz robić?

Tymczasem Marsjanin odebrał już resztę, złożył gazety. Miał odchodzić... Paragon wciąż tkwił bezradnie. Naraz, jak zbawienie, przyplątała się myśl: zemdleć! Wydał głośny okrzyk, podobny do jęknięcia ducha, wyprostował się, stęzał i naraz osunął się z krzesła na trawę...

Gdy upadł na ziemię, pomysł wydał mu się tak beznadziejnie głupi, że aż wstyd go ogarnął. Nie wypadało jednak wycofać się, zwłaszcza że przez szparkę w powiekach dostrzegł zbliżającego się Marsjanina.

„Chwyciło” — pomyślał zadowolony.

Twarzy swej starał się nadać wygląd najprawdziwszego truposza. Rozchylił więc lekko wargi, wywalił oczy do góry i przymknął powieki. Nad sobą wyczuwał pochylającego się Marsjanina. Naraz doznał wrażenia, że jakaś winda unosi go ponad wierzchołki drzew. Był na rękach władcy podziemi. Ponad nim — gdy uchylił lekko powieki — błękitniało niebo. Tubalny głos huczał nad jego uchem:

— Niech pani przyniesie trochę lodu. Zaraz mu przejdzie. To pewno z upału.

Przez chwilę szybował w powietrzu na rękach wielkoluda. Wnet jednak wylądował na trawie, pod zwisającymi gałęziami, gdzie panował przyjemny chłód.

„Trzymaj się, Paragon — myślał z uporem. — Udawaj truposza, bo inaczej źle z tobą będzie”.

Marsjanin nachylił się nad nim. Przytknął ucho do piersi chłopca.

— W porządku — zawyrokował. — Nic strasznego. Chwilowe osłabienie.

Zrzucił z siebie wiatrówkę, zwinął ją w walek, podłożył chłopcu pod głowę.

Paragon leżał bezwładnie. Starał się wstrzymać oddech, lecz im dłużej z nim walczył, tym oddychał normalniej.

Myślał o jednym — żeby nareszcie zjawił się Mandżaro.

Zamiast Mandżara nadeszła kelnerka z kubelkiem pełnym lodu. Marsjanin wpakował pełną garść kruszywa do swej chusteczki i przytknął do czoła chłopca. Okruchy lodu posypały się na pierś i za kołnierz naszego detektywa. Zdawało mu się, że za chwilę zerwie się i, nie zważając na Marsjanina, zacznie wytrzępywać zza koszuli kawałki lodu. Ale dzielnie wytrzymał tortury. Zacisnął zęby i powtarzał w myśli: „Żeby tylko przyszedł Mandżaro! Żeby tylko skończyła się ta heca!”

— Lepiej ci już? — usłyszał nad sobą głos Marsjanina.

— Lepiej — pisnął nieśmiało.

— Nic ci nie będzie. To od tego piekielnego upału.

Paragon nieśmiało otworzył oczy. Najpierw zobaczył wielkie szkła okularów, a w szklach odbicie swej twarzy. Była tak przeraźliwie głupia i komicznie śmieszna, że miał ochotę parsknąć, ale w tym położeniu nie wypadało. Wykrzywił się więc płaczkliwie i wyszeptał najniewinniejszym głosem:

— Tak mi niedobrze — i jeszcze raz opadł na ziemię.

— Niech pani przyniesie coś zimnego do picia — rozkazał Marsjanin kelnerce.

Paragon dyszał ciężko, pojękiwał.

— Może cię brzuch boli? — zapytał Marsjanin.

Na to tylko czekał nasz dzielny detektyw.

— Oj, boli, boli... — potwierdził gorliwie. Jeszcze raz łypnął okiem w stronę furtki. Nikt nie

nadchodził.

„Jak długo da się go tutaj przetrzymać? — myślał, pojękując tak boleśnie, że wzbudziłby współczucie w najbardziej zatwardziałym i nieczułym człowieku. — Jeżeli oni zaraz nie przyjdą, to chyba udam, że dostałem ataku padaczki!”

Kelnerka zjawiała się ze szklanką zimnej wody sodowej. Marsjanin zatrzymał ją w połowie drogi:

— On ma boleści. Lepiej będzie dać mu gorącej herbaty.

— Wody czy herbaty? — zabrzmiał jej zniecierpliwiony głos.

— Mówię pani, że herbaty! — odrzekł ostro Marsjanin.

Na Paragona biły już ósme poty. Pojękiwał cichutko i lewym okiem łypał w stronę furtki. Naraz odetchnął. Na drodze ujrzał bowiem jasną czuprynę Mandżara, a za nim w blasku słońca błysnął srebrny orzełek na czapce komendanta.

— Lepiej ci? — usłyszał nad sobą głos Marsjanina.

— O, tak, dużo lepiej — rzekł z ulgą. Uniósł się na łokciach. Odsiecz zbliżała się. Byli już przy furtce. Już pod parasolami... Już o kilka kroków... Paragon nagle ozdrowiał. Podkurczył nogi, wstał tak sprężysto, że Marsjanin zbaraniał ze zdumienia. Chciał coś powiedzieć. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, zwała się na niego ciężka postać sierżanta.

— Proszę dowód osobisty! — wyrębał komendant najniższym basem, na jaki go było stać.

Marsjanin prostował wolno swą pokrzywioną postać. Paragon patrzył nań z przerażeniem. Oczekiwał cudu. Zdawało mu się, iż za chwilę władca podziemi albo rozplynie się w powietrzu, albo zrobi coś nadzwyczajnego. Naraz Marsjanin zdjął okulary i z niezwykłym zdumieniem spojrzął na przedstawiciela władzy.

— Czego pan właściwie sobie życzy?

— Dowód osobisty! — powtórzył ostro komendant.

— Pan chyba żartuje?

— Nie mam zwyczaju żartować — komendant energicznie wysunął rękę po dowód.

Po chwili Marsjanin z tylnej kieszeni szortów wyciągnął dobrze sfatygowaną książeczkę. Ze złośliwym grymasem na ustach wręczył dowód sierżantowi.

— Jeżeli pan sobie życzy... proszę bardzo... ale to chyba jakaś pomyłka.

— Dobrze, dobrze — uspokoił go sierżant. Szybko otworzył dowód. Odszukał stronę z fotografią. Jego spojrzenie przeskakiwało teraz z fotografii na twarz Marsjanina i z powrotem. Nagle zagadnął:

— Jak się pan nazywa?

— Seweryn Nieszporowicz.

— Miejsce zamieszkania?

— Wrocław.

— Zawód?

— Profesor uniwersytetu.

Zaległa cisza. Chłopcy zamienili pełne zawodu spojrzenia. Komendant posterunku jakby się skurczył i nagle stracił swoją urzędową postawę. Wszystko nabrało innego smaku, innego znaczenia.

Ciszę przerwał spokojny głos Marsjanina:

— Czego pan właściwie chce?

Sierżant oddawał mu dowód.

— Przepraszam... zdaje mi się, że to rzeczywiście... pomyłka.

— Nie rozumiem, o co właściwie chodzi?

Sierżant znowu przypomniał sobie, że jest przedstawicielem władzy. Pełnym głosem huknął na chłopców:

— Co to właściwie znaczy?

Mandżaro wbił wzrok w ziemię. Paragon cofnął się o pół kroku.

— Przecież pan sierżant kazał meldować...

— O czym meldować?

Paragon wzruszył ramionami. Nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— O czym meldować? — zapytał ubawiony Marsjanin, który właściwie przestał być Marsjaninem.

Sierżant uczynił niewyraźny gest.

— Bo też pan profesor narobił tutaj galimatiasu.

— Ja?

— Pan — rzekł pewniej sierżant. — Po pierwsze, nie zameldował się pan...

Marsjanin poprawił okulary.

— Rzeczywiście... zapomniałem.

— Po drugie, znikł pan jak duch, nie powiedziawszy w leśniczówce ani słowa.

Marsjanin uniósł dłoń do czoła.

— Zaraz... zaraz, czy ja rzeczywiście nie powiedziałem, że idę na kilka dni biwakować do groty?

— Rzeczywiście pan nie powiedział. Jak tak można zniknąć?

— Przepraszam, byłem tak zajęty, że widocznie zapomniałem.

— A po trzecie, niech to dunder świśnie, co pan profesor porabia na dnie zamkowych podziemi?

Profesor nerwowym ruchem zerwał okulary.

— Jak to: co? Pracuję...

— Czy nie może pan profesor wybrać sobie odpowiedniejszego miejsca?

Uczony Marsjanin przecierał zmęczone oczy.

— To właśnie najodpowiedniejsze miejsce dla mojej pracy naukowej. Jestem profesorem zoologii i teraz zajmuję się fauną grot i podziemi.

Domniemany przestępca, groźny władca podziemi, tajemniczy Marsjanin jest badaczem pajęczków, much i nietoperzy? Chłopcy nie wiedzieli, co z sobą począć. Komendant posterunku nadrabiał miną.

— To rzeczywiście pomyłka — rzekł z mdłym uśmiechem. — Serdecznie pana profesora przepraszam, a na przyszłość radziłbym zastosować się do przepisów... zwłaszcza że na zamku przez ten czas działały się różne rzeczy... — W tym miejscu mrugnął porozumiewawczo do stojącego obok Paragona. Ten dla dodania sobie odwagi chrząknął i przełknął głośno ślinę.

— My też... — zaczął nieśmiało, potykając się na każdym słowie. — My też... przepraszamy... szanownego przedstawiciela nauki... Myśleliśmy, że pan profesor... występuje w charakterze przestępcy.

Profesor baczniej przyjrzał się stojącym u boku komendanta detektywom. Przetarł okulary i nagle całym jego długim i pokręconym ciałem wstrząsnął spazmatyczny śmiech.

— Przestępca! Przestępca! — powtarzał. — To pewno wy byliście dzisiaj w mojej grocie?

Paragon nie śmiał mu spojrzeć w oczy. Skinął tylko potakująco głową.

Profesor ujął go pod brodę.

— Masz wielkie zdolności aktorskie. To zemdlenie odegrałeś jak artysta...

— Musiałem się maskować... — wybąknął.

— A skądże wpadliście na ten pomysł, żeby mnie śledzić?

— Wydedukowaliśmy — wtrącił Mandżaro.

— Przestępca! — parsknął jeszcze raz profesor. — Dobrzeście mnie ubawili. A skoro naprawdę

chcecie poznać życie podziemi, to przyjdźcie do mnie jutro. Właśnie jutro mam zamiar obrączkować nietoperze. A teraz do widzenia, chłopcy! Mówię wam, że ubawiłem się setnie... — skinął chłopcom głową i pogroził im żartobliwie. Odchodząc, zwrócił się do sierżanta: — Przepraszam, że pana niepokoiłem. Dzisiaj postaram się zameldować.

Skłonił się, a po chwili kołyszącym krokiem przemierzał już przestrzeń między parasolami.

Mandżaro trącił łokciem Paragona.

— Te! — szepnął. — Może go ostrzec przed Tajemniczym?

Paragon kopnął go w kostkę.

— Cicho! Jeżeli sypniesz Tajemniczego, to kto nam zostanie?

Mandżaro wzruszył ramionami. Patrzył za kołyszącą się postacią profesora, badacza podziemnej fauny, naukowca, który jeszcze przed kilkoma minutami był groźnym Marsjaninem i budził w nich strach. Profesor przeszedł już całą kawiarenkę, a gdy znalazł się za furtką, obejrzał się i z uśmiechem skinął ręką.

Paragon odpowiedział mu skinieniem.

— Niech to gęś kopnie — rzekł z goryczą. — Mamy cholernego pecha do naukowców.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1

Jola została sama. Przed nią widniało wąskie i niskie wejście do podziemnego korytarza. Gdy Perełka znikł wśród zalegających zbocze jałowców i głogów, pani inspektor zawahała się: „A może zawołać go i odradzić ryzykowną wyprawę?” Wnet jednak doszła do przekonania, że byłoby to po prostu tchórzostwem. „Na obiad prawdopodobnie będę już w domu” — pomyślała i z desperacką zaciętością rzuciła się w czarną czeluść. Przejście było wąskie. Z trudem precyzyjnie przeczesała się przez przełaz. Po chwili znalazła się w małej niszy omurowanej płaskimi ciosami. Zaświeciła latarką. Po słonecznym blasku promień bijący z latarki wydał się tak nikły, że z trudem odsłaniał przed nią drogę. Dopiero gdy zwężone źrenice przywykły do mroku, ujrzała przed sobą spróchniałe pale, podtrzymujące kamienne sklepienie. Między palami, po omszałych ścianach, spływały rdzawe strumyki wody. Powietrze było duszne i stęchłe.

Szła wolno, ostrożnie, przystając co chwila i rozglądając się dokoła. Długi korytarz zdawał się nie mieć końca. Napełniał go gęstniejący mrok i niemal niedosłyszalne szmery. Było ciemno. Poczowała się zupełnie osamotniona, jakby ten mrok odgradzał ją od reszty świata. Zadrżała... Chciała zawrócić, kiedy w głębi korytarza usłyszała coś jak ciche westchnienie. Ogarnął ją strach... Przyłgnęła do wilgotnej, śliskiej belki i szeroko rozwartymi oczami śledziła czarny tunel.

„Może mi się tylko tak zdawało” — przemknęła pokrzepiająca myśl. W tunelu znowu było pusto i głucho. Jola ruszyła przed siebie. Żwir cienko zazgrzytał pod jej sandałami. „Kiedy nareszcie skończy się ten przeklęty korytarz?”

Zanim to pomyślała, krąg światła z jej latarki natrafił na ślepa ścianę. Wydawało się, że korytarz kończy się w tym miejscu, lecz rozejrzawszy się, z lewej strony spostrzegła niskie wejście do bocznego odgałęzienia. Czarny otwór zionął jeszcze gęstszym mrokiem. Biło zeń lodowatym chłodem.

Jola zatrzymała się. Wpatrzona w czarny otwór stała nieruchomo. Nie miała odwagi ruszyć się ani nawet głębiej odetchnąć. Wtedy znowu, jakby spod ziemi, doszły do niej jakieś odgłosy — podobne do podzwania opuszczonym łańcuchem. Drgnęła.

„Zawrócę — pomyślała z ulgą. — Nie ma sensu narażać się dla zabawy... Chłopcy Klub Detektywów traktują strasznie poważnie, ale przecież to tylko zabawa... A jednak nie wypada wycofywać się... Tam z drugiej strony idzie Perełka... On liczy na mnie... Nieładnie byłoby go zawieść... Niech się dzieje, co chce!”

Myśl o Perełce, który zbliżał się od strony baszty, dodała jej odwagi. Ruszyła przed siebie.

Strome schody opadały gwałtownie na dno czarnej czeluści. Schodząc, Jola doznała wrażenia, że za każdym stopniem otwiera się pod nią niezgłębiona otchłań. Schodziła wciąż niżej... niżej... Naraz znalazła się w podziemnej pieczarze. Światło latarki rozlało się, rozproszyło... Z głębi mroku wyłoniły się ocembrowane ściany... Jola odetchnęła... Zrobiła jeszcze kilka kroków. Wtem w oczy chlusnęła jej smuga jasnego światła... Oślepiła ją zupełnie jak cios zadany między oczy. Krzyknęła krótko, rozpaczliwie. Ktoś schwycił ją za ramię i w tej samej chwili usłyszała napięty głos:

— Co ty tu robisz?

Latarka wypadła jej z rąk. Potoczyła się po kamieniach, zgasła. Ludzki głos nabrał tajemniczej barwy:

— Co ty tu robisz?

Nie mogła pozbierać spłoszonych myśli, długą chwilę milczała. Nagle ocknęła się, wszystko wydało jej się proste i nawet nieco komiczne. Przecież człowiekiem, który ścisnął jej ramię, mógł być tylko malarz z plebanii. Powiedziała więc normalnym głosem:

— O, jak dobrze, że pana spotkałam... zdaje mi się, że zabłądziłam.

Spoza ściany świata ujrzała chudą, bladą twarz malarza. W jego oczach tkwiło przerażenie.

— Kto cię tu sprowadził?

— Mnie? — wzruszyła ramionami. — Ja tu sama przyszłam.

— Nie kłam! Jak tu trafiłaś?

— Normalnie.

— Kłamiesz! — zawołał. Przyciągnął ją bliżej i jeszcze mocniej ścisnął jej ramię.

— Dlaczego pan się tak denerwuje? Mówię panu, że zabłądziłam... Nie przypuszczałam, że te podziemne korytarze są takie długie — powiedziała z nutką kpiny. Strach zupełnie ją opuścił. Zdawało jej się, że malarz bardziej od niej się boi.

— Jak się tutaj dostałaś?

— Od strony przystani.

— Wejście było otwarte? — zdumiał się.

— Po prostu znalazłam dziurę... Myślałam, że to grotta, i weszłam. Byłabym panu bardzo wdzięczna, gdyby mnie pan stąd wyprowadził, bo zdaje mi się, że sama nie dam rady.

Powiedziała to tak prosto, tak naturalnie, że malarz zamilkł na chwilę. Jola nie dała mu jednak wytchnienia. Z nutką zadowolenia zapytała:

— A pan?... Co pan tu robi?

Malarz zaklął. Potem nachylił się nad nią i rzekł syczącym, wściekłym głosem:

— Słuchaj, jeżeli powiesz komukolwiek, że mnie tu widziałaś, to... zapamiętaj, że koniec z tobą...

Jola zrozumiała, że w tej chwili skończyła się towarzyska rozmowa. Wzruszyła jednak ramionami i powiedziała zdziwiona:

— No, wie pan... a co mnie to wszystko obchodzi?

Malarz jeszcze mocniej ścisnął jej ramię.

— Pamiętaj... nikogo tutaj nie widziałaś i w ogóle tutaj nie byłaś.

— Jeżeli panu na tym zależy, to mogę w ogóle nie wiedzieć o pana istnieniu.

— I o istnieniu tego wejścia, rozumiesz?

— Rozumiem. I w ogóle mogę o niczym nie wiedzieć. Błagam tylko, żeby mnie pan wyprowadził z tych potwornych ciemności, bo niedługo mam obiad i mama się będzie denerwowała.

Malarz odetchnął z ulgą. Pani inspektor tak znakomicie odegrała rolę niewinnej dziewczynki błądzącej w podziemiach zamku, że mistrz palety uspokoił się niemal zupełnie. Teraz chodziło jedynie o to, żeby ją wyprowadzić z podziemi, zanim wrócą współnicy. Wyciągnął więc z kieszeni chustkę.

— Nie bój się — zwrócił się do Joli — muszę ci zawiązać oczy. Za dziesięć minut będziesz już poza zamkiem.

Pani inspektor wyczuła, że malarz znalazł się w kropce, więc powiedziała:

— Czy ta chustka jest koniecznie potrzebna?

Malarz jednak nie zwracał uwagi na jej protesty. Zawiązał jej mocno oczy, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

2

W momencie kiedy malarz wyprowadził Jolę z pieczary, Perełka dojrzał do drzwi, które dzisiaj

rano zabezpieczył pętlą z drutu. Teraz odkręcił drut. Deski zaskrzypiały jękliwie. Potem nagle ucichło. Napłynęła aksamitna fala ciszy. I wtedy Perełce zdało się, że w górze, w ciasnym korytarzyku, słyszy czyjeś kroki. Znieruchomiał. Kroki zbliżały się. Teraz był już pewny, że ktoś za nim idzie. Przeraził się. Droga odwrotu została odcięta.

Zatrzasnął za sobą drzwi i błyskawicznie zaplótł pętlę, tak że dwa splecione końce pozostały po jego stronie. Potem niemal biegiem przemierzył pieczarę, w której rano natknął się na pokrowiec z workiem cementu. Pokrowiec leżał na starym miejscu.

Perełka bez trudu znalazł korytarz, którym rano przybyli malarz ze swym towarzyszem. Kiedy się weń zapuścił, za sobą usłyszał odgłos trzeszczenia desek. Ktoś szamotał się z zadrutowanymi drzwiami.

Pan inspektor przyspieszył kroku. Był pewny, że za chwilę natknie się na malarza albo spotka Jolę...

Przebiegł może pięćdziesiąt kroków, gdy nagle ujrzał przed sobą kilka wielkich, drewnianych słupów, tworzących rodzaj obudowania. Jeden z nich, spróchniały i porośły mchem, leżał zwalony w poprzek korytarza. Przesadził go jednym skokiem i znalazł się naprzeciw nowych drzwi. Pchnął je. Poleciały z łoskotem na ziemię...

Zamarł w nagłym przerażeniu. Znowu zaległa cisza. Tylko w dali, za jego plecami, wciąż słychać było łomotanie i trzeszczenie desek.

„Jeszcze nie otworzył” — przemknęło mu przez głowę. Stał na przewalonych, starych wrotach, przejechał latarką po ścianach. Znajdował się w nowej pieczarze. Była obszerna, sucha, zavalona starymi, zbutwiałyymi deskami.

Znalazł drogę między zwałami drzewa, świeże wdeptane w glinę ślady butów zaprowadziły go do mniejszej i prawie pustej groty... Gdy stanął u jej wejścia, zatrzymał się gwałtownie. Biegący za światłem latarki wzrok natrafił nagle na zbitą z desek platformę, na której widniały resztki wilgotnego jeszcze cementu.

„Jest! — pomyślał oszołomiony tym widokiem. — Jest miejsce, o którym wspominała Jola. Tutaj zapewne szajka stara się ukryć skradzione obrazy”.

Nie mylił się. Tuż za platformą ujrzał naturalne wgłębienie zamurowane niemal całkowicie... Rzucił się w tym kierunku. Przez szczelinę w wilgotnym jeszcze murze wsadził rękę do wnętrza wgłębienia. Napotkał chłodny metal.

Drżącymi palcami zaczął o krawędź omurowania. Natrafił na kanciasty kamień. Szarpnął go. Kamień nie ustąpił. Szarpnął powtórnie... Teraz świeże omurowanie rozsypało się, przygniatając chłopcu rękę. Syknął z bólu. Odgarnął kamienie i jeszcze raz sięgnął do środka. Gładki, metalowy przedmiot miał okrągławe kształty. Podważył go dłonią i szybko wyłuskał z wgłębienia. Gdy zaświecił latarką, zobaczył prawie metrową blaszaną tuleję. Była niezbyt ciężka. Przyjrzał się jej uważniej, z obu końców miała zalutowane dna. Potrząsnął tuleją. Nic nie zadzwoniło ani nie zatelepało w środku. Tuleja była czymś zwarcie napełniona.

Nie miał ani chwili do stracenia. Przypuszczał, że człowiek, który szamotał się z drzwiami, mógł zaraz zjawić się w grocie. Włożył tuleję pod ramię, przycisnął ją kurczowo. Zaczął szukać drogi odwrotu.

Smuga światła z latarni krążyła nerwowo po ścianach. Po chwili napotkała załom zaznaczony głębokim cieniem. Ruszył szybko w tamtym kierunku. Natrafił na stromo pnące się stopnie. „To pewno droga, która prowadzi do tajemniczego wejścia pod basztą” — pomyślał i w popłochu zaczął się wspinać ku górze. Był tak oszołomiony faktem znalezienia dziwnej tulei, że zapomniał o malarzu i Joli. Myślał tylko o jednym: jak najszybciej wydostać się ze znalezionym skarbem z podziemnych

korytarzy.

Wspinał się mozolnie po spadzistych stopniach. Gdy dobrnął do korytarza stemplowanego drewnianymi palami, był już ogromnie zmęczony. Nie zatrzymał się jednak ani na chwilę. Puścił się biegiem wzdłuż suchego, prostego korytarza. W głębi widać już było jaśniejszy krąg światła... To otwierał się przed nim wylot podziemnego labiryntu. Odetchnął głębiej i naraz ten nikły krąg dziennego światła napełnił go radością. Rzucił się do przełazu, poczuł w źrenicach kłującą jasność słonecznych promieni...

Schylił się, przepelznął pod niskim, skalnym okapem, ujrzał jasny płat nieba i ciemną koronkę wierzchołków drzew i nagle pociemniało mu w oczach. Przy wejściu do pieczary stała Srebrna, a obok krępy mężczyzna z kędzierzawą głową. Tyrolczyk!

Chciał rzucić się do ucieczki lecz w tej samej chwili mężczyzna złapał go błyskawicznie za kark.

— Skąd to masz? — usłyszał stłumiony, pełen zdumienia i pasji okrzyk.

Szarpnął się, jęknął coś niezrozumiale i nagle otrzymał krótki, suchy cios w twarz. Cios był tak silny, że chłopiec zatoczył się, wypuścił tuleję i upadł na kamienie. Tonął w szaroróżowych kręgach i naraz — zdało mu się — runął w czarną otchłań...

Gdy się ocknął, ujrzał nad sobą zamazaną sylwetkę jakiegoś mężczyzny... Przerażony zamknął szybko oczy. Człowiek pochylony nad nim pociągnął go za ramię.

— Kto cię tak urządził? — dobiegł doń cichy głos.

Przez szparki w powiekach ujrzał granatowy beret. „Tajemniczy! — przemknęło mu przez myśl. — Skąd tu się wziął? Czego chce ode mnie? Przecież przed chwilą widziałem tamtego...”

— Nie bój się — usłyszał nalegający głos Tajemniczego. — To ja...

Perełka otworzył szerzej oczy. Uniósł się na łokciach. Tajemniczy pomógł mu wstać.

— Powiedz, kto to był?

Perełka wciąż jeszcze był oszołomiony. Uniósł rękę do czoła. Patrzył na Tajemniczego szeroko rozwartymi, półprzymkniętymi oczami. Tamten szarpnął go za ramię:

— Mów, to ty uciekałeś przede mną w grocie? To ty zadrutowałeś drzwi? Mów, bo każda chwila jest droga.

Perełka spojrzał nieufnie. W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami. Tajemniczy ujął go pod brodę, uniósł lekko jego głowę.

— Słuchaj! Powiedz! Jestem oficerem służby śledczej.

Perełka zatrzepotał rudymi rzęsami.

— Pan... oficerem służby śledczej? — wymamrotał. Naraz wszystko wydało mu się jasne. Uśmiechnął się niemrawo i dodał: — A myśmy myśleli, że pan...

— Mów — przerwał mu oficer. — Żądam od ciebie ścisłych wyjaśnień. Kto cię uderzył?

Perełka odpowiadał teraz krótko, zwięźle i jasno, jak na młodego detektywa przystało.

— Ten goryłowaty typ z plebanii.

— Sam był?

— Nie, ze Srebrną, to znaczy z tą panią, która ma taką srebrną strzechę na głowie.

— Więc to ty byłeś w grocie?

— Tak.

— Czego tam szukałeś?

— Obrazów.

Twarcz oficera wydłużyła się w nagłym, nieopanowanym zdumieniu. Zapytał teraz ostro, przynaglająco:

— Skąd wiedziałeś, że oni ukradli obrazy?

— Jola mi powiedziała.

— Która Jola?

— Ta gruba.

— A skąd ona wiedziała?

— Wydedukowała z gazety... Wyczytała, że we Wrocławiu zginęły flamandy.

Na surowej twarzy oficera pojawił się uśmiech.

— Kogo spotkałeś w grocie?

— To właśnie dziwne, że nikogo. Miał być ten malarz i Jola...

— A ten, co cię uderzył?

— Tego spotkałem dopiero tutaj. Szedł pewno z cementem... Bo im cementu zabrakło.

— A tę zamurowaną dziurę kto rozwalił?

— Ja...

Oficer mocno ścisnął chłopca za ramiona.

— Co tam znalazłeś?

— Coś takiego... jakby blaszaną rurę.

— Gdzie ją schowałeś?

— On mi ją odebrał...

Oficer wrzasnął niemal:

— To dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?!

Perełka rozłożył ręce gestem bezgranicznej rozterki.

— Jedno wiem, że dostałem od niego w ucho...

Zanim to powiedział, oficer zniecierpliwionym ruchem przeciął ręką powietrze, odwrócił się i zaczął zbiegać ze zbocza, za chwilę znikł wśród drzew. Perełka patrzył za nim pełen osłupienia.

— Oficer służby śledczej — wyszeptał bezwiednie.

Naraz przypomniał sobie o Joli. Ogarnął go lęk. Co z Jolą? Może malarz uwięził dzielną dziewczynę? Może jej się coś stało? Uniósł zwinięte dłonie do ust i zawołał nabrzmiętym lękiem głosem:

— Jola! Jola!

Spod lasu odpowiedziało mu tylko echo. Stał chwilę bezradnie. Potem wolnym krokiem zaczął schodzić ku jezioru. Naraz zatrzymał się. „Nie wolno jej zostawić samej!” Zawrócił. Zdecydowanym ruchem przeczesał palcami włosy, przetarł oczy i szybko wśliznął się przez otwarty właz do groty.

3

— Zostaliśmy skompromitowani — rzekł z naciskiem Mandżaro. Dla zaakcentowania swego rozczarowania kopnął z pasją leżącą na drodze szyszkę. Paragon milczał. Wbił dłonie w kieszenie, oczami powłóczył po piaszczystej drodze, wiodącej od przystani w stronę plebanii i kościoła. Przeżywał boleśnie paternoster, jaki na pożegnanie dostali od pana sierżanta Antczaka. Komendant posterunku dał im do zrozumienia, że są włóczykijami i obwiesiami, że zamiast pożytecznie spędzać wakacje, wtrącają się w nie swoje sprawy i na szwank narażają autorytet władzy. Zapowiedział również uroczyście, żeby mu znikli z oczu i nie pokazywali się w obrębie jego posterunku. Trudno było przełknąć tak gorzką pigułkę. Nic więc dziwnego, że obaj detektywi wracali z nosami na kwintę.

— Czy ty masz pojęcie, jaka to kompromitacja? — zajęczał znowu ponurym głosem Mandżaro.

— Nie... nie mam pojęcia — bąknął pod nosem Paragon.

— To twoja wina.

— Moja?

— Pewno, że twoja. Kto wydedukował, że Marsjanin to przestępca?

— A kto kazał go rozpracować i umieścić w notesie na pierwszym miejscu?

— To przez ciebie. Ty miałaś ten genialny pomysł z poszukiwaniem skarbów.

— A ty pierwszy robiłeś odlew gipsowy jego buta.

— Wypraszam sobie — zachnął się Mandżaro. — Ja robiłem to w celach doświadczalnych, ale nigdy nie mówiłem o żadnych skarbach...

Paragon uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Czy nietoperze i pajęczki wodne to nie skarby dla naukowca? Legalnie skarby. I... możemy być dumni, żeśmy odkryli takiego sławnego profesora.

Mandżaro przychylniej zerknął na przyjaciela.

— Gdyby nie my, to pan sierżant do tej pory nie wiedziałby, jak znakomita osobistość przebywa w jego rewirze. To też coś znaczy — zakonkludował ostatecznie Paragon.

— To też coś znaczy — westchnął z ulgą Mandżaro.

Nastroje uległy polepszeniu. Teraz szli już różniej i głowy unieśli nieco wyżej. Gdy doszli do drogi, która skręcała ku zamkowej bramie, Paragon zatrzymał się.

— Mój mózdek elektronowy przeczuwa, że największy z naszych przestępców to Tajemniczy.

— Z czego to wydedukowałaś?

— Z różnych rzeczy, bracie. Przede wszystkim z jego szanownej fizjonomii. Nie podoba mi się...

— To jeszcze mało.

— I w ogóle to podejrzany facet. Mówię ci, że jak go rozpracujemy, to będzie światowa sensacja.

— A ci z plebani?

— To też ciekawa robota, ale Tajemniczy najważniejszy — klepnął Mandżara w plecy. — Co się martwisz? W historii kryminologii była niejedna pomyłka...

Mandżaro uśmiechnął się nikle.

— To prawda. Trzeba powiedzieć, że z honorem spełniliśmy nasze zadania. Marsjanin był jednak przestępcą, ponieważ nie zameldował się na milicji.

— A ja z honorem zemdlałem w kawiarni! Kosztowało mnie to wszystko pięć zet, bo musiałem sobie fundnąć lody! — zawołał już zupełnie wesoło Paragon.

— Dobrze były?

— Człowieku, nawet nie pamiętam!

Mandżaro z respektem spojrzał na basztę.

— Ciekaw jestem, jak powiodło się naszym inspektorom?

— O, właśnie — podjął Paragon. — Trzeba ich poszukać, bo nie wiemy, co się z nimi stało. Może mają jakieś trudności?

Umówili się, że Paragon pójdzie do leśniczówki sprawdzić, czy nie zostawili dla nich wiadomości, a Mandżaro jeszcze raz wejdzie na górę zamkową zbadać teren. Mieli się spotkać po obiedzie.

— Ciao! — pożegnał Paragon swego nadinspektora.

— Cześć!

Rozstawali się pogodzeni z losem i z myślą, że nawet najlepsi detektywi przeżywają swoje porażki.

4

Paragon zbliżał się do leśniczówki. Z otwartych drzwi kuchni zaleciało nagle sosem dzikiej pieczeni i waniliowym kremem. Pan inspektor z zachwytem wciągnął w nozdrza wonną smugę zapachów. Pomyślał, że po trudach i zawodach dzisiejszego ranka warto by coś przekąsić. Wszedł na

werandę. W drzwiach ujrzał suchą, przygarbioną postać Trociowej.

— Nie było tu Perełki? — zapytał, zerkając w stronę stołu, na którym stała wielka miska z waniliowym kremem.

Trociowa uniosła głowę znad pieca.

— Nie było — mruknęła niechętnie.

— A tej dziewczyny, co tu rano jadła z nami śniadanie?

— Nie było.

— Co pani Trociowa w takim złym humorze? — zapytał przyjaźnie.

Spojrzała na chłopca małymi, załzawionymi oczkami.

— Aaa... szkoda gadać...

— Szanowne zdrowie nie dopisuje czy reumatyzm łamie?

Trociowa machnęła ścierką.

— Świat nic niewart... Wszystko kłamstwo.

— A co się stało?

— Jeszcze się pytasz? Wedle tych duchów... Przyszedł pan leśniczy i powiedział, że to studenci straszili.

Paragon udał zdziwienie.

— Niemożliwe! Co też pani Trociowa mówi?

— Ja też mówię, że niemożliwe... Gdzie by tam studenci tak potrafili straszyć? Przecie widziałam na własne oczy tę postać w niebiańskim świetle... — Jeszcze raz machnęła ścierką. — Ale pan leśniczy powiedział, że to nieprawda, to studenci. I komu tu wierzyć?

— Jeżeli pani Trociowa na własne oczy widziała, to chyba prawda.

Trociowa uniosła rękę.

— Tyś mądry chłopiec, Paragon. Ja pierwsza widziałam... A jak huknęło pod zamkiem, to jakby się ziemia rozwarła...

— Jakby się ziemia rozwarła — zabasował Paragon.

Spojrzała nań z rozczulającą wdzięcznością.

— Tyś miły chłopiec... Bo to przecie niemożliwe, żeby studenci... prawda?

— Legalnie, że niemożliwe.

— No właśnie!

Paragon zerknął w głąb kuchni. Jeszcze raz owionęły go zapachy. Pociągnął nosem.

— Alem głodny — westchnął żałośnie.

Trociowa przechyliła ptasią głowę, uśmiechnęła się, pokazując dwa pieńki pożółkłych zębów.

— Może byś co, synku, zjadł?

— Z najmiłą chęcią.

— Ale niedużo, bo zaraz będzie obiad. — Ukroiła kromkę chleba i z rynienki pełnej smakowitego mięsiwa ucięła wielki płat. — Na, boś ty miły chłopiec...

Maniuś z wilczym apetytem wbił zęby w kanapkę.

— Pierwsza klasa! Dziękuję pani Trociowej! Mówi pani, że te duchy to prawdziwe — pstryknął palcami w daszek kolarki i, posławszy starowinie najmiłszy ze swych uśmiechów, zbiegł z werandy.

Po przekąsce pierzchły wszelkie zmartwienia. Paragon zagwizdał swoje „Ri-fi-fi”, wsadził ręce w kieszenie, rozejrzał się po pogodnym świecie, uśmiechnął się do sunących nad lasem obłoków i rażnym, tanecznym krokiem poszybował w stronę szałasów.

W szałasie nikogo nie było, tylko spod sąsiednich krzaków smyrgnął młody zając, pokazując panu inspektorowi biały ogonek. W zaroślach zanosily się śpiewem ptaki. Dziecioł kuł pień starej sosny.

Jego czerwony kapturek dygotał w pracowitym rytmie. Znad strumyka zerwała się kraska. Przemknęła nad czubami młodych świerków i zaszyła się w gęstwinie. Panował radosny nastrój słonecznego, letniego południa.

Paragon zastanowił się chwilę.

„Jeśli ich tutaj nie ma, to będą gdzie indziej”.

Doszedłszy do takiego wniosku, skierował kroki nad brzeg jeziora. Miał ochotę wykąpać się, zmyć z siebie brud podziemnych korytarzy i pieczar. Z daleka, wśród kęp olch i pól sitowia, ujrzał rozpaloną blaskiem słońca taflę wody. Była lekko zmarszczona bryzą, odbijała światło jak łuska srebrzystej ryby.

Pan inspektor zatrzymał się nad brzegiem. Chwilę obserwował rodzinę dzikich kaczek, żerującą na skraju sitowia. Żał mu było płoszyć ptaki... W sitowiu było złościście. Suchy szelest trzciny nastrajał do rozmyślań. Paragon zadumał się. Jakaś pogodna myśl błędziła mu po głowie... myśl, którą niełatwo byłoby wypowiedzieć, a która pierzcha i już nigdy nie wraca...

W tej chwili usłyszał trzask łamanej gałęzi. Obejrzał się. Może dwadzieścia metrów za nim, ścieżką, która wiodła od leśniczówki, szedł Tyrolczyk — kudłaty lokator plebanii. Jego pojawienie się było tak nagłe i tak nieoczekiwane, że Paragon instynktownie ukrył się za pień olchy. Z ukrycia widział krępa postać jegomościa migającą między pniami. Z jego ruchów, z postawy widać było, że skrada się ostrożnie. Gdy wyłonił się spoza drzew, bystre oko detektywa spostrzegło, że nieznajomy niesie jakiś przedmiot pod ręką. Zastanowiło go, czego o tej porze i w tej okolicy może szukać lokator z plebanii, dlaczego skrada się tak ostrożnie? Co kilka kroków zatrzymywał się, przystawał i rozglądał jak człowiek osaczony.

Pan inspektor ruszył za nim, kryjąc się za pnie i kępy krzaków. Utrzymując odległość około dwudziestu kroków szedł za nim jak nieodłączny cień. Po jakimś czasie zbliżyli się do małej zatoczki, ukrytej wśród olch i sitowia, gdzie na brzegu stała szopa przeznaczona na przechowywanie sprzętu rybackiego. Szopa należała do leśniczówki. Przed szopą zbudowany był na palach mały pomost, a przy pomoście kołysały się dwie przycumowane łodzie. Tyrolczyk zatrzymał się pod olchami. Tym razem baczniej i staranniej badał, czy go ktoś nie śledzi. Gdy zdało mu się, że jest zupełnie bezpieczny, kilkoma susami dopadł szopy. Znikł po jej cienistej stronie.

Paragon jak polujący kot podczołgał się do najbliższych zarośli, ukrył się w gęstwinie nadbrzeżnego łopianu, z bijącym sercem obserwował szopę. Jej omszony, pochylony ku jezioru dach połyskiwał w słońcu. Pomost tonął w głębokim cieniu. Nagle spoza szerniałej ściany wysunęła się postać z dziwnym przedmiotem pod pachą. Tyrolczyk ostrożnie wszedł na pomost, ukląkł, zaczął odplątywać łańcuszek cumy.

Wolno, ostrożnie przyciągnął łódkę do pomostu, na dnie położył tajemniczy przedmiot, a potem sam wśliznął się do środka. Łódź zakołysała się pod jego ciężarem i stuknęła burtą o pomost. Tyrolczyk jeszcze chwilę tkwił nieruchomo na dnie łodzi. Potem nagle wyprostował się, chwycił wiosło i zdecydowanym pchnięciem odbił od brzegu. Cały pomost zatrzęszczał żałośnie jak na alarm i nagle zamarła zatoczka ożyła od tego jednego pchnięcia: łódka pomknęła, woda zafalowała, wiosłarz zaczął bić wiosłem, aż z sitowia umknęły spłoszone kaczki.

Paragon kilkoma susami był przy szopie. Łódka nabrała już rozpędu, sunęła wzdłuż sitowia. Wiosłarz szerokimi uderzeniami zagarniał wodę... Na gładkiej tafli odślaniał ślad jak wielką ranę.

Nasz detektyw zszedł wolno na pomost. Druga łódka kołysała się łagodnie na wodzie. Paragon czekał jeszcze chwilę, aż tamten zniknie poza linią olch. Potem szybko odcumował łódkę, wskoczył do niej i dobrał się do wiosła.

Wiosłował wzdłuż sitowia. Wysokie trzciny ukrywały go całkowicie. Gdy wypłynął poza cypel,

wyrżał przed sobą, może w odległości pięćdziesięciu metrów, szerokie plecy Tyrolczyka pochylone nad wiosłami. Mężczyzna wiosłował teraz spokojniej, płynął wciąż zacienionym brzegiem. Raz krył się pod nawisami gałęzi, to znowu wypływał na gładką taflę jeziora. Nasz detektyw zadawał sobie pytanie: „Dokąd on ma zamiar popłynąć?”

Łódka Tyrolczyka zginęła wśród nawisów gałęzi. Zdawało się, że wpłynęła w zieloną grootę i utknęła w niej na zawsze.

Paragon niecierpliwił się.

„Może on dobił do brzegu, wysiadł i...”

Na myśl, że może stracić jego ślad, porwał go gniew. Chciał wypłynąć z sitowia, wrócić do pomostu i brzegiem jeziora ścigać uciekiniera, ale w tym właśnie momencie na gładką taflę jeziora wypłynęła łódka. Wioślarz pchnął ją ku wysepkom, których zielone, soczyste kępy wystawały z gładziny jeziora.

„To jasne, on wali na wyspy” — myślał Paragon wpatrzony w samotną łódkę. Wciąż jeszcze tkwił w sitowiu. Nie chciał, by Tyrolczyk go spostrzegł.

Tymczasem spoza najbliższej wyspy, niby dwie srebrzyste ważki, wyłoniły się dwa kajaki. Błysk uderzających o wodę wiosłał zamącił niezwykle czystą i spokojną toń jeziora. Kajaki pruły prosto w stronę łódki.

„Co on robi?” — zastanawiał się mały detektyw.

Tyrolczyk zwolnił nieco rytm wiosłowania, lecz ani o metr nie zboczył z obranego kierunku. Po chwili kajaki minęły jego łódkę, popłynęły ku brzegom. Wtedy wioślarz znowu przyspieszył. Wiosła mocniej pchnęły łódkę, plecy głębiej pochylły się nad wiosłami, ślad na wodzie poszerzył się i piana spod wiosłał bujniej zasrebrzyła się w słońcu. Paragon z rosnącym napięciem obserwował, jak łódka maleje i znika za łagodną linią wyspy...

Teraz chłopiec wypchnął swoją łódkę z szeleszczących trzciny. Gdy znalazła się na gładkiej wodzie, skierował ją w stronę bliższego brzegu wyspy. Wiosłował zawzięcie. Dłonie mdlały mu, ramiona słabły, lecz nie poddawał się. Jak najszybciej chciał przeciąć drogę uciekinierowi i pod osłoną wyspy dostać się na przeciwległy jej brzeg. Gdy dopływał do wielkiego pola sitowia, które jak złotawe ramię wrzynało się w stalową toń jeziora, był już prawie u kresu sił.

Z ulgą odłożył wiosła. Przez chwilę dał swobodnie płynąć rozpędzonej łódce. Jej burta z szelestem ocierała się o suche trzciny, dno szorowało po gęstych w tym miejscu wodorostach.

Paragon zaczerpnął dłonią wody. Opłukiwał spoconą twarz.

Rozejrzał się. Znajdował się po przeciwległej stronie wyspy. Należało przypuszczać, że lokator plebanii okrążył wyspę i przybił do brzegu albo przepłynął jezioro. Paragon musiał teraz płynąć niezwykle ostrożnie, żeby niespostrzeżenie dostać się poza cypel wyspy.

Od strony brzegu osłaniały go wysokie trzciny. Rosły bujnie jak las. Skulił się więc, przypląszczył i jednym wiosłem, na pychówkę, zaczął przedzierać się przez szeleszczące zasięki sitowia.

Gdy znalazł się poza cypel, wyrżał w stronę wolnej połaci jeziora. Była gładka aż po przeciwległy brzeg. Nikt nie mógł przeciąć w tym czasie jeziora. Tyrolczyk został więc na wyspie.

„Teraz nie dać się tylko zaskoczyć” — pomyślał Paragon.

Zbadał wiosłem głębokość wody. Nie było głęboko. Postanowił więc zostawić łódkę w sitowiu i w bród przedrzeć się do brzegu. Rozebrał się, niemal bezszelestnie zanurzył się w wodę. Nogi ugrzęzły mu po łydki w miękkim mule, woda sięgała po pierś. Pchnął łódkę głębiej w sitowie, by wiatr nie zniósł jej na wodę, i zaczął mozolnie przedzierać się ku brzegowi. Na szczęście nie było daleko. Wnet znalazł się na twardym gruncie.

Brzeg opadał stromo piaszczystą skarżą, przetykaną odsłoniętymi węzłami korzeni. Wspiął się szybko na skarżę i bezszelestnie zapadł w gęstą leszczynę. Teraz rozejrzał się wzdłuż brzegu. O jakieś dwadzieścia metrów od swojej łódki, w małej, niemal zupełnie wolnej od sitowia zatoczce, zobaczył łódż Tyrolczyka. Kołysała się spokojnie na fali. Była pusta.

Paragon rozgarnął wolno leszczynę i zaczął prześlizgiwać się pod gąszczem bujnych krzaków. Każdy ruch wymagał rozwagi i zręczności.

Przybrzeżne krzewy rzedły, dalej ciągnął się wysokopienny, posyty miękkim mchem las. Paragon odetchnął, przylgnął na chwilę do miękkiego mchu. Gdy uniósł głowę, przed sobą o rzut kamienia ujrzał Tyrolczyka, a raczej jego pochylone plecy. Klęczał bowiem i piórem wiosła kopał w piasku dół. Był tak zajęty gorączkową pracą, że nawet nie uniósł znad ziemi głowy. Obok niego leżał ten dziwny przedmiot podobny do rury albo okrągłego futerału.

Paragon przylgnął mocniej do ziemi. Obserwował każdy jego ruch. Naraz w ruchliwym umyśle pana inspektora zrodził się nieprawdopodobny pomysł. Początkowo przeraziła go jego zuchwałość, lecz gdy jeszcze raz spojrział na pochylone plecy Tyrolczyka, gdy w jego rękach zobaczył wiosło odrzucające piasek, gdy uchwycił wzrokiem tajemniczą blaszaną rurę, uśmiechnął się przekornie.

Zaczął ostrożnie, metr po metrze, wycofywać się z zarośli, a gdy poczuł się bezpieczny i dobrze osłonięty, przedarł się szybko przez krzaki, zeskoczył ze skarpy, w napięciu przeczekał kilka chwil. Nikt go nie gonił... Trzciniaki zawodziły w zasiekach sitowia, a na wolnej, wyblyszczonej płachetce wody wśród szuwarów płynął flegmatycznie perkoz.

Wolno przesuwiał się wzdłuż skarpy. Stopy miętko grzęzły w rozgrzanym piasku. Zbliżał się do miejsca, gdzie Tyrolczyk zostawił swe czółno. Wnet ujrzał je wśród trzin. Dobrnął do łódki wpław. Z radością dotykał jej wyslizganej, szerniałej burty. Pchnął ją lekko do tyłu, a gdy dziób znalazł się pod ręką, chwycił za cumę i zaczął prowadzić czółno wzdłuż linii sitowia. Brnął po pachy w wodzie. W miejscach gdzie otwierała się głębia, płynął na boku, ciągnąc czółno za cumę. Był zupełnie zakryty trzcinami, tak że nawet z wysokiej skarpy nikt nie mógł go dostrzec.

Dopłynął wreszcie do swojej łódki. Przyczepił do niej przyholowaną łódż, wpełzł do środka, uchwycił wiosła i po kilku uderzeniach był już na głębinię... Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Za rozkołysanym na wietrze polem trzin smużyły się żółte piaski brzegu, a nad nimi drzewa zwieszały swe ciężkie gałęzie.

— Udało się — wyszeptał i jeszcze mocniej schwycił za wiosła.

5

„Dokąd on mnie prowadzi?” — pytanie to coraz bardziej niepokoiło Jolę.

Brodziła w zupełnej ciemności. Mocno zawiązana chustka wpijała się w nasadę nosa, uciskała tył czaszki, nie przepuszczała ani promyka światła. Dłoń, mocno ściśnięta przez malarza, wilgotniała od potu, drętwiała. Szli — przynajmniej tak jej się zdawało — dość długo i drogą, której konfiguracja nie przypominała korytarza wiodącego od tajemnego wejścia. Najpierw bowiem, zamiast wspinać się w górę, opuszczali się drogą zalaną wodą, potem podchodzili przepustem zasypanym gruzem. Teraz przesmykali się jakimś krętym i bardzo niskim korytarzem. Malarz kazał jej nisko się schylić i uważać na głowę. Co chwila zmieniali kierunek.

Jola miała dość tej uciążliwej drogi. Szarpnęła mocno rękę.

— Dokąd pan mnie prowadzi? — zawołała płaczącym głosem.

Malarz chwycił ją mocno za ramię.

— Chodź, bo cię tu zostawię.

— Ja już nie mogę... Niech mi pan odwiąże oczy, bo mi się kręci w głowie...

Malarz mocniej pociągnął ją za sobą.

— Już niedaleko. Wytrzymasz.

— Zacznę krzyczeć — tupnęła Jola.

Pociągnął ją jeszcze mocniej. Zaparta się nogami w skalisty grunt, zaczęła wołać rozpaczliwie:

— Ratunku! Ra...

Malarz zakrył jej usta dłonią. Zaczęła się dławić i dusić. Jeszcze raz próbowała zawołać, lecz dłoń malarza jeszcze mocniej zdławiła jej okrzyk.

— Cicho! — syknął. — Mówię ci, że już niedaleko. Za dwie minuty będziemy na wierzchu — szeptał niepewnym głosem. — Wybieraj: albo wyjdiesz z lochów i wrócisz do domu, albo zostawię cię tutaj... — urwał nagle i uczynił taki ruch, jakby się chciał cofnąć.

Nastała cisza. W tej ciszy Jola usłyszała jakieś tłumione odległością głosy. Malarz pociągnął ją ku ścianie. Jeszcze mocniej zaciskał dłoń na jej ustach, ale czuła, że drży cała z wielkiego napięcia. Głosy zbliżały się, narastały.

Malarz wciąż jeszcze tkwił w miejscu, lecz był tak zaszokowany, że z wolna ucisk jego dłoni na ustach Joli rozluźnił się. Pani inspektor wyczuła, że nadszedł odpowiedni moment. Szarpnęła się, zerwała jego dłoń z ust i przeraźliwym głosem zawołała:

— Ratunku!

Malarz rzucił się do ucieczki. Znikł tak szybko, że Jola nie usłyszała nawet, w którym uciekł kierunku. Zaraz pofolgowała sobie.

— Ratunku! Złodzieje! Bandyta! — Jej głos napełnił korytarz alarmującym wołaniem, zagłuszył dudnienie i tupot nóg zbliżających się ludzi, wprowadził w drżenie posępne mury podziemi. Pani inspektor zdarła z oczu chustkę. W tym samym momencie ujrzała ludzi wyłaniających się z głębi skalnego tunelu. Zamigotały światelka latarek, zatupotały buty, spiętrzyły się przyspieszone oddechy i naraz, tuż przed nią, wyrosła wielka, szeroka postać z rudą brodą.

— Antoniusz! — zawołała radośnie.

— Jola! Co ty tu robisz?

Pytanie było niezbyt fortunate, lecz Jola, radosna i uszczęśliwiona widokiem asystenta i studentów, zaczęła mówić chaotycznie:

— Ścigajcie go! Prędkiej! On uciekł! O, tam! Prędkiej!

— Kto?

— Malarz... złodziej obrazów!

— To on cię tu wciągnął?

— Głupstwo! Prędkiej, bo wam ucieknie!

Antoniusz ruszył pierwszy. Jego latarka, przesywszy mrok smugą światła, wskazała drogę. Za Antoniuszem ruszyli inni.

Jola patrzyła na ich zgięte, pochylone postacie przepychające się przez wąską gardziel wykutego w caliźnie tunelu. Ginęli na zakręcie, wtapiali się w mroczne skały.

Przy Joli została piękna studentka — Ewa. Pogładziła ją czule po policzku.

— Nie bój się. To już minęło. Musiałaś się porządnie najeść strachu...

— Oj, najadłam się porządnie — westchnęła z ulgą pani inspektor. — Myślałam, że już stąd nie wyjdę. Słyszeliście moje wołanie?

— Tak. A kto to właściwie był?

— Malarz.

— Jaki malarz?

— On niby malował obrazy, a tymczasem zdaje mi się, że je kradł z muzeum.

— Co ty pleciesz?

— Nie jestem pewna, ale tak mi się zdaje, że nakryliśmy piękną szajkę złodziei obrazów.

— Jakich obrazów?

— To pani nie czytała o tej kradzieży mistrzów flamandzkich z Muzeum Dolnośląskiego? — zapytała z nutką wyższości w głosie.

— Oczywiście, że słyszałam, ale co ma wspólnego ta kradzież...

— Ma — przerwała jej Jola. — Oni chcieli w podziemiach zamurować jakieś bezcenne płótna. Na mój nos, to właśnie te skradzione we Wrocławiu...

Studentka ruchem pełnym troski dotknęła czoła pani inspektor.

— Moja droga, ty chyba dostałaś nerwowego szoku?

Jola wzruszyła ramionami.

— Nic mi się nie stało. Jestem zdrowa, może tylko trochę zgłodniałam...

— To musiało być straszne przeżycie — dodała Ewa ze współczuciem.

— Mam wrażenie, że ten okropny malarz bał się bardziej ode mnie. A jeżeli chodzi o szok, to pani zobaczy, jaki oni, ci złodzieje, przeżyją szok, gdy się dowiedzą, że wykryli ich młodzi detektywi.

Studentka spojrzała na Jolę z nieukrywaną troską.

— Tutaj strasznie duszno — zauważyła — pewno maści ci się w głowie. Lepiej wyjdźmy na powietrze.

— A gdzie my właściwie jesteśmy? Ten łotr prowadził mnie z zawiązanymi oczami.

— Jesteśmy teraz w korytarzu, który nazwaliśmy korytarzem nietoperzy. Stąd wychodzi się do pięknej gotyckiej sali z kolumnami. Dzisiaj właśnie odkryliśmy to przejście.

— Tam są nietoperze?

— Tak.

— To mogę panią zapewnić, że nasz nadinspektor Mandżaro odkrył ten korytarz dużo wcześniej — wyjaśniła Jola. — A ja z Perełką nakryliśmy tych wstrętnych złodziei obrazów. Jak pani myśli, czy napiszą o nas w gazecie?

Ewa ogarnęła ją zaniepokojonym spojrzeniem. „Ona ma gorączkę. Przeraziła się i teraz bredzi” — pomyślała i rzekła głośno:

— Chodźmy już, bo rzeczywiście tu okropnie duszno.

— Chodźmy — zgodziła się wspaniałomyślnie Jola. — Rzeczywiście duszno, a poza tym czas już na obiad. Dziś mają być pieczone kurczaki.

6

— Jola! Jola! Jolka, gdzie jesteś?

Perełka stanął na środku skalnej pieczary, uniósł zwiniętą dłoń do ust, wrzeszczał tak głośno, że pod skalnym sklepieniem echa skłębily się w jeden łomot.

— ...esteś, ...esteś, ...esteś — odpowiedziały mu echa.

Po chwili ucichło. Perełka rozejrzał się, przyświecając sobie latarką. Był w tej samej pieczarze, w której znalazł metalowy cylinder. Wszystko zostało tutaj tak, jak w chwili, gdy ją opuszczał: gruz z rozwalonego muru zasypał połowę platformy, obok stało brezentowe wiadro na wodę, mała łopatka, dalej leżała kielnia.

„Gdzie podział się malarz z Jolą?” — myślał strapiony Perełka. Ogarnął go lęk. W tym momencie uświadomił sobie, że z pieczary lub obu korytarzy musi być jakieś trzecie wyjście... Zaczął gorączkowo wodzić latarką po ścianach. Ściany gładko sklepiały się wokół niszy.

Perełka poszedł dalej, do pieczary, która — jeśli dobrze sobie przypominał — była zawałona zbutwiałym drewnem. Po chwili znalazł się wśród omszałych pni podpierających murowane

sklepienie. Pieczara wyglądała jak fragment skamieniałego lasu. Zdawało się, że pnie wyrastają ze skały i w skałach, jak w mglistym niebie, gubią swe korony.

— Jola! — zawołał jeszcze raz chłopiec.

Ruszył przed siebie i wtedy usłyszał, że gdzieś zza zbutwiałych pni dochodzi odgłos kroków biegnącego człowieka. Ukrył się za pień, zgasił latarkę. Zapadł w nieprzeniknioną noc. Jeszcze wyraźniej usłyszał tupot i przyspieszony, nierówny oddech biegnącego. Po chwili na pniu mignęło nagle światełko, a potem spoza oszalowania trysnęło nagle światło żywe i jaskrawe. Ukazał się malarz.

Perełka nie widział jego twarzy, tylko sylwetkę obwiedzioną bladym światłem odbitym od ścian, lecz poznał, że jest bardzo zmęczony i porusza się resztką sił.

Tamten wbiegł na środek pieczary. Przez chwilę siekł mrok smugą bijącą z latarki. Wahał się, w którą stronę uciekać. Ale wnet zadudniły inne kroki. Malarz rozpaczliwie rzucił się w stronę przejścia wiodącego na basztę. Jego pochylona postać z wysiłkiem pomknęła ku zwalonym drzwiom.

Pieczara napełniła się ludźmi. W migotliwych smugach światła wyłaniały się schylone postacie.

— Gdzie on pobiegł? — zapytał czyjś zdyszany głos.

Perełka wyskoczył z ukrycia. Stał w świetle latarki.

— Tam! Tam! — wskazał przewalone drzwi.

W tym samym niemal momencie usłyszał zdumiony głos:

— To ty, Perełka?

Poznał brodatego Antoniusza.

— Ja! — zawołał drżąc cały z radości. — A gdzie Jola?

— Jest! — krzyknął ktoś ze studentów.

Perełka pierwszy rzucił się ku przełazowi.

— Za mną! — zawołał. — Ja znam tę drogę!

7

Na posterunku Milicji Obywatelskiej, w pokoiku, który znajdował się za kancelarią, Tajemniczy przesłuchiwał Srebrną. Złapał ją na plebanii w momencie, kiedy w panicznym pośpiechu pakowała walizki. Teraz, siedząc za biurkiem komendanta posterunku, głosem twardym i nie znośnym sprzeciwu zadawał kobiecie pytania.

— Gdzie jest ten pani towarzysz, który uderzył chłopca?

Srebrna wzruszyła ramionami.

— Już trzeci raz powtarzam, że nie mam pojęcia.

— Chłopiec twierdzi, że pani była z nim przy wejściu do grotty.

— Byłam, ale to nie ma znaczenia. On później poszedł na przystań.

— Z obrazami?

Srebrna udała zdziwienie.

— Z jakimi obrazami?

Oficer uderzył dłonią w stół.

— Niech pani nie odgrywa naiwnej. Pani wie, że w tej metalowej osłonie były skradzione płótna.

Srebrna uśmiechnęła się nagle.

— Nie mam pojęcia, co tam było.

Na twarzy oficera pojawił się złośliwy grymas.

— Pani doskonale wie. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł pani to udowodnić.

Kobieta jeszcze raz wzruszyła ramionami. Miała tak znudzoną minę, jakby ta rozmowa bezgranicznie jąnużyła. Tylko jej palce, przebierające nerwowo na krawędzi stołu, świadczyły, że

jest bardzo zdenerwowana.

— W takim razie — zapytał ostro oficer — niech mi pani wytłumaczy, w jakim celu chcieliście zamurować ów blaszany futerał w podziemiach zamku?

Kobieta rozłożyła ręce.

— Może pan zapytać o to któregoś z tych panów. Mnie to zupełnie nie interesowało.

— Kłamie pani. Przecież pani im pomagała.

Kobieta odpowiedziała zniecierpliwionym gestem dłoni.

— Przyjechałam tutaj odpocząć.

— Dlatego dźwigała pani z tym osobnikiem worek cementu — roześmiał się kpiąco oficer. Naraz jego głos nabrał twardości. — Przeciąga pani przesłuchanie, gra pani na zwłokę, ale zapewniam, niewiele pani zyska. Milicja jest już zaalarmowana. Ten pani współnik nie zdoła uciec daleko...

W tym momencie jego spojrzenie pobiegło w stronę okna. Za oknem widać było fragment ogrodu, a dalej drogę. Na drodze ukazała się chmara ludzi. Oficer zerwał się zdumiony. Na przedzie dziwnego pochodu ujrzał bowiem swych dawnych znajomych — małego Perełkę i toczącą się jak balonik Jolę. Za nimi szli studenci, a wśród nich, trzymany mocno za ramiona, jakiś osobnik... Otaczała ich gromada rozwrzeszczanej dzieciarni.

Oficer zwrócił się do kobiety.

— O, proszę — rzekł z nutką zadowolenia — zjawił się jeszcze jeden pani współnik. Może on nam wyjaśni, co było w blaszanym futerale?

Srebrna pobladła, odwróciła głowę od otwartego okna, zacisnęła jaskrawo wymalowane wargi, a jej palce kurczowo zacisnęły się na krawędzi stołu. Oficer uśmiechnął się złośliwie.

— Nie poznaje go pani?

W tej chwili drzwi otwarły się z łomotem, a w progu ukazał się sierżant Antczak.

— Obywatelu kapitanie — rzekł urzędowo — studenci przyprowadzili tego malarza.

Kancelaria posterunku zapełniła się nagle ludźmi.

Oficer wstał, zbliżył się do drzwi. Pierwszego ujrzał małego Perełkę. Nasz dzielny inspektor był zmęczony, umorusany, zziajany, lecz na widok Tajemniczego jego piegowata twarz rozpromieniła się. Zamrugał rudymi rzęsami.

— Melduję... że złapaliśmy przestępcę!

Oficer roześmiał się.

— Brawo! Należy ci się podwójna porcja lodów.

Chłopiec jeszcze raz zamrugał rzęsami.

— Mnie... — wyrąbał ogarnięty radosnym wzruszeniem — mnie i Joli. Ona... ona wysledziła całą szajkę i najwięcej... najwięcej narażała się.

— To głupstwo — powiedziała dzielna pani inspektor, wyłaniająca się z ciżby studentów. — Najważniejsze, że...

Nie dokończyła, gdyż za jej plecami rozległ się głos Paragona:

— Gdzie jest pan sierżant Antczak? — Gdzie pan sierżant? — wydzierał się detektyw. W tej chwili właśnie przybiegł znad jeziora. Był tak zmęczony, że słaniał się na nogach. Głos jego zabrzmiał jednak alarmująco.

Wszyscy rozstąpili się, przepuszczając go do środka kancelarii.

Paragon wdarł się, stanął na środku pokoju i zbaraniał do reszty. Ujrzał bowiem wokół siebie wianuszek twarzy w tak zastanawiającym komplecie, że naraz zapomniał, gdzie się znajduje. Oto piegowate oblicze Perełki, obok księżycowa twarz Joli, pobladła — malarza, zdumiona — Antoniusza, pełna rozterki — komendanta posterunku, a na dodatek, jakby zza mgły, zmęczonym jego

oczom ukazał się największy przestępca — Tajemniczy! Pan inspektor rozdziawił gębę.

— To jego też żeście przyskrzynili? — zapytał zdumiony.

— Co się stało? — zawołał pan sierżant.

Te słowa przywróciły Paragonowi zdolność trzeźwego myślenia. Przypomniawszy sobie, z jaką sensacyjną wiadomością przybył na posterunek.

— Tyrolczyk na wyspie zakopuje skarby! — zawołał alarmującym głosem. — Łapcie go! Zabrałem mu łódkę!

* * *

Pierwszy do łodzi ratowniczej wskoczył oficer, zachwiał się, lecz wnet, oparłszy się o burtę, podbiegł do motoru i nerwowymi ruchami zaczął okręcać linkę starteru. Milicjant, który wszedł do łódki za oficerem, patrzył na ciemną linię wyspy, poprawił przy pasie kaburę pistoletu. Sierżant Antczak niepokoił się.

— Prędeż, kapitanie, on mógł przepłynąć na drugą stronę.

„Prędeż! Prędeż! — powtarzał w myśli Paragon. Stał na pomoście przystani wśród grupy studentów, zaciskał pięści i drżał cały. — Żeby tylko zdążyli, zanim Tyrolczyk zorientuje się, że został wywiedziony w pole. Zanim skończy zakopywać blaszaną rurę”. Perełka trącił go łokciem.

— Te! Szkoda, że nie możemy z nimi popłynąć. Chciałbym zobaczyć, jak go capną na wyspie.

— Szkoda! — westchnął żałośnie Paragon.

— To będzie niezwykle zabawne — powiedziała rezolutnie Jola.

— Ciekaw jestem, co oni, u licha, schowali w tej rurze — zastanawiał się Perełka. — Chyba nie obraży, bo przecież obraży by nie wlaży.

W tej chwili kapitan jeszcze raz szarpnął linkę starteru. Motor prychnął, potem zawarczał miarowo. Pan sierżant wtoczył się do łodzi. Pod jego ciężarem zanurzyła się głębiej i jeszcze mocniej zakołysała. Kapitan ujął uchwyt motoru, zanurzył śrubę w wodę. Wciągnęła się w toń, rozpieniła w srebrze zielonkawę przezrocze, pchnęła gwałtownie łódź od pomostu. Ruszyli...

Zatoczyli półkole wokół zakotwiczonych żaglówek. Łódź nabierała rozpędu. Jej uniesiony dziób pruł tafłę lekko zmarszczonej wody. Za burtą pienił się głęboki ślad. Łódź pomknęła prosto ku cypłowi wyspy.

Kapitan prowadził ją pewną ręką. Z dygocącego silnika wyciskał maksimum obrotów. Zbliżali się szybko do wyspy. Już w ciemnej kopule lasu można było rozróżnić poszczególne drzewa, już zarysowała się żółta smuga przybrzeżnych piasków i złotawa gęstego sitowia...

Mijali szerokie ramię trzcinowego pola. Spoza sitowia wyłoniła się gładka w tym miejscu tafła wody, a na jej środku, między wyspą a przeciwnym brzegiem, mały punkt ciągnący za sobą pofalowany ślad.

— Jest! — zawołał młody milicjant.

— Płynie! — zawtórował sierżant.

Kapitan nic nie powiedział, tylko głębiej pochylił się nad motorem i lekkim łukiem skierował łódź w stronę pływaka. Teraz ślad łodzi szedł jak pętla rzuconego łąsa ku wynurzającej się miarowo głowie pływaka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

1

Zapadał zmierzch. Od łąki wiatr nawiewał zapach świeżego siana, a z drzwi kuchni zalatywało wanilią i pieczenią na dziko. W leśniczówce zapalono już światła. Przez otwarte okna w głębi jadalnego pokoju widać było suto zastawiony stół, a wokół niego gęsty wianuszek biesiadników. Po kilku kieliszkach nalewek i porzeczkowego wina zrobiło się wesoło. Ktoś z gości wstał, zaintonował „Sto lat”. Potem już imieninowe przyjęcie potoczyło się gładko jak kula po bilardowym stole.

Młodzieży nakryto mały stolik na werandzie. Czwórka dzielnych detektywów w skupieniu pałaszowała donoszone z kuchni smakołyki. Właśnie kończyli znakomitą pieczeń z makaronem, gdy zjawiała się solenizantka z półmiskiem. Nie trzeba było być detektywem, żeby od razu odgadnąć, co na nim jest.

— Tort — szepnęła z rozkosznym przejęciem Jola.

Pani Lichoniowa zatrzymała się przed stołem. Była dzisiaj w jedwabnej sukni w kwiaty, a we włosy miała wpiętą białą różę. Wyglądała bardzo ładnie i niezwykle młodo. Teraz jednak zatrzymała się, zmarszczyła brwi i powiodła po detektywach spojrzeniem tak surowym, że chłopcy opuścili głowy.

— Właściwie powinniście dostać po sto kijów zamiast tego tortu...

Cisza. Nikt nawet nie mruknął. Pani Lichoniowa pokiwała znacząco głową.

— Niewiniątka, siedzą jak trusie. A kto wczoraj straszył na zamku?

Chłopcy skurczyli się. Jola kawałkiem chleba zbierała z talerza sos.

— Skąd pani się dowiedziała? — zapytał pokornym głosem Paragon.

— Wszystko wiem! — huknęła pani Lichoniowa. — Taki prezent przygotowaliście mi na imieniny!

— My... proszę pani... dla dobra nauki — odezwał się Mandżaro.

Pani Lichoniowa postawiła tort na stole.

— A dzisiaj kto sprowadził milicję na Bogu ducha winnego profesora, co? Czy to też dla dobra nauki?

Mandżaro wbił wzrok w resztki makaronu na talerzu. Nie miał ochoty wdawać się w dyskusję. Jeden Paragon starał się bronić honoru Klubu Młodych Detektywów. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

— Pan profesor sam sobie winien, bo się nie zameldował...

— Tak, tak — przerwała mu gospodyni — z was w ogóle dobre ziółka. — Zaczęła wprawnymi ruchami dzielić czekoladowy tort. — A jak zobaczę tego rudzielca, to mu powiem, żeby was sobie zabrał. Asystent historii sztuki, a tymczasem bałamuci takich malców.

Paragon kącikami oczu zerknął na tort i pomyślał, że skoro pani Lichoniowa go dzieli, to nie jest tak katastrofalnie. Zdobył się więc na odwagę i rzekł potulnie:

— To nie jego wina. Ja go namówiłem, żeby nas zabrał na zamek.

Karcące spojrzenie solenizantki spoczęło teraz na Paragonie.

— Na tobie najbardziej się zawiodłam. Myślałam, że jesteś rozsądny, że będziesz opiekował się kolegami, a tymczasem sam...

Paragon poczerwieniał. Wyprostował się.

— Niech mnie karaluchy zjedzą, jeżeli chciałem zrobić pani przykrość!

Powiedział to tak gwałtownie, tak przekonywająco, że pani Lichoniowa spojrzała nań uważnie, a na jej twarzy zjawił się uśmiech przebaczenia.

— Ja wiem, że to wszystko z głupoty. Ale pomyślcie, co by to było, gdyby was dzisiaj złapali pod zamkiem ci okropni złodzieje?

— Przecież... to myśmy ich złapali, ciociu — wtrącił cieniutko Perełka.

Pani Lichoniowa zmarszczyła groźnie brwi, ale jej oczy śmiały się do chłopców łagodnie.

— Ładnych rzeczy się dowiaduję... Podobno ścigaliście tego niedopieczzonego malarza.

Jola skończyła właśnie oczyszczać chlebem talerz. Wydęła lekko wargi i z nutką dumy zaznaczyła:

— Jak pani wiadomo, zlikwidowaliśmy całą szajkę złodziei...

— Mój Boże — westchnęła pani Lichoniowa — przecież wy jeszcze dzieci, a odgrywacie dorosłych. Chwała Bogu, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

To rzekłszy zabrała talerze i oddaliła się szybko.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Pierwszy odezwał się Paragon:

— Burza przeszła bokiem. Zapowiadają się chwilowe przejaśnienia.

— Poezja nie tort — zauważyła Jola.

Mandżaro zgromił ją spojrzeniem.

— Tu się dzieją takie ważne sprawy, a ona o torcie.

— Tylko, proszę was bardzo, nie kłóćcie się — wtrącił nieśmiało Perełka.

Mandżaro wyjął swój nieodłączny notes. Przerzucał wolno kartki.

— Dokonaliśmy niezwykłego wyczynu — powiedział poważnie. — Nasza brygada zlikwidowała groźną bandę złodziei. Chciałbym przedstawić całą naszą brygadę do odznaczenia.

— Akcja jeszcze nie zakończona — zauważył cierpko Paragon. — Zlikwidowaliśmy bandę, a jednocześnie nie wiemy, co było w blaszanej tulei. Może kłaki starego kundla... Kto to może wiedzieć?

Mandżaro zachnął się.

— W każdym razie coś ważnego, skoro wszystkich aresztowano.

Jola przełknęła wielki kawał tortu.

— Ja dalej twierdzę, że tam były obrazy.

— Jakie obrazy? — zaprotestował Perełka. — Ja przecież miałem tę blaszankę w rękach.

— Może mikrofilmy — zauważył Mandżaro.

— A może jakieś ważne dokumenty.

Perełka rozłożył ręce.

— W tej chwili nic mądrego nie wykombinujemy. Zdaje się, że brygada ma jeszcze jedno zadanie.

Mandżaro skwapliwie sięgnął po notes.

— Tak jest, inspektor Albinowski ma rację. Przed nami jeszcze jedno zadanie: dowiedzieć się, co było w blaszanej tulei. Zadanie to powierzam... — spojrzał na małego Perełkę. Ten zaprotestował:

— Znowu ja!

— Tu nie ma co filozofować — wtrącił pojednawczo Paragon. — Wszyscy pójdziemy na posterunek i postaramy się...

— Śledztwo jest w toku, nikt nam tego nie powie — przerwał mu Mandżaro.

— Ja mam pomysł! — zawołała Jola. — Przecież ten Tajemniczy, to znaczy pan kapitan, winien nam jest lody.

— Legalnie!

— Pójdziemy z nim do kawiarni i wyciągniemy z niego wszystko.

Mandżaro zanotował coś pospiesznie.

— Tak, nad tym warto się zastanowić.

— W takim razie walimy na posterunek — powiedział Paragon.

Po cichu wymknęli się z werandy. Gdy byli już przy klombie, usłyszeli za sobą wołanie pani Lichoniowej:

— Chłopcy! Gdzie wy idziecie?

— Na przystań, ciociu — powiedział Perełka. — Taki ładny wieczór.

— No dobrze, tylko żebyście mi nie ważyli się iść na zamek.

— Nie ma po co, proszę pani! — odkrzyknął Paragon. — Tam już nie ma przestępców.

2

Mijali plebanię. Jola zadarła głowę. Spojrzała w okna na piętrze. Były ciemne.

Westchnęła cicho.

— Tak... To była naprawdę ciężka robota z tymi złodziejami. Pomyśleć, że jeszcze rano mieszkali tam na górze — pokazała ręką ponure, milczące okna.

Weszli w cienistą aleję. Wysokie wiązy splotły w górze swe konary, tworząc ciemny, w żywej zieleni wyżłobiony tunel. W dali połyskiwały światła przystani. Słysząc było cichą, sentymentalną piosenkę, płynącą z głośnika. Pod trampkami skrzypiał cienko żwir. Szli w milczeniu. Naraz Paragon trącił łokciem Mandżara.

— Patrzcie, kto idzie.

W głębi alei ukazała się tyczkowata postać Marsjanina. Wysoko, niemal pod okapem drzew, sunęła biała furazerka. Detektywi rozstąpili się z respektem.

— Moje uszanowanie panu profesorowi! — powiedział niezwykle szarmancko Paragon.

Marsjanin zatrzymał się gwałtownie. Przetarł okulary.

— A, to wy! — przywitał ich wesoło i zaśmiał się basowym, pełnym bulgotu śmiechem.

— Jak idą szanowne badania?

— Dziękuję, dziękuję. Jeżeli macie ochotę, to przyjdźcie jutro do groty. Będę obrączkował nietoperze.

— Dziękujemy bardzo, na pewno skorzystamy z zaproszenia.

Marsjanin uniósł rękę do czoła.

— Wyobraźcie sobie, że znowu zapomniałem się zameldować! Mam nadzieję, że mnie nie zaaresztujecie z tego powodu — wznosił dłoń do furazerki i skinął przyjaźnie ręką. — Do widzenia, moi mili! Przrzekam, że jutro na pewno się zamelduję.

Odszedł wolnym, lekko podrygującym krokiem. Detektywi patrzyli za nim z sympatią i podziwem.

— Tak, tak — westchnął Mandżaro — to prawdziwy profesor.

— Więcej niż profesor — rzekł z respektem Paragon. — To prawdziwy męczennik nauki. Zamiast w wygodnym łóżku śpi w podziemnej grocie... z nietoperzami.

Poszli dalej. Wnet znaleźli się przy przystani. Pomost tonął w mroku. Lekki przybój kołysał na wodzie przycumowanymi kajakami. Dalej na brzegu stały zakotwiczone żaglówki. Zatrzymali się przed ogrodzeniem kawiarenki. Pod kolorowymi parasolami było gwarno i wesoło. Po upalnym dniu letnicy wylegli nad jezioro, by rozkoszować się wieczornym chłodem. Z głośnika płynęła wciąż ta sama, rzewna, monotonna melodia.

Nasi detektywi stali chwilę w milczeniu, przypatrując się cizbie. Naraz usłyszeli za sobą znajomy

głos:

— Co wy tu, smyki robicie?

Obejrżeli się jak na komendę. Za nimi stał Tajemniczy.

— My — odezwał się Paragon — my... właśnie szukamy pana kapitana.

Tajemniczy uśmiechnął się.

— To się dobrze składa, bo ja szedłem do was, do leśniczówki.

— To się znakomicie składa — wtrąciła rezolutnie Jola — bo podobno obiecał pan komuś lody.

Kapitan pokręcił żartobliwie głową.

— Trudno. Zapraszam was wszystkich.

Ujął Jolę pod rękę i pierwszą wprowadził do kawiarni.

Początkowo rozmowa nie kleiła się. Chłopcy z nabożeństwem spoglądali na kapitana. W głowach nie mogło im się pomieścić, że siedzą przy jednym stoliku z prawdziwym oficerem służby śledczej. Kapitan spoglądał na nich z dobrotliwym uśmiechem. Wreszcie, gdy już wyskrobali resztki ze spodeczków, zapytał poważnie:

— Musicie mi wyjaśnić, w jaki sposób wpadliście na tę szajkę.

W jednej chwili ożywili się. Zaczęli wykrzykiwać jeden przez drugiego:

— To ja pierwszy zobaczyłem Srebrną w korytarzu pod zamkiem! — zawołał Mandżaro.

— Właściwie pierwszy na ich ślad wpadł Paragon — sprostował Perełka. — To przecież jemu wydało się podejrzane, że ten worek brezentowy był za ciężki.

— A ja pierwsza zrobiłam wywiad na plebanii — wtrąciła Jola.

— No, dobrze, dobrze — przerwał im kapitan — powiedzcie mi jednak, dlaczego w ogóle śledziliście tych ludzi?

Detektywi zamienili szybkie spojrzenia. Pytanie było zasadnicze, więc należało się zastanowić, czy można udzielić odpowiedzi. Mandżaro skinął głową, jakby chciał w ten sposób zaznaczyć, że wobec starszego kolegi nie wypada mieć tajemnic. Na ten znak odezwał się Paragon:

— Powiemy panu kapitanowi, jeżeli pan przyrzeknie, że nas nie zdradzi.

Kapitan uniósł do góry dłoń.

— Przyrzekam.

Paragon ściszył głos.

— My jesteśmy detektywami. Mamy własny Klub z całą brygadą. Teraz pan kapitan rozumie?

Kapitan przymrużył oko.

— Rozumiem. I powiem wam szczerze, że od chwili gdy przyłapałem tego kolegę — wskazał Mandżara — z odlewem gipsowym, zacząłem podejrzewać, że działa tu jakaś zorganizowana grupa detektywów...

— Proszę pana — wyrwała się Jola — proszę nam powiedzieć, co pan znalazł w tej blaszanej tulei, bo my umieramy z ciekawości.

Kapitan spojrzał na nią uważnie, a potem wyszeptał tajemniczo:

— Skarby.

— Skarby! — zawołał uradowany Paragon. — A nie mówiłem, że to skarby...

Kapitan zastopował go wyciągniętą ręką.

— Chwileczkę! Najpierw musimy wszystko po kolei wyjaśnić.

— O, właśnie — wtrącił Mandżaro — pan kapitan wie już wszystko o naszej brygadzie, a my nie wiemy nic o nim.

— Masz rację — skinął potwierdzająco. — Jeżeli udało się nam wspólnie zlikwidować szajkę, to musicie wiedzieć, jak do tego doszło. Zaczęło się, jak wiecie, we Wrocławiu...

— To jednak chodzi o obrazy — ucieszyła się pani inspektor.

— Nie przerywaj! — ostrzegł ją Mandżaro.

Kapitan uniósł rękę na znak, żeby milczeli.

— Otóż we Wrocławiu — ciągnął — z pracowni konserwatorskiej ukradziono pięć cennych płócien szkoły flamandzkiej z XVII wieku. Powierzono mi sprawę wykrycia sprawców kradzieży. — W tym miejscu uśmiechnął się porozumiewawczo. — Jak sami wiecie, praca detektywa nie jest łatwa. Ja również miałem wiele trudności. Wreszcie wpadłem na bardzo nikły ślad... Podejrzywałem pewnego woźnego z pracowni konserwatorskiej, że brał udział w tej kradzieży. Ostatnio przyszła do niego depesza z tej właśnie miejscowości. Depesza zastanowiła mnie. Postanowiłem więc przyjechać tutaj...

— Ciekaw jestem, co było w tej depeszy? — zapytał nieśmiało Paragon.

Kapitan uśmiechnął się.

— Depesza była tajemnicza. Brzmiała: „Nietoperz znalazł swe gniazdo”. Przyznam się, że zmyliła mnie potem.

— Już wiem — zawołał Mandżaro — pan kapitan myślał, że tę depeszę wysłał nasz kochany profesor, specjalista od nietoperzy.

— Nie przerywaj! — pisnął Perełka.

— Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Przyjechałem tutaj zupełnie incognito, to znaczy nawet komendant posterunku nie wiedział, kim jestem. Zacząłem rozglądać się po okolicy. I na waszym podwórku spostrzegłem samochód ze znakami wrocławskimi. To mnie zmyliło. Myślałem, że jego właściciel ma coś wspólnego z szajką.

— Dlatego pan wtedy przyszedł do leśniczówki? — zapytał Mandżaro.

— O, właśnie — potwierdził kapitan — a ty mi pomieszalesz szyki. Chciałem przerzucić pokój profesora, a ty tymczasem...

— Przepraszam, ale ja naprawdę nie wiedziałem, kim pan kapitan jest — tłumaczył się Mandżaro.

— I w ogóle — wtrącił Paragon — myśmy myśleli, że pan kapitan to największy przestępca.

— I proszę mi wytłumaczyć, jak pan to zrobił, że gdy wbiegłem na górę, rozpląnął się pan w powietrzu? — zapytał Mandżaro.

Kapitan roześmiał się.

— Mój drogi, cudów nie ma. Gdy ty wbiegłeś na górę, mnie już nie było w pokoju. Stałem w korytarzu za otwartymi drzwiami. Byłeś tak okropnie przejęty, że mnie nie zauważyłeś. Ale to nieważne. Tak jak wy, posądziłem niewinnego profesora, oczywiście nie wiedząc, że to profesor, o udział w szajce. Zwłaszcza podejrzane było jego tajemnicze zniknięcie. Zacząłem więc poszukiwania. I wtedy natknąłem się na tajemnicze duchy...

— Na mnie — wtrącił z dumą Perełka.

— Początkowo myślałem, że sprawa duchów ma jakiś związek ze sprawą zniknięcia obrazów, ale wystarczyła jedna rozmowa z asystentem, zwanym Antoniuszem, żeby wszystko wyjaśnić. Duchy broniły dostępu do lewego skrzydła, a dziadek pilnujący zamku pomagał im, jak mógł, bał się, że rozbiórka murów i budowa hotelu pozbawi go pracy i mieszkania. Teraz, poinformowany przez studentów o istnieniu podziemnych korytarzy, zacząłem je skrupulatnie przeszukiwać...

— I odnalazł pan grotę nietoperzy — wyrwał się Paragon.

— Tak, odnalazłem grotę nietoperzy i jednocześnie przekonałem się, że zamieszkuje ją znany naukowiec, profesor wrocławskiego uniwersytetu, światowej sławy zoolog i znawca grot. Wystarczyło zbadać zawartość czarnego kufra...

— Na własne oczy widziałem, jak pan w nim czegoś szukał! — zawołał Paragon. — To my z Mandżarem byliśmy tam wtedy...

Kapitan pogroził mu żartobliwie.

— Ej, muszę powiedzieć, że przez cały czas utrudnialiście mi pracę.

Mandżaro rozłożył ręce.

— Bardzo nam przykro, ale myśmy także nie wiedzieli, że pan kapitan jest właśnie ze służby śledczej...

— Grunt, że wszystko dobrze się skończyło dla mnie i dla was. — Naraz głos jego nabrał jeszcze cieplejszego tonu. — Chciałem wam podziękować. Byliście bardzo dzielni...

— Spełniliśmy tylko nasz obowiązek! — rąbnął po wojskowemu Mandżaro.

— Z honorem — dorzucił Paragon.

Jola zaczęła wiercić się na krześle.

— A my wciąż nie wiemy, co było w tej blaszanej tulei.

Kapitan uśmiechnął się.

— Przecież wam powiedziałem...

— Skarby! — zawołał Paragon. — Ja zawsze mówiłem, że skarby!

Kapitan potwierdził skinieniem głowy.

— Prawdziwe skarby: pięć flamandzkich płócien.

Teraz Jola zerwała się i uderzyła w dłonie.

— Obrazy! Ja jednak miałam rację!

Paragonowi zrzędała nieco mina.

— Czy takie bezcenne obrazy to nie skarby? — zaatakowała Jola.

— O, właśnie — podjął kapitan — uratowaliście bezcenne skarby kultury.

Perełka zamrugnął rzęsami.

— W porządku — rzekł z niedowierzaniem — ale jak takie obrazy mogły zmieścić się w okrągłej tulei?

— To proste — wyjaśnił kapitan. — Złodzieje dla ułatwienia transportu wyjęli płótna z ram, zwinęli je i ukryli w zalutowanej tulei. — Kapitan wstał, jeszcze raz powiódł roześmianymi oczami po dzielnej czwórce. — Na mnie już czas. Muszę wracać na posterunek. Czołem urwisy! A na drugi raz nie włączcie w paradę służbie śledczej!

Po kolei ścisnął dłonie detektywom. Gdy pożegnał Paragona, ten łypnął zaczepnie okiem.

— Szanowanie, panie kapitanie. Dziękujemy za owocną współpracę. Jeżeli będziemy potrzebni, to niech pan napisze do Warszawy: Klub Młodych Detektywów, ulica Górczewska. Wystarczy!

Kapitan uniósł rękę do beretu.

— Nie zapomnę! Trzymajcie się zdrowo!

Stali w milczeniu, odprowadzając go spojrzeniami aż do furki. Gdy znikł w cieniu drzew, Mandżaro wyciągnął notes. Wolno, z namaszczeniem przewracał kartki. Po chwili rzekł:

— Panowie, na dzisiaj służba skończona. Jutro po śniadaniu zbieramy się w szałasie.

Paragon uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ja, panie nadinspektorze, proszę o urlop.

— O urlop? — zdziwił się Mandżaro.

— Tak! Wszystkim nam należy się urlop. Na jutro PIHM zapowiada bezchmurną pogodę, idziemy się kąpać.

ZAKOPANE, WRZESIEŃ 1961